P. Ludwikowi Janicke w dowód prawdziwego szacunku i życzliwości
A. Pług
1862 r. 16/28 Stycz.

ZUPEŁNY
ZBIÓR PISM
Adama Pługa.

SERYA Isza

TOMÓW SZEŚĆ.

ŻYTOMIERZ.
Nakładem Autora.
1862.

Pozwala się drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy. Kijów, d. 10 pazdziernika 1861 roku.

CENZOR *Orest Nowicki.*

W druk. A. Kwiatkowskiego i sp. w Żytom.

Tom I.

1. PIASTUNKA.

2. MARCIN FUTORNIK.

3. BEZRUKI.

Piastunka.

DROGIEJ SWEJ PIASTUNCE

ELŻBIECIE PODLESKIEJ

w dowód szacunku i wdzięczności

poświęca

Autor.

PIASTUNKA.

RELIKWIE Z POCZCIWEJ PRZESZŁOŚCI.

Będzie już temu z pół wieku. Na Litwie, w jednym z rozległych kluczów wielkiego Pana, zadzierżawionym Podczaszycowi N*, na folwarku, w schludnym ekonomskim domeczku, w noc późną, buchało światło ze wszystkich okienek i gwar, i krzątanina była tam wielka. Było to w wielką sobotę: młoda więc pani ekonomowa, spodziewając się na *święcone* i X. Wikarego, i kilka rodzin sąsiadów officyalistów, a nawet Państwa Podczaszycowstwa, zwijała się ochoczo a szczerze, dopiekając reszty owych bab wspaniałych, których doskonałość tradycyonalnie od pokolenia do pokolenia szła w jéj rodzinie, a razem też pilnując, aby i w domku w każdym kąciku było i biało i świeżo i porządek wszelki.

Tymczasem małżonek, dając parobczakowi ostatnie rozkazy, muskał czuprynę przed małém łusterkiem, i strojne szaty przywdziewał, mając się udać na rezurrekcyę do wiejskiego kościołka. A gdy się przystroił, wziął łacińską książkę w kieszonkę, i uściskawszy czule gospodarną żoneczkę,— „No, rzekł, Basieńko, do widzenia tymczasem; ja się i za ciebie pomodlę, a ty już sobie potém pobiegniesz na Summę. Na ranną przekąskę *chmarę* ci przyprowadzę gości, bądź więc gotowa, a jak szyby zadrżą w chatynce, to będzie znaczyć, że ci z moździerza *resurrexit* posyłam, bo ja dziś będę puszkarzem i niepożałuję prochu na to *wesołe alleluja*. Chwytaj więc żwawo czepiec na głowę i strojną sukienkę, bo wnet i my przyciągniem.

— Dobrze mój kociku! tylkoż ostróżnie tam z tą strzelaniną."

— Fraszki, moja Basieńku! przecieżem nie dziécko. Ba! dajże mi naszą dziecinkę, niech ją także uściskam.

— Ej gdzie tam! śpi mały, jak bobak!

— No, to go w kołysce tylko ucałuję.

I uchyliwszy z nad kolébki zasłonę, na czołku śpiącego dziécięcia tkliwy pocałunek złożył.

Młoda gosposia zostawszy sama z dwiema dziéwkami, po chwili dobyła z pieca ostatnie baby, i wnet się wzięła do zastawienia stołu, który ubrała prawdziwie z pańskim przepychem! Niebrakło ani cietrzewia, ani głuszca, ani nawet dziczéj głowizny, że się już nic niemówi o plackach, mazurkach i babach, o babach, co powyrastały jakby prawdziwe Babilońskie wieże.

Nareszcie, wszystko przygotowawszy, okadziwszy izdebki smółką od mrówek z lawendą, i przywdziawszy świąteczne suknie, klękła przed obrazem z pokorną modlitwą, by uczęstniczyć choć duszą w wielkiéj uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego. I z oczyma utkwionemi w oblicze Matki Najświętszéj, wszystkiemi myślami uniosła się w Niebiosy.... Wtém, jakby piorun uderzył, drgnął cały domek w posadzie, brzękły szyby w okienkach, zahuczały dzwony kościelne, a w ślad zawyły psy na podwórku i żałośnym płaczem zajęczało dziécko w kolébce.... Ból jakiś dziwny przejął serce kobiety, porwała się na nogi z trwogą niepojętą, i zgubiwszy wątek modlitwy, nieprzytomnie szeptała biegąc do kołyski: „Bądź wola twoja!... bądź wola twoja!”... Wzięła dziecinkę na ręce, i z tkliwą pieszczotą tuląc ją do łona, to całowała jasną jéj główkę,

to piosnką, to serdecznym szczebiotem, starała się łzy jéj utulić. Dziécię coraz rzewniéj płakało, nie krzykiem kapryśnego pieszczocha, ale łkaniem żałośném, cichém, lecz głębokiém, wskroś duszę przenikającém, i obejmując rączętami szyję macierzyńską, z jakiémś przerażeniem spoglądało dokoła, jak gdyby straszne marzenie, co je w płaczu ze snu zbudziło, dotąd w oczach mu stało. Pieszczoty, i pocałunki, i śpiewki, i słodkie słówka, ij askrawe kraszanki, któremi matka chciała je zabawić, wszystko było daremne! biedna kobieta sama niewiedziała co począć? Od pieszczot i zabawek przeszła do modlitwy i zażegnywania, od modlitwy do szeptów dla odpędzenia *uroków;* a kiedy to niepomogło, gdy coraz rzewliwiéj łkało niebożątko, tuląc się do jéj piersi, strach szczególniejszy opanował jéj serce, łzy bujne trysnęły z oczu, i przerażona, nieprzytomna sobie, z boleśnym jękiem padła na kolana, łkając z dziecięciem jak dziécię.... A wicher marcowy szturmujący z plutą w okienka, i jęczący w kominie, mięszając się z odgłosem dzwonów, rozbijających się na alleluja, i z ponurém wyciem psów, przerażonych tą nocną wrzawą, jeszcze powiększał tę dziwną zgrczę, która w niéj nagle powstała.... i zdało

się niebodze, że oto się zbliża ostatnia świata godzina, że oto drży ziemia, niebiosa się walą, i na głos straszliwéj trąby Archanioła, umarli z grobów powstają.... W tém nagle skrzypnęły wrota, zatętniały tłumne kroki w podwórku, zagadały jakieś głosy tajemnicze a smutne.... wiatr przycichł, umilkły dzwony, ustało psów wycie i płacz dziecęcy.... drzwi się rozwarły.... kobieta klęcząca spójrzała ku nim, zerwała się na nogi, i z dzikim jękiem, padła na ziemię, jak piorunem rażona, niepuszczając dziécka z objęć zakrzepłych.... Czterech ludzi wniosło do izby skrwawione zwłoki jéj męża, któremu złomek moździerza, rozerwanego w owym potężnym strzale, co to *na wesołe alleluja* szybami zatrząsł w chatynce, roztrzaskał głowę i trupem go położył.

Takie to było wesołe alleluja! Nieprzeczuwała nieszczęsna wdowa, krzątając się ochoczo około *święconego* i ciesząc się doskonałością sporządzonych przysmaków, że wszystko to na stypę mężowską gotuje!... Rospaczy i łez jéj malować niebędę; dość jest powiedzieć, że cios ten straszliwy spadł na nią w trzecim roku najszczęśliwszego małżeńskiego pożycia, i że, pozbawiając ją ukochanego męża, zostawił samiuteńką

na Bożym świecie, wdową i sierotą z sierotą na ręku, bez kawałka chleba przy duszy.

Lecz było to w owe błogosławione czasy, w które, jak wieszcz powiada:

Jeżeli cześć się w życiu oddawała cnocie,
To nieszczęście poczczono w wdowie i sierocie.
„Wdowa"—to słowo było pobudką czułości,
I jak we łzach się zlewa żal wszystkich żałości,
Tak w tém słowie leżała serdeczna wymowa,
I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł „wdowa";
Wdowie w pomoc pośpieszyć niebyło zasługą,
Bo z jéj błogosławieństwem biegło szczęście strugą;
Ale wdowę ucisnąć, to więcéj niż zbrodnia,
I już za życia w sercu piekielna pochodnia.
Tak samo też wierzono, że gdzie jest sierota,
Tam chleba niezabraknie, choć niebędzie złota,
I takiemu domowi Pan Bóg błogosławi,
Co sierotę ode drzwi swoich nieodprawi,
Lecz do serca przytuli, przyjąwszy od proga,
I nauczy miłości i bojaźni Boga.
Czasem toś nierozeznał nawet po pieszczocie,
Które dziécię przybrane, a które jest matki,
Bo się razem chowały i karmiły dziatki,
A gdy któremu dodać—to chyba sierocie.

Nie dziwy za tém, że biedna Barbara z dziecinką swoją, znalazła w ciężkiéj niedoli i współczucie serdeczne i pomoc ochoczą: i nie tylko

niemiała potrzeby powiększać żalu swojego kłopotliwym pogrzebem, lecz i o przyszłość mogła zupełnie się nietroskać. Każdy z kolegów nieboszczyka jéj męża rad był podzielić się z nią dachem i chlebem;—lecz przed wszystkimi poczciwi Podczaszycowstwo, co na pierwszą wieść o jéj nieszczęściu przybiegli z słowem pociechy, ofiarowali najskuteczniejsze wsparcie, prosząc jakby o łaskę, aby po dawnemu mieszkała w tym samym dworku, i nim co lepszego sobie obmyśli, nieodrzucała pensyi i ordynaryi mężowskiéj, a jak synaczek podrośnie, aby im pozwoliła zająć się jego losem i po rodzicielsku wychować: bo powiadali, że wszystko to winni pamięci nieboszczyka, który lat ośm poczciwie dla nich pracował.

Łzy rzewnéj wdzięczności biednéj wdowy były jedyną odpowiedzią na tę ofiarę szlachetną, któréj się godną nieczując, a niemogąc odrzucić, ślubowała w głębi swéj duszy, całém swém życiem wypłacić się za nią zacnym tym ludziom, i święcie ślub swój spełniła.

Skoro więc tylko nieboga nieco ochłonęła z żałości, a z po za łez dójrzała świata, rozjaśnionego rajskim uśmiechem dziecięcia, wnet biegła do Podczaszycowéj, u nóg jéj błagać o

służbę, o pracę, którąby mogła choćby tylko za chléb się jéj odwdzięczyć. A w prośbie téj było tyle prawdy, tyle szczerości, tyle szlachetnéj dumy i poznania obowiązku, że Podczaszycowa musiała uszanować delikatność jéj uczuć, i aby nieupokarzać biedaczki *łaskawym chlebem*, a razem niepozbawiać się słodyczy dobrodziejstwa, wymyśliła dla niéj jakieś lekkie zajęcie, zrobiła nibyto *szafarką*, oddawszy kluczyki od apteczki swojéj, oraz obiecała dawać jéj do szycia suknie i bieliznę.

Mało tego było dla poczciwéj Barbary, która od razu pojęła wybieg dobréj Pani; ale z pokorą a wdzięcznością poprzestała i na tém, obiecując sobie jakoś poradzić, byle tylko mieć o co się zaczepić. Jakoż *in gratiam* swego urzędu, przeniosłszy się z dziéckiem na mieszkanie do dworu, udając zrazu, że niby rada obowiązkowi swemu i dość ma igły i kluczów, tak zręcznie poprowadziła rzeczy, że przy końcu roku opanowała już i spiżarnię i całą garderobę; a stało się to jakoś tak naturalnie, że dobra Podczaszycowa ani się spostrzegła. Bo to podręczna *apteczka* wiele zasobów brała ze spiżarni, więc Pani Barbara *ex officio* musiała nieraz tam zajrzeć, a zajrzawszy, okiem gorliwém spostrze-

gła i to i owo, co nie tak było jak trzeba: więc raz, drugi, po przyjacielsku napomniała klucznicę; a gdy to niewzięło pożądanego skutku, objaśniła Pani cały stan rzeczy, i niby tymczasowo opanowawszy wakujące miejsce, żadnym już sposobem z niego się ruszyć niedała. A Podczaszycowa, widząc jak to raduje poczciwą kobietę, a razem jak gospodarstwu z tém dobrze, po kilkunastu próbach oporu, nareszcie poddać się musiała. To samo i z garderobą; z tytułu szwaczki, biorąc do naprawy suknie i bieliznę, pomału, pomału, zagarnęła jedno i drugie pod swoje klucze, a w końcu, bielizna zaprowadziła ją do pralni, tak samo jak sér i masło, powiodły do obory. Wtedy dopiéro odetchnęła nieco swobodniéj i weseléj na świat spojrzała. Mogła już sobie powiedzieć, ze nie darmo jé chléb u dobrych państwa, którzy się zlitowali nad jéj sieroctwem, i że za grosz ofiarowany i za przytułek jako tako im się wypłaca. Ale choć jéj sumienie mogło być spokojném, niepoprzestało na tém serce, które swą wdzięczność do exaltacyi podniosło. Poczciwa Basia, córka ubogiéj szlachty, od dzieciństwa przywykłszy do szczeréj pracy, — którą, za panieństwa swego, utrzymywała starych rodziców, a po zamężciu, całe

gospodarstwo mężowskie,— służąc Podczaszycowstwu za trzy inne sługi, nic w tém osobliwego niewidziała, i ani pojmowała nieocenionych swych zalet; dla niéj to wszystko było zbyt prostą i naturalną rzeczą: pracy więc swojéj nieuważała nigdy za zasługę, a tém bardziéj za poświęcenie jakiego serce jéj pragnęło. Nieprzestawała więc wyszukiwać coraz nowych zatrudnień, któremiby mogła być pożyteczną ukochanym swym Państwu, i coraz nowe sobie wynajdując, nigdy ich dosyć niemiała: bo coraz większą zyskując przyjaźń u Podczaszycowstwa, i coraz więcéj łask ich doznając, zawsze się nad wartość wynagrodzoną czuła, i ze łzami Boga błagała w codziennéj swojéj modlitwie, by otworzył dla niéj drogę poświęcenia.

Droga ta przed nią leżała otwarta, na niéj się wszystkie jéj ścieżki schodziły; ale codziennie ją depcąc niestrudzoną nogą, zacna ta niewiasta zawsze się sądziła daleką od niéj, i większą połowę brzemienia kłopotliwego życia Podczaszycowstwa wziąwszy na swe ramiona, jeszcze się nieczuła dość obarczoną, zazdroszcząc każdemu, kto mógł dla nich pracować.—A rzeczywiście kłopotliwe było to życie! Ojciec Podczaszyca w zamieszkach krajowych straciwszy całe

mienie, nic, oprócz swego błogosławieństwa i poczciwych zasad, niezostawił synowi. Pan Adolf, wzrosły w dostatkach, a nawet zbytkach, najkrwawszą pracą musiał dorabiać się fortuny, i przy pomocy Bożéj, po kilkunastu leciech poczciwéj służby u dawnych przyjaciół swojego ojca, ujrzał się nareszcie panem kilkudziesięciu tysięcy złotych, za które wziąwszy dzierżawę, zaczął na własną rękę gospodarzyć; a na wspólniczkę swych trudów, wybrał bogobojną, dobrą, pracowitą, rozumną, słowem najzacniejszą, ale ubożuchną panienkę, którą całém sercem ukochał, będąc jéj drogim wzajemnie. Dzierżawa była rozległa, ale spustoszona przez poprzedników do najwyższego stopnia. Chłopi ginęli z głodu, waliły się chaty i folwarczne budynki, remanentów prawie żadnych niebyło, zasiewy zostawione najgorsze,—zgoła ruina. Trzeba było to wszystko dźwigać na nowo, skupowywać dobytek dla siebie i dla włościan, myśléć o wozach, pługach i wszelkich gospodarskich narzędziach, budować chaty, chléwy i stodoły, restaurować gorzelnię, że nic już niewspomnę o płotach, mostkach, grobelkach, i tysiącznych innych drobnostkach, które potrzebowały poprawy i opatrzenia. Nie dziwy tedy, że zacny nasz

Podczaszyc, który nie tylko przez poczciwe serce, ale i przez rozum, nie tylko uważając to za największą zbrodnię, ale i za własną swą szkodę, nie dość że nieciemiężył poddanych, lecz podźwignienie ich z nędzy uważał za najświętszy obowiązek i za najlepszą spekulacyę; nie dziwy, powiadam, że z takiém postępowaniem ciężko musiał pracować i niemało biédy przecierpieć na téj swojéj dzierżawie. A jeszcze Bóg mu błogosławił szczęściem domowém, liczném go obdarzając potomstwem i rzadki rok minął, żeby z nową pociechą, nowy mu ciężar nie przybył, żeby w świątyni rodzicielskiéj miłości pod codzienną ofiarę nowy ołtarz niestanął.

Miarkujcież tedy, ile to nieoceniona Basia miała zajęcia przy tém osobliwszém swojém usposobieniu, przy téj namiętności do pracy, podniesionéj nieodstępną myślą, że nigdy i niczém dość się wywdzięczyć niezdoła dobroczyńcom swoim za litość, doznaną w czarnéj godzinie.—A jednak klucznica, szwaczka, garderóbna, słowem *totumfacka* w niewieściem gospodarstwie, które w najdrobniejszych szczegółach szło u niéj jak najdoskonalszy chronometr, jeszcze więcéj pragnęła i niezliczonych używała wybiegów, aby sobie trudu przysporzyć. Jakoż po kilku leciech

gorliwych starań, ujrzała się wreszcie u szczytu możebnéj szczęśliwości, uwieńczywszy dotychczasowe swoje urzęda, najmilszym obowiązkiem piastunki kilkorga dziatek Podczaszycowstwa;— piastunki—jeśli dość tego nazwiska dla istoty, co wychowańców swoich ukochała więcéj niż własne jedyne dziecię; co nie tylko spoczynku, lecz snu i pokarmu wyrzec się była gotowa, byle tylko pieszczochy jéj drogie były okryte, umyte i syte, zdrowe i wesołe, w porę uśpione, w porę zbudzone, a po bożemu, z świętym paciórkiem, i z moralną nauczką; żeby żadnemu niezabrakło zabawki, i żeby żadne o xiążeczce lub o robótce swojéj niezapomniało: bo starsze czytać, szyć i haftować uczyła... Podczaszycowstwo zwali ją swoim aniołem stróżem, dziatwa niemogąc dobrze wymówić jéj imienia, z Barbary zrobiła *Babę*, z baby babunię, a nazwa ta została przy niéj już na całe życie, nie tylko w ustach dziéci, ale i dorosłych, nie tylko w domu Podczaszycowstwa, ale i w całém sąsiedztwie, i stała się dla niéj prawdziwą chlubą i radością. Widziała w tém ona jakby uświęcenie téj miłości, którą dla wychowańców swych tchnęła, jakoby *przyznanie* jéj za członka téj rodziny, do któréj całą duszą przylgnęła.

I niejeden też z obcych a nieświadomych rzeczy, słysząc jak na nią dziatki wołały Babciu, Babuniu, biegąc w jéj objęcia z tkliwą pieszczotą, widząc jak oboje Podczaszycowstwo przemawiali do niéj z prawdziwie krewniaczą uprzejmością, jak ją sadzali u swojego stołu, przy którym rozdawała potrawy i pilnowała dzieci, niejeden pomyślał, że to doprawdy jakaś ich krewna uboga, jakaś dobra dusza, co wstydząc się służby u cudzych, swoim szczérą pracą i życzliwém sercem płaci za chleb powszedni i za współczucie.

Tak mijały lata niepostrzeżone i nieliczone. Nieoszacowana Baba (zwijmy ją tak jak wszyscy), coraz to szerzéj władając, coraz to gorliwiéj pańskiego dobra i dziatwy strzegąc, cudów dokazywała. Trudno uwierzyć, i jabym niewierzył, gdybym na własne oczy niewidział, jak podoływała tym niezliczonym obowiązkom, dobrowolnie wziętym na siebie, do wypełnienia których dawniéj niedosyć kilku sług było. A co dziwniejsza, że wszystko to szło jak z płatka, i na pozór nic ją niekosztowało, tak zręcznie umiała skryć cały mechanizm tego *perpetuum mobile*, którego tylko błogi rezultat Podczaszycowstwu był widoczny: bo szło jéj o to, aby dobrzy ci państwo poznawszy się na ogromie ponoszonéj przez nią

ofiary, niepozbawili jéj tego szczęścia, które wtedy tylko swojego szczytu u niéj dochodziło, gdy mogła sobie powiedzieć, że nic się w całym dworze niedzieje bez jéj dozoru i pomocy. Od świtu na nogach, nim dziatwa wstanie, już ona bywało obiegnie chlewy, oborę, kurniki, dójrzy nabiału, dowié się do ogrodu, wyda kucharzowi i gospodyni, dla państwa kawę, dla dzieci śniadanie zgotuje, a pilnując garnuszków u kominka, wyprasuje sukienki, czepki i koszulki, i szepcąc sobie godzinki, czynem i słowem Pana Boga chwali; a nieraz jeszcze to i ulubionych kanarków Podczaszycowéj dójrzy, i wazony poleje, i w saloniku prochy pościera. Żebyż to na tém koniec! Każdy z dziéciaków miał jakieś pieszczone swoje stworzeńko, kurę lub gąskę, jagnię lub cielątko, psa albo kota, kruka, srokę lub szpaka, wiewiórkę albo łasiczkę: w domu więc cały źwierzyniec, a wszystko to na opiece poczciwéj Baby i na jéj odpowiedzialności; cała ta zgraja skrzydlatych i czworonożnych musiała być i nakarmiona, i napojona, i oczyszczona, i wolna od wszelkiéj napaści lub krzywdy; i w saméj rzeczy równéj prawie z dziatwą doznawała od niéj pieszczoty i troskliwości, bo inaczéj dziatwa niebyłaby spokojną,

a więc i Baba szczęśliwą. I jeszcze nie koniec. Dziewczęta miały swoje laleczki: trzeba więc było i o stroju dla nich czasem pomyśléć, trzeba było pamiętać i o urodzinach i o imieninach tych bałwanków, wyprawiać dla nich bale, wesela, chrzciny, i t. p. Każde też z dzieci miało swój ogród warzywny, swoję gruszę lub jabłoń, co wszystko szczególniejszego wymagało dozoru. W święta wielkonocne każde z nich musiało mieć swoje własne święcone, na Boże narodzenie — własne kiełbasy, na Boże ciało — własne wianuszki, na Zielone święta — maj własny; a wszystko to o głowę Baby się opierało, na wszystko ona radzić musiała. Pamiętajmy wreszcie i o tém, że i o sobie trzeba było pomyśleć i sobie uszyć i koszulę i suknię, i zrobić pończoszkę, i czepeczek wystroić, a nawet i nici naprząść, (bo młoda nasza Babka, choć we wdowim kapturku, choć przy tylu zajęciach, zawsze jednak strojnie i hożo wyglądała, ubogo lecz chędogo, a wdzięk lica reszty dopełniał). Gdyby tylko zechciała, najlepszą partyę mogłaby zrobić; nieraz się oświadczali o nią officyaliści zamożni, których pociągał znany powszechnie jéj statek, słynna gospodarność, piękna twarzyczka, a nawet i grosz nie lada, bo przy oszczędném życiu i rządności,

przy ciągłych darach od dobréj pani, z pensyi swojéj nic prawie nietracąc, po kilku leciech służby już z parę set rubli złożyła do skrzynki: niebrakło więc wcale dobrych konkurentów; raz nawet jeden dzierżawca, sąsiad Podczaszycowstwa, o rękę jéj prosił, lecz i ten dostał odkosza. Nic niepomogły ani najgorliwsze jego zabiegi, ani namowy dobrych państwa; poczciwa wdówka z wesołą twarzą odrzuciła ten zaszczyt, mówiąc z uśmiechem: „Gdzież tam mnie myśléć o ślubnym wianku? wszakci wiadomo światu żem baba! toż to byłoby śmiechu i zgorszenia!" A gdy Podczaszycowstwo na seryo zaczęli jéj przedstawiać korzyści ze związku z człowiekiem zamożnym, statecznym i kochającym, który mógł zapewnić byt niezależny i jéj i dziecięciu rozpłakała się kobiecina rzewnemi łzami, i ze łkaniem całując ich ręce, prosiła aby jéj nieodpędzali od siebie, aby pozwolili dokonać wieku pod ich błogosławionym dachem: bo o los dziécka swojego, co wzrasta z ich dziećmi, żywiąc się z niemi chlebem i nauką jednaką, może być spokojną, a dla siebie niezna większego szczęścia, jak służyć im do śmierci. Została więc rzecz ta w zawieszeniu; pan Hilary niezaniechał swoich konkurów. Podczaszycowstwo nietracili nadziei,

że się Barbara da wreszcie namówić, i żadnéj nieopuszczali zręczności, aby doprowadzić do skutku ten pożądany związek, w którym jéj szczęście widzieli. Tak minęło dwa lata. Gospodarstwo pana Adolfa, szło coraz lepiéj, dziatwa podrosła, dwaj chłopcy, a z nimi i syn Barbary, poszli już do szkół, słudzy pod przewodnictwem Baby wytresowali się wybornie: pod względem więc materyalnym państwo Podczaszycowstwo nie tak to bardzo uczuliby jéj stratę, a z nałogów serdecznych w każdéj chwili radziby zrobić ofiarę dla dobra téj nieocenionéj sługi. Takiém więc przedstawieniem rzeczy przy ciągłéj namowie, znacznie osłabili upor Babuni; a gdy pan Hilary ułożył się jeszcze z Podczaszycem, aby wziąść na współkę sąsiednią znaczną dzierżawę, pewność, że i za mąż poszedłszy nieoddali się od tych ludzi, do których całą duszą przylgnęła, resztę jéj skrupułów zwalczyła, i na wielką radość Podczaszycowstwa, nieoceniona ich przyjaciółka, ze łzami wprawdzie, ale przecię przyjęła pierścionek od pana Hilarego, a za parę miesięcy miało nastąpić i weselisko.

Tymczasem nastał pamiętny światu rok 1812; ryknęła burza z zachodu, zaszumiała krwawa ulewa, a gdy pustoszały całe krainy, gdy się

waliły staryżytne trony—co za dziw, że w nawalnicy téj srogiéj nieostało się i ciche szczęście Podczaszycowstwa? Pan Adolf, wyjechawszy raz w pole, przepadł gdzieś bez wieści. Podczaszycowa w śmiertelnéj trwodze, rozesłała gońców na wszystkie strony, żeby ślad jego wyszukać; lecz mijały dni i tygodnie, a żadnéj poszlaki powziąśc niemożna było, żaden promyk nadziei nieprzebił się przez pomrok niepewności i czarnéj nierozjaśnił troski. Nareszcie jakiś wędrowny kramarz przyniósł jéj liścik od męża, datowany z obozu, z słowem pociechy, z prośbą o przebaczenie. z błogosławieństwem dla dziatwy, z listkiem wawrzynu, z zapowiednią oliwnéj gałązki,—i rychłego da Bóg powrótu. Po owych dniach rospaczy, które biedna Podczaszycowa przebyła w niewiadomości o jego losie, wieść ta stała się dla niéj źródłem niewymownéj pociechy. Dość dla niéj było, że przynajmniéj wiedziała gdzie go szukać marzeniem i błogosławieństwem w rzewnéj modlitwie, a resztę zdawszy na Boga, z rezygnacyą ugięła głowę przed najwyższym Jego wyrokiem, z ufnością w nieograniczone Jego miłosierdzie poleciła Mu pięcioro swoich dziateczek, z których lada chwila jedno cięcie pałasza, jedna kula złowroga—

pięcioro sierot uczynić mogła. Poczciwa Baba z równąż radością błogą wieść przyjęła, z równąż rezygnacyą zdała się na Bożą wolę; tylko jeszcze gorliwiéj zajęła się swą pracą, jeszcze większą miłością otoczyła swą panią i swych pieszczochów, i susząc trzy dni w tygodniu, coraz dłuższe i gorętsze modlitwy szeptała. Pana Hilarego witała po dawnemu życzliwie; ale o weselu mówiła niechętnie, coraz to nowe wynajdując zwłoki. Aż jednéj nocy wpadła do dworu banda maruderów, i zawinąwszy się po swojemu, do świtu wszystko obróciła w perzynę. Z gospodarskich budynków, z takim kosztem i trudem wzniesionych przez Podczaszyca, kupa tylko gruzów została, całoroczną krescencyę płomień pochłonął, cały dobytek uprowadzili rabusie, zabrali srébra i klejnoty i wszystkie pieniądze, przygotowane na opłatę półrocznéj raty. Biédna Podczaszycowa w jednéj godzinie przyprowadzona do ostatniéj nędzy, ledwie z duszą uciekła z Babą i dziateczkami, dzięki poczciwym kmieciom, co ją z narażeniem własnego życia, manowcami w lasy wywiedli.

Trzebaż ubarwiać i poetyzować położenie nieszczęsnéj téj rodziny? Dość spójrzeć na nią skupioną w trwożnéj gromadce śród gęstwi puszczy

u tlejącego żarzewia, by pojąć cały ogrom niedoli, co ją dotknęła. Oto na omszonéj, przegniłéj kłodzie, matka z wybladłém licem, z oczyma zaiskrzonemi gorączkowym ogniem, z sinemi usty, tuli niemowlę do łona, co usteczkami wpiwszy się do jéj piersi, krew chyba, a nie mléko z niéj wyssie; u nóg jéj przykląkłszy na mokrej ziemi, dwa starsze chłopaczki kryją twarzyczki na jéj kolanach, łkając w tłumionym płaczu, i z uniesieniem tulą się do niéj, oplotłszy jéj kibić swemi rączętami, jak gdyby się bały, by im kto niewydarł téj jedynéj podpory.—Ona zaś nieboga, przygnieciona ogromem swéj niedoli, osłupiała, bezwładna, jak gdyby posąg najwyższéj boleści, oczyma tylko dając znak życia, rospaczliwe spójrzenie z chłopaczków na niemowlę przenosi, to znów ku czwartéj dziecinie spoziera, co utulona w objęciach Barbary, śpi niebożątko, i we śnie jeszcze niekiedy łkaniem się odzywa. Barbara pod zwieszonemi gałęziami jedliny, kołysząc na ręku uśpioną dziéweczkę, z niewysłowioném współczuciem wodzi wzrokiem po kochanych swoich; ale w jéj twarzy niewidać rospaczy, jéj oczy niebłyszczą tym dzikim płomieniem, co to ze zgliszcza serca tylko się wyrywa; w postawie jéj nieznać tego przygnębienia, téj odrętwiałości

wszystkich władz duszy i wszystkich uczuć, opócz uczucia bolu; lica jéj promienieją rezygnacyą świętą, w spójrzeniu błyska niezłomna wola, cała postawa tchnie wzniosłym zapałem poświęcenia się bez granic, na czole wyryte jakieś postanowienie niezłomne. Przy ognisku nareszcie krząta się chłopek, krzepki, wysoki, herkulesowéj postawy, z pięknem, choć ogorzałém obliczem, w którém obok powagi i mocy charakteru, znać chęć serdeczną i skwapliwość w pomocy, a razem jakieś wewnętrzne zadowolenie i niby radość, że im przecięż na coś się przydał. Wkoło noc ciemna, i cisza głucha; tylko po nad głową, pod niebem gdzieś wysoko, wiatr depcąc po szczytach sosen, szeleści mglistą swą szatą, tylko niekiedy ognisko zaszumi, lub z trzaskiem iskrę wyrzuci z mokrego drewna, ścieląc dym gęsty po mchu wilgotnym i bladawym płomieniem oświecając smutną gromadkę. A na mrocznych niebiosach, tam w dali, krwawa łuna migoce... czy odblask pożaru pożerającego resztki mienia Podczaszycowstwa, czy płomień nowego ofiarnego stosu na cześć Bellony?

Taka to była owa noc klęski biednéj rodziny, wygnanéj z pod zacisznego dachu, z za dostatniego stołu, z wygodnéj pościeli, z pośród

życzliwéj służby, w dziką gdzieś puszczę, między drapieżne źwierzęta, na mech za łoże, na łzy za pokarm, na rozpacz o jutro, na trwogę o każdą chwilę.—Nie dziwy zatém, że matka kamieniała z boleści, patrząc na czworo dziatek, z których najstarsze ledwie ósmy rok miało, których ani czém przykryć od chłodu i wilgoci, ani czém nakarmić niebyło! a dla których jedna noc taka, po dawniejszych wygodach, śmiertelną chorobę sprowadzićby mogła; że nic już niemówię o przyszłym losie!...

Po chwili ponurego milczenia:—Maxymie! —szepnęła Baba do chłopa, znoszącego chróst na ognisko—uzbieraj-no żwawo wrzosu i mchu suchego, i pościel tam pod drzewem, pora myśléć o spaniu.

Maksym się rzucił skwapliwie, i w parę minut pod rozłożystą jodłą usłał obszerne łoże, i własnym już pomysłem, przykrył je swoją siermięgą.

— Bóg zapłać!—rzekła Barbara—poczciwe z ciebie człeczysko.—I łza błysnęła jéj w oku; a Maksym tylko dobrodusznie się uśmiéchnął; i dłoń przyciskając do oczu:—Ależ to dym przeklęty!—mruknął niby z gniewem.

— Ej dobra duszo!—odparła Baba—nie dym,

a biéda nasza łzy tobie wyciska.—I westchnęła biedaczka, a po chwili znowu szepnęła: Michasiu! chodź-no tu, kociczku!

Starszy chłopaczek, klęczący u nóg Podczaszycowéj, obrócił ku niéj zarumienioną od rzewnego płaczu twarzyczkę, i spójrzał pytającym wzrokiem.

— Chodź-no tu, moje złotko!—powtórzyła Barbara— pomożesz mi Zosię położyć,

Michaś pośpiesznie przybiegł do piastunki i spytał łzawym głosikiem:

— Jakże ja Babci pomogę?

— Odepnij mi fartuszek i rozwiąż chustkę z głowy—rzekła piastunka schylając się ku niemu; a w tém się zerwał i drugi chłopczyna i stając przy niéj—Babciu! Babciu! zawołał, chlipiąc jeszcze biedaczek—niechże i ja pomogę, ja fartuszek odwiążę.

— Dobrze, dobrze, moje aniołki. Michaś zdejmie chustkę, a Oleś fartuszek; z chustki zrobim prześcieradełko, a z fartuszka kołderkę dla biednéj Zosi. Józię mama koło siebie przytuli; a wy moje robaczki, objąwszy się rączkami, wzajemnie ogrzewać się będziecie. Mama się położy z prawéj, wy z lewej strony Zosieczki, to jéj zaciszniéj będzie. Tylkoż mi pamiętajcie niebrykać

nogami, leżeć cichuteńko, żeby siostrzyczki niezbudzić.

—A babcia? zapytali chłopcy jednym głosikiem.

—I ja tu koło was.

—To kładnijże się pomiędzy nami aby tobie zaciszniéj było.

Rzewny uśmiech wybiegł na usta poczciwéj Barbarze, łza znowu błysnęła w oczach.—Nie, moje pieszczotki, my z mamą będziemy leżały na brzegu, mama z jednéj a ja z drugiéj strony, żeby czuwać nad wami.

—A nad mamą i Babcią ktoż czuwać będzie?

—Pan Bóg, moje aniołki. Pan Bóg miłosierny, i nad mamą, i nad Babcią, i nad wszystkimi będzie czuwał. Klęknijcie, moje wy lubki, a zmówcie szczery paciórek, żeby go o tę opiekę uprosić.

Michaś się rzucił na klęczki, — Oleś się nieco zawahał...

—Jak to Babciu? już pacierz? a wieczerzy niebędzie? spytał ze smutkiem.

—Ach ty żarłoczku, żarłoczku! szepnęła babcia, udając wesołość, i tłumiąc płacz rzewny, co gwałtem z serca się jéj wydzierał... Dzisiaj wigilija do *Zmiłowania Bożego*, to się niegodzi

jeść wieczerzy. Widzisz że i mama nic niejé, i Babcia także, i Michaś jeść niebędzie...

Chłopczyna się skrzywił, westchnął po cichu, echo stłumionego płaczu ozwało mu się we łkaniu; ale z pokorą ukląkł przy swym braciszku, i drobne rączęta do paciórka złożył. Barbara tymczasem złożyła uśpioną Zosię na mchowém posłaniu, ucałowała jéj czołko ostrożnie, i przeżegnawszy po trzykroć, przykryła swoją chuściną, a potém, padłszy na kolana przy dziéciach, głośno pacierz zaczęła.

Podczaszycowa, która dotąd pogrążona w niemėj boleści, siedziała bezwładna, obumarła prawie, — kiedy zabrzmiały rzewne głosy dziécięce, powtarzające słowa świętéj modlitwy, co z czystéj duszy Barbary wyrywała się ku Bogu tym jękiem łzawym, serdecznym, co to wszystkie mocy niebieskie porusza; zwolna i jéj serce zaczęło wracać do życia i czucia, ciche łzy potokiem z oczu się rzuciły; i ona osunęła się mimowolnie na klęczki, i niemą, a wymowną modlitwą uderzyła w niebiosy. I piérwszy dowód zmiłowania Bożego uczuła w téj błogosławionéj ufności, co nagle serce jéj objęła i napełniła spokojem i rezygnacyą. — Poczciwy Maxym, skrywszy się za grubą jodłę, padł na kolana

czołem do ziemi, a bujne łzy gradem z oczu mu się sypnęły; ale niewsiąkły do mchu leśnego, bo je w lot rozchwytali święci anieli, chyżo unosząc w Niebo, gdyż były to łzy - klejnoty, Koh-i-noory rajskiéj skarbnicy—łzy litości.

Po skończonéj modlitwie, kiedy chłopaczki rzuciły się ku matce, aby na dobranoc ucałować jéj ręce, nagle zaszeleściało coś między drzewami, a nim Maxym porwał maczugę, by spotkać niespodzianego wroga, krzyk przerażenia, co zrazu wyrwał się z ust wszystkich na widok jakiegoś źwiérza wpadającego na skupioną gromadkę, raptem się zmienił w powszechny okrzyk radości.—Żuczek! poczciwy, wierny, Żuczek! wołały dzieci obejmując psa zziajanego, co z radośném skomleniem od jednéj osoby rzucał się ku drugiéj, to wspinając się na piersi, to ręce liżąc, to u nóg się czołgając, to znów w rączych poskokach śmigając po lesie, jakby mu ciasno było na jedném miejscu z tą jego wielką radością.—Był to ulubieniec i pieszczoch całéj rodziny: nie dziwy tedy że ją wytropił, i że się tak cieszył znalazłszy drogich swych zbiegów, od których się był odbił wśród wielkiéj trwogi w rabunku.

Mała ta na pozór okoliczność nadzwyczaj

błogi wpływ wywarła na usposobienie znękanéj matki, odrywając ją do reszty od tych czarnych myśli, co ją przed chwilą niezliczonym rojem opadły, i wracając zupełną władzę téj rzewności, co to w wielkich nieszczęściach jest jedyném szczęściem dla zbolałéj duszy, we łzach ulgę mającéj.—Długo trwały pieszczoty i uniesienia; poczciwy Żuczek z rąk do rąk przechodził, z uścisków w uściski; aż wreszcie do snu się zabrano. Dziatwa ciągnęła Żuczka z sobą na pościel, i Babcia mu nakazywała aby się przy nich położył; ale zmyślne stworzenie, zrazu usłuchawszy ich woli, zaledwie chłopcy zasnęli, wnet zwlekło się z ich łoża, i obszedłszy do koła placyk koczowiska swych panów, legło opodal na jedynym przesmyku, co tam prowadził.—Baba układłszy całą rodzinę, dla uspokojenia swoich wychowańców przytuliła się przy nich; ale jak tylko spostrzegła, że i oni i Podczaszycowa śpi już spokojnie, cichuteńko także powstała i podszedłszy do Maxyma czuwającego przy ogniu z maczugą w ręku, długo coś z nim szeptała, to perorując z zapałem, to niby się gniewając, to prosząc. Maxym z początku głową tylko potrząsał, i czoło chmurzył, i ręką machał; aż wreszcie widocznie dał się udobruchać, i z

rozrzewnieniem w twarzy szepnął: „Szczęśćże Wam Boże!" Barbara wzięła kij w rękę i ruszyła w głąb' lasu, a on ją znakiem krzyża przeżegnał. Żuczek się zerwał na nogi, spójrzał na Babę jakby z zadziwieniem, i naszczurzywszy uszy stanął tuż przy niéj, jakby się domagając sprawy z tego co czynić myśli. Barbara pogłaskawszy zmyślną jego głowę,—„Prowadź mię, Żuczku, szepnęła, prowadź do domu!" Żuczek obejrzał się ze smutkiem na śpiących Państwa, spójrzał raz jeszcze w oczy Babuni, i ruszył po przedzie, ogon zwiesiwszy.

Nazajutrz ledwie pierwsze promienie słońca przebiły się przez zieloną gęstwinę, ledwie ptaszęta poranną modlitewkę skończywszy, zaczęły chwytać uśpione jeszcze muszki na kwiatach i strącać brylantową rosę z gałązek, gdy niespodziany szelest znowu zwrócił uwagę czujnego Maxyma, który na straży całą noc przesiedział, podsycając ognisko, co od komarów i od wilgoci biédną rodzinę strzegło. Spójrzał w tę stronę— z gęstwi wynurzył się nasz Żuczek, objuczony jakimś węzełkiem, a drugi mniejszy niosąc na szyi, spójrzał na śpiących, wyszczérzył z umizgiem zęby do Maxyma, machając ogonem, i stanął, obzierając się po za siebie. W ślad za nim

ukazała się i Barbara, z twarzą rumianą od wielkiego znużenia i bujnym zroszoną potem, ale promieniejącą niewymówną radością, obarczona potężnym worem, z dużą butelką zawieszoną na szyi, z węzełkiem pod pachą, z kobiałką w ręku, a na jéj ramieniu siedziała wesoła sroczka, skrzecząc, podskakując, trzepiąc skrzydełkami i wachlując ogonem. Uśmiéchnął się Maxym radośnie i przeżegnał się zdumiony; a Babcia nieoceniona, kładąc na ustach palce na znak milczenia, skinęła na niego, aby jéj dopomógł rozpakować przyniesione ciężary, i mitygując wykrzykującą sroczkę, rozwijała z nim razem węzełki, worki i woreczki, dobywając chléb, masło, krupy, jaja, sér, mléko, kurczęta i owoce, łyżeczki, miseczki, szklanki, garnuszki i noże. Maxym się nieposiadał z radości i zdumienia, świerzbiał go język do rozmowy; ale Babunia uporczywie milczała, trzęsąc tylko głową, i na łeb na szyję biorąc się do sporządzenia śniadania. A gdy już garnki stanęły przy ogniu, dopiéro wtedy wziąwszy w ręce swawolną sroczkę, posadziła ją na pościeli uśpionych dziatek.... Zmyślna ptaszyna poznała swoich przyjaciół, i wskoczywszy Michasiowi na główkę, nuż go skubać za włosy i zlekka

szczypać za uszy.... Ocknął się chłopaczek, a ukochaną sroczkę ujrzawszy, radośnym okrzykiem zbudził braciszka i matkę, która w błogiém zdumieniu, w dłonie klasnęła, uśmiéchem i weselem dzień Boży witając, choć to w ciężkiém wygnaniu!—Maxym skubał brodę wpółuśmiéchnięty, Babcia płakała słodkiemi łzami, a chłopcy nieposiadały się ze szczęścia, bawiąc się ze sroczką swoją. Wesołe ich krzyki zbudziły i Zośkę, która się także przyłączyła do ich szczęsnego chóru, ocknęło się wreszcie i niemowlę, a i temu błogosławiona ręka anioła w uśmiech usteczka ubrała, na pociechę duszy macierzyńskiéj. A gdy w końcu przeszły piérwsze uniesienia radośnego podziwu, sypnęły się pytania, wnioski i domysły: zkąd się tu sroczka wzięła?

—Sama przyleciała, ptaszki moje drogie! rzekła Barbara z uśmiéchem.

—Poczciwa sroczka! poczciwa! wołały dzieci. A sroczka tymczasem zajrzała do garnka, stojącego na stronie, i usiadła na ramieniu Podczaszycowéj z kawałkiem séra w dziobie.

—Mameczko! Babciu!—krzyknęły dzieci—sroczka séra przyniosła.

—I séra i masła i krupek,—podchwyciła Babunia—a Żuczek przywiózł chléba, kurcząt, i garnki i szklanki! Patrzcie, lubeczki moje! ot się już i śniadanie gotuje...

Umilkły dzieci zdumione, a Podczaszycowa, zalana łzami wdzięczności, z uniesieniem pochwyciła w objęcia sługę-przyjaciółkę, a łkanie i pocałunki za najwymówniejsze słowa stanęły. Pojęły i chłopczyki co się to święci, i rzuciwszy się na szyję drogiéj piastunki, daléjże obejmować i pieścić, a Zosia, mała zazdrośnica, i sobie toż samo, choć niewiedząc dla czego.

Gdy się uspokoił wybuch wdzięczności, zaczęły się nowe pytania, jak się to stało? co w domu się dzieje? i t. p.

—„Och lubeczki moje! źle słychać w domu! niéma już gniazda waszego, ptaszki kochane!.. mówiła Babcia, łzy ocierając rękawem.—Jakem ztąd poszła, skoroście posnęły, tak poczciwy Żuczek jak raz mię wyprowadził na Hryćkową polankę, a ztamtąd dwór już widać jak na dłoni. Ej, to to rozumne psisko! Bez niego nietrafiłabym nigdy! Jak ruszył po przedzie, to jak kulą strzelił, ani na krok niezmylił, tylko się ogląda, żebym się nieodbiła daleko, a jak przystanę trocha, to siądzie, i hau, hau, półgłosem, niby

to huka, niby nawołuje, jak jaki człowiek!... Otoż tak wyszliśmy na Hryćkową polankę... załamałam ręce, zapłakałam rzewnemi łzami, i Żuczek zawył żałośnie: bo dwór nasz cały stał ogniem objęty, i dom i folwark i gumna i obory i chlewy, wszystko zalało ogniste jezioro, straszne, grzmiące, ryczące, aż mi włosy wstały na głowie i serce zastygło! kolana się podgięły, jakby kto kosą podciął, i padłam na klęczki z modlitwą i płaczem... A co wiatr wionie, to z ciepłym dymem przyniesie smutny jęk dzwonów z naszéj wioseczki, i wycie psów, i ryk ponury bydląt, aż mi się przypomniała owa noc straszna wielkiéj Soboty, co grób otworzyła mężowi memu. Niewiém już jak długo takbym przetrwała, gdyby mi Żuczek przytomności niewrócił, gdyby niezaczął skomléć nademną i szarpać mię za suknię, ciągnąc w dalszą drogę. Płacząc powlekłam się za moim przewodnikiem i już sama niewiém, jak, obszedłszy nasze drogie Zabrodzie, dostałam się do Kuźmicz, i zastukałam w okno poczciwéj naszéj Organiścinéj. Ej, dobraż to dusza! dobra! jak tylko głos mój posłyszała, tak bosa, w jednéj koszuli, zerwawszy się z pościeli, wybiegła drzwi otworzyć, i daléjże mię z płaczem ściskać a całować—

biedniż wy, biédni! wołając. Wprowadziła do chaty, rozniecila ogień w kominku.— A możeś głodna? a moze kaszki na prędce? albo jajecznicy? albo to, lub owo? Podziękowałam, ale napróżno; zaraz wzięła się do gotowania i smażenia, a krzątając się przy ogniu, raz w raz pyta:—A co tam z waszymi? gdzie oni? czy żywi? czy zdrowi? a pani Podczaszycowa? a Michaś, a Oleś, a mała Józia? a Zosia?— Musiałam od początku wszystko opowiadać, i jak na nas napadli, i jak zrabowali i podpalili, i jakeśmy z duszą do lasu uciekli. Napłakałaż się biédna słuchając! potém mię nakarmiła, choć siłą, mocą, bo mi nic w gardło nieszło ze smutku; nakarmiła i Żuczka, mało mu boki niepękły, i w łóżku mię swojém położyć chciała. Ale nie do tego mi było... powiedziałam jéj prawdę za czém przychodzę, że moim robaczkom i chłodno i głodno, i że tak gdzieś poginą w lesie. Więc skoczyła co żywo do swojéj spiżarni, i daléjże znosić i to i owo, i nadawała mi wszystkiego, i jadła, i naczynia, i trochę bielizny i pościółki, —niech Bóg jéj za to zapłaci! i już sama czem prędzéj do drogi mię nagliła. A tu i świtać zaczęło... Miałam już ruszyć, kiedy nadbiegła stara Bondarycha, a z nią Pawlukowa, i Chima,

i nuż mi ręce z płaczem całować, a prosić, żebym o państwu drogich mówiła.... i napłakałyśmy się do woli. A potém jak zaczęły znosić każda od siebie, to jaja, to krupy, to sér, to masło, że i na furę tegobym niezabrała! Poczciwe dusze!... podziękowałam im tylko, i skokiem ruszyłam w drogę, bo mi się chciało wrócić nim tu powstają. Biegłam więc co żywo, ale mijając Zabrodzie, nad którém już tylko chmura dymu ponad zgliszczem wisiała, i kiedy niekiedy tylko z trzaskiem gdzieś płomień buchnął. Myślę sobie: zajrzę do sadu, może gdzie znajdę jabłko, lub gruszeczkę dla moich robaczków drogich. Gdzie tam! wszystko zniszczyły te przeklętniki, jak szarańcza jaka! gałęzie tylko stérczą! obiegłszy cały ogród, i popatrzywszy na dymiące się zwaliska dworu, zapłakałam gorzkiemi łzami i popod leszczynkę poszłam na pole; aż tu raptem słyszę—czecze, czecze!—nad moją głową. Serce mi zadrżało i aż się zatrzęsłam z wielkiéj radości, bo mi na myśl przyszła sroczka nasza kochana!—Spójrzę—aż doprawdy to ona! siedzi na drzewie, skrzecze i skrzydełkami trzepie, wdzięcząc się do mnie; łzy słodkie z oczu mi się polały! gdybym mogła, tobym na drzewo do niéj wleciała!... Sroczko,

sroczko! kochana sroczko! a ona fyrk mi na głowę, i daléjże się pieścić i przymilać.—Ale niebyło czasu do stracenia! miła mi sroczka, ale milsze ot te ptaszęta i choć z serdecznym żalem, myślałam już się z nią rozstać, bo mi ani do głowy nieprzyszło, żebym ją mogła tu przynieść. Ruszyłam tedy... kiedy się obejrzę, aż ona za mną! czeczecze! czeczecze! i wciąż z drzewa na drzewo, daléj i daléj! a jak wyszłam na pole, tak ona siadła mi na głowie, i to podlatując, to znów przysiadając, to czasem na Żuczku jadąc, dostała się z nami do lasu, a tam znowu z drzewa na drzewo, z drzewa na drzewo, aż tu przyleciała, ptaszyna droga!"

Tak to poczciwa Barbara opowiedziała swoję wyprawę, a całe grono słuchało jéj z natężoną uwagą, czasami tylko to wykrzykiem, to smutném westchnieniem, lub zapytaniem jakiémś przerywając opowiadanie. Kiedy skończyła, Podczaszycowa powtórnie uściskała ją z uniesieniem, i dziatki z pocałunkami do niéj się rzuciły, a Maxym, zbliżywszy się w milczeniu, z uroczystą powagą ręce jéj ucałował... Rozrzewniona Barbara, wyrwawszy się z tkliwych uścisków, pośpieszyła do ognia, przy którym się gotowało śniadanie,—i po małéj chwili cała gromadka

biédnych tułaczy, zasiadła dokoła pnia przykrytego obrusem, spożywać co Bóg jéj zesłał przez ręce nieocenionéj sługi.

Dzień minął dość znośnie: dla dzieci, nie pojmujących ogromu nieszczęścia, którém Bóg ich dotknął, na zabawie z Żuczkiem i sroczką, na szczebiotaniu z piastunką, na zbieraniu kwiatków, jagód i grzybów, na słuchaniu bajek, które im Maxym prawił;—dla Podczaszycowéj w łagodnym smutku, osłodzonym tkliwością dobréj Barbary, widokiem rozweselonych dziatek, oraz ich pieszczotą;—a dla Barbary, na ciągłém poświęceniu się i przemyśliwaniu, czémby rozproszyć ponure myśli i żałobę kochanéj Pani, czém dziatwę zabawić?...—Ostrożność radziła nieopuszczać ukrycia, gdyż banda rabusiów plondrowała jeszcze po okolicy; a choć do Zabrodzia niemiała po co już wracać, bespieczniéj było przeczekać nim się zupełnie oddali, w inne strony niosąc spustoszenie. A więc i drugą noc w lesie spędzono, ale już z swobodniejszym umysłem, i z weselszém sercem: bo i głód było czém odpędzić, i pościel się znalazła, choć gruba. Barbara chwilkę zdrzémnąwszy, zerwała się z północka, i znowu z Żuczkiem ruszyła na zwiady, i znów o świcie była z powrotem; ale

już nie sama. Przyprowadziła z sobą dwóch ludzi ze służby dworskiéj: a skoro tylko Podczaszycowa i dziatki ze snu się zbudziły, pośpieszyła ku nim z radośną nowiną że już niebespieczeństwo minęło, i że mogą pożegnać swoje schronienie. Jakoż co żywo zabrali się w drogę. Słudzy i Maxym wzięli starszą dziatwę na ręce, Barbara Józię, i wkrótce, przy wesołém naszczekiwaniu Żuczka biegącego po przedzie i skrzekotaniu sroczki, przelatującéj z drzewa na drzewo, ścieżynką wyszli na polankę, na któréj czekał na nich, z drabiniastym wozem, zaprzężonym w cztéry chłopskie konięta, stary ich furman, Maciej, który aż zapłakał z radości, ujrzawszy swoich kochanych panów.

—I gdzież nas powieziesz?—spytała Podczaszycowa ze smutkiem, gdy poczciwiec ze łkaniem kolana jéj całował.

—A już to pani Barbara pomyślała o tém!—odpowiedział Maciej—i jakoś to będzie a między ludźmi, przynajmniéj moim Państwu kochanym bespieczniéj, niż między wilkami. Chwała Panu Bogu, już te zboje przeklęte poszły sobie do djabła, to niéma się czego obawiać! Bodajby z piekła nie wyszły, psie syny! zabrali moje karosze, poniszczyli powozy, i ot czém przyszło mi wozić moję Panią najmilszą!

—Ot dałbyś pokój, Macieju, z swoją gawędą! siadaj na kozieł i wdrogę!—zawołała Barbara.

—Ba, ba! gdyby na kozieł!.. niech-no Imość siada przy dzieciach, a już pójdę przy wozie jak czumak jaki... i westchnął stary.

Usiadły tegy kobiéty i dzieci na wozie wysłanym sianem, Maxym, Maciéj i reszta, stanęli przy nim i ruszyli w drogę, poprzedzeni tylko przez Żuczka w wesołych susach, bo sroczka już niemogła wydrzeć się z rąk dziatwy, lękającéj się aby niepozostała w lesie.

Około południa dostali się do Zabrodzia, gdzie ich zacny Wikary, uprzedzony przez Basię, przyjął do swego domku, który jedynie z kościołkiem, jakby jakim cudem, ocalał, gdyż z resztą, w calutkim dworze, ani kołka nie pozostało po straszliwym pożarze; a nawet ustąpił go zupełnie pani Podczaszycowéj, sam się przeniosłszy do Kuźmicz, o pół wiorsty odległych, gdzie dlań organista wygodny pokoik w swym domku przeznaczył.

W porę przybyli! bo tegoż dnia Podczaszycowa, skołatana przebytém srogiém cierpieniem, zapadła w ciężką chorobę i legła na łożu, a z nią i dziecinka, którą swą piersią karmiła.

Łatwo wyobrazić sobie położenie Barbary, która o wszystkiém sama jedna myśléć musiała, a kiedyby dość było kłopotu w zaopatrywaniu zdrowych w nieodbite potrzeby życia w zniszczonym dworze, u niéj jeszcze i chorzy się znaleźli! O! ciężka była to próba! nad siły słabéj kobiéty! a jednak ona nieupadła pod tém brzemieniem! i wytrwała mężnie do końca... I gdybyż tylko to jeszcze! gdyby z chorobą i nędzą miała tylko wojować!... To dla niéj były prawdziwe fraszki! spiżarnię rychło zaopatrzyła, zdobyła się nawet i na bieliznę, i na jakie takie sukienki, sam Bóg wie, jakim już cudem: troskliwą opieką, i nieodstępném czuwaniem, podźwignęła chorych z niemocy, a przynajmniéj niebezpieczeńswo odpędziła.... lecz nowa bieda się znalazła, twardsza nad wszelkie inne, a i téj trzeba było zaradzić, i od téj drogie głowy ochronić.

Zaledwie Podczaszycowa zaczęła nieco przychodzić do siebie, gdy dnia jednego przyjechał do Zabrzezia plenipotent dziedzica, którego Barbara przez okno ujrzawszy, co żywo w ganek wybiegła, żeby do drogiéj Pani niedopuścić, bo się domyśliła o co rzecz idzie. Dwa tygodnie minęło od terminu tenuty, a więc pan pełnomocnik

nieodebrawszy spodziewanych pieniędzy, przybył osobiście o nie się upomnieć. Barbara, oświadczywszy mu że Podczaszycowa leży w ciężkiéj chorobie, grzecznie go zaprosiła na *przeciwek*, i heroicznie znosząc obelżywe obejście się spanoszałego służalca, a nadskakując mu wszelkiemi sposobami, sama zaczęła rozmowę o tym smutnym przedmiocie, który go do Zabrzezia sprowadził.

—I cóż to do Waćpani należy?—fuknął opryskliwie pan plenipotent.

—Ach Wielmożny Panie!—odrzekła Basia z pokorą,—do kogoż ma należeć? Pan Podczaszyc daleko, Pani w chorobie, ekonom jeden i drugi uciekli gdzieś, ratując duszę: ja więc tu za wszystkich....

—A więc, szanowny kolego,—rzecze przybylec szyderczo wykrzywiwszy gębę,—mocno mię to cieszy, że mam od kogo przyjąć tenutę, na którą już tak długo daremnie czekam;... a razem....

—Ach Wielmożny Panie!—przerwała mu Barbara, błagalnie ręce składając—gdybym własną duszą mogła ją zapłacić, tobym i duszy niepożałowała!...

—Licha zapłata! tu o pieniądze idzie....

—Ach Panie! Panie! skądże wziąść tych pieniędzy, gdy cała summa za półroczną ratę, przygotowana do wypłacenia, wpadła w ręce rabusiów, razem z całém mieniem Pani mojéj kochanéj.

—Facecye! lisie wybiegi! jużciż kto ma czas myśléć o ucieczce z kupą bachurów, ten może i pieniądze wychwycić.

Barbarze w oburzeniu krew' buchnęła do głowy, ale się powściągnęła w gniewliwym zapędzie, i znowu rzekła błagalnie:

—Bogiem się świadczę, że prawdę powiadam! na krucyfixie przysiądz gotowam!

—Na djabła mi twoje przysięgi!—fuknął pełnomocnik.—Ja niewchodzę w powody, i niemam potrzeby słuchać Waścinych lamentów; oświadcz tylko swojéj pani odemnie, że jak natychmiast, rozumiesz? natychmiast niebędę miał pieniędzy za półroczną ratę, i jak mi niewróci szkód przez pożar zrządzonych, to ją wyrzucę do djabła z całém jéj gniazdem.

Barbarze ledwie krew' niewytrysła przez oczy; zacięła jednak usta, przycisnęła rękę do serca, ofiarując Bogu swoje cierpienie, i znowu rzekła pokornie:

—Ależ Panie Wielmożny! czyż my temu

winni, że rabusie dwór nam spalili? Ja sądzę, że gdyby sam dziedzic był w domu, to nietylko nieupominałby się o wynagrodzenie, ale ze swojéj strony, indemnizacyęby ofiarował w takiém nieszczęściu. I jeśli Pan niechcesz nic podobnego uczynić, to przynajmniéj pozwól odnieść się do niego. Pewna jestem, że on przez samą ludzkość, przez sprawiedliwość, jeśli już nie przez pamięć na przyjaźń z panem Podczaszycem da nam jakąś folgę w téj biédzie.

— Cha cha cha! przyjaźń z jakimś charłakiem, to wyśmienite! Ale co mi tam dziedzic! — krzyknął plenipotent, w stół pięścią stuknąwszy, — ja tu pan, ja dziedzic, i tak będzie jak każę!... ruszaj waćpani do possesorki....

Tego już było za nadto! przepełniła się miarka cierpliwości Barbary, porwała się jak lwica, i przyskakując do zuchwalca z zaciśniętemi pięściami: — Słuchaj ty urwipołciu jakiś! — krzyknęła, — ja ci inaczéj zagadam, kiedy nierozumiesz ludzkiego głosu! won zaraz! won drapieżniku! bo cię kijem wyproszę; a niech-no wróci pan Podczaszyc, to ci batogami tenutę wyliczy, bo szkoda kulki na takiego łajdaka won!! — i drzwi rozwarłszy, imponującym gestem, próg mu wskazała.

Nic śmieszniejszego nad minę, w jaką ten wykrzyk pana Rządcę ustroił! maleńka jego figurka, co się dęła i *buńdiuczyła* przed chwilą, jak indyk jaki, nagle się skurczyła, i jeszcze bardziéj zmalała, pobladła małpia twarzyczka, lisie oczęta zaczęły biegać, jakby upatrując którędy łatwiéj uciekać, zatrząsł się cały, zagryzł posiniałe usta, i porywając czapkę czémprędzéj. —Czy tak?—wyjąkał—a! to dobrze!—i piorunem za drzwi wyleciał; padł na bryczkę i ruszył co koń wyskoczy. A tryumfująca Barbara aż na dziedziniec za nim wybiegła, i potrząsając zaciśniętą pięścią za odjeżdżającym:—Won psi synu! won, won!—krzyczała, aż zniknął na zakręcie ulicy.

Po tym wysiłku, wróciwszy do swéj izdebki, padła nieboga na klęczki, i łkając, rzewnemi zalała się łzami.—O Boże mój, Boże jedyny! i cóż ja biédna mam począć? i jak ich ratować?—I nieruchome oczy wzniosłszy do góry, duszą do Nieba pobiegła po radę i pociechę... i chwilę tak przetrwała, niema, bezwładna, z załamanemi rękoma, tylko łzy ciche biegły po licach i drżały usta zacięte... Westchnęła wreszcie, dłonią otarła oczy—Bądź wola Twoja!—z cicha wyrzekła, i twarz jéj przybrała wyraz

męzkiéj odwagi, obok niewieściéj ufności.—Mrok już zapadał i ciemno było w małych izdebkach, a więc bezpiecznie mogła zajrzeć do Podczaszycowéj, bez obawy o zapłakane oczy. Chora usnęła przed chwilą, dziatki igrały z mamką, którą Barbara dla Józi przyjęła. Zaleciwszy im tedy, aby się cicho i grzecznie sprawowały, ucałowawszy drogie ich główki, oświadczyła, że ma potrzebę wyjść na wieś, i wkrótce wróci. Jakoż nietracąc czasu, pobiegła do Wikarego i z płaczem opowiedziała mu swoję rozmowę z pełnomocnikiem, prosząc go o radę, co czynić? Zakłopotał się zacny staruszek i nic poradzić niemógł, obiecał tylko pisać do pana rządcy z prośbą i perswazyą. Zachwiała smutnie głową biédna Barbara.—Ej Xięże Dobrodzieju! nic to niepomoże! już ja wiém to dobrze, że on nas skrzywdzi. Oto tylko rzecz idzie, żeby zostawił nas w pokoju do wyzdrowienia Podczaszycowéj, żeby niewyrzucał, jak to zapowiedział, a ustąpim sami.

—Ale gdzież tam!—perswadował Wikary, —tego się on niedopuści, bo zresztą i niéma prawa, kiedy na duchownym gruncie mieszkacie; ja mu to przełożę.

—Daremnie, daremnie, Xięże Dobrodzieju!

trzeba tu innéj rady. Zresztą i tego można sprobować, ale i o czém inném myśléć należy. Niech-no Xiądz Dobrodziéj przyszle tam do mnie Maxyma Skorochoda, Ostapa Dudarza, i choćby Wasyla Hulakę, trzeba mi z nimi pogadać; a niechaj śpieszą, bo niéma czasu do stracenia. Ja muszę biedz już do domu, bo tam moje pisklęta same pozostały, i już pewno kwilą beze mnie. Tylko na miłość Boga, niech mię Xiądz Dobrodziéj niezawiedzie, i niech czém prędzéj ludzi przysyła, bo teraz po Bogu, na nich jedynie liczę.

I ucałowawszy rękę Wikarego,—Pomódl się tam Jegomość na naszą intencyę! — szepnęła z westchnieniem i wybiegła z izdebki, bez tchu prawie pędząc ku Zabrodziu; tak pilno jéj było, tak się lękała, aby tam się bez niéj co złego niestało.

Dzięki Bogu wszystko zastała pomyślnie: Podczaszycowa spała spokojnie, dziatki się trochę tylko zatęskniły, to też z podskokiem rzuciły się na jéj spotkanie, na szyi jéj się wieszając. Poczciwa Baba, uściskawszy swoje pieszczochy, czém prędzéj zajęła się ich wieczerzą; a ledwie je nakarmiła, i po paciorku do łóżeczek układła, gdy w sieniach przytłumione warczenie Żuczka znać dało, że ktoś nadchodzi.

Uradowana Barbara, domyślając się, że to byli oczekiwani wieśniacy, żwawo ku nim wybiegła.

—O dajże wam Boże zdrowie, żeście posłuli!—zawołała z uczuciem, i aż ucałowała w głowę starego Ostapa, który na powitanie jéj ręce całował.

—A jakże nieposłuchać?—odrzekli poczciwi kmiecie,—a kogożby i słuchać jak nie takich panów kochanych?

—Bóg zapłać wam za dobre słowo. Chodźcież-no moi dobrzy ludzie na *przeciwek*, trzeba mi waszéj rady i pomocy w bardzo ważnéj, a pilnéj sprawie.

I wprowadziwszy do przeciwległéj izby kłaniających się chłopów, poczęstowała ich gorzałką i tak rzecz swoję zaczęła:

—Zaprosiłam was tutaj, żeby was pożegnać w imieniu kochanéj pani mojéj...

—Boże święty!—wykrzyknął Wasyl klasnąwszy w ręce—a toż dla czego?

—Cóż my jéj złego zrobili, że nas myśli porzucić?—dodał Maxym Skorochod.

—Chybaż jakie listy od *samego* przyszły? zapytał Ostap.

—Och nie, moi kochani! nie z dobréj woli i nie z ochoty to nam przychodzi; ale, jak wiécie, wszystko nam wzięła czarna godzina, straciliśmy cały dobytek i wszystkie zapasy, a co najgorsza, wszystkie pieniądze na opłatę possesyi przygotowane; a tu komissarz nietylko téj zapłaty, ale i wynagrodzenia za spustoszenie dworu od nas wymaga.

—Jaki bo on rozumny!—rzekł na to Wasyl, kręcąc z przekąsem głową,—niby to pani dwór podpaliła.

—A choćby i pani,—dorzucił Maxym—toż to ani kommissarz, ani dziedzic tego niebudowali, ani za to płacili panu Podczaszycowi—jego to własna krwawica...

—To chyba na żarty tak sobie powiada!—rzekł poważny Ostap,—a co do raty, to Bogiem a prawdą, godzi się pofolgować w takiéj niedoli, godzi się trochę poczekać.

—Prawda to wszystko, prawda moi kochani—odparła ze smutkiem Barbara,—jam też to wszystko dziś tu jemu mówiła, prosząc o zmiłowanie...

—A on-że co? spytali wszyscy trzéj razem...

—Och dobrzy ludzie! z nim gorzéj niż z tym kamieniem! Kamieńby zadrżał, gdybym tak nad

nim jęknęła, a on nawymyślał tylko i na mnie i na państwa moich najdroższych, a zapowiedział, że jak mu jutro pieniędzy niedamy, to nas jak psy wypędzi, wyrzuci w czyste pole i biédną panią schorzałą, i dziatki jéj niebogie!!.. I rzewne łzy trysnęły z oczu poczciwéj sługi...

—Ach poganiec! bezbożnik!—krzyknęli chłopi, pełni szlachetnego oburzenia. A płacząca Barbara ciągnęła daléj:

—I wyrzuci, pewno wyrzuci! i jeszcze was samych przyprowadzi tutaj jak hajdamaków, abyście się znęcali nad waszą panią, nad dobrodziejką waszą! żebyście za to, że was i dzieci wasze tylekroć ratowała w głodzie i chorobie, wywlekli ją z dziećmi na rozstajne drogi, by z głodu wyzionęła gdzieś ducha, jak bydlę do pracy już niezdatne, by jéj złote dziateczki źwierz dziki gdzieś pożarł... Ale niedoczekanie wasze! —krzyknęła zapalając się — ja ich nieodstąpię, ja swojém ciałem próg wam zawalę, oczy wam wydrę, zębami was gryźć będę, aż się powściekacie jak od psa wściekłego; a niedopuszczę krzywdy pani mojéj najdroższéj!...

—Bóg z wami!—zawołał Ostap—co się wam dzieje?

—Za coż bo nas krzywdzicie? — dodał ze smutkiem Wasyl.

—Niechaj sprobuje!—groźnie pomruknął Maxym.

—Niechaj sprobuje!—powtórzyli za nim dwaj piérwsi.

—Niedługo na to czekać!—rzekła Barbara—ot tylko co niewidać jak tu zleci z harapem, i jak dojeżdżacz psiarnię na źwierza, puści was na nas!...

—A niedoczekanież jego!—krzyknęli chłopi—pierwiéj sam głową nałoży, nim jeden włosek wam spadnie!

—Doprawdy? wykrzyknęła uradowana Barbara,—to wy go nieposłuchacie? niepodniesiecie ręki na bezbronną może już dziś wdowę z sierotami, na Panią waszą, co dla was ni zdrowia, ni życia nigdyby niepożałowała.

—A niech nas pierwiéj żywych ziemia pochłonie!—zawołał Maxym.

—Chybażby nas Pan Bóg odstąpił!—dodał Wasyl Hulaka.

—Tożby-to i prawnukom naszym Bóg krzywdy waszéj niezapomniał!—dorzucił Ostap.

—Daj wam Boże zdrowie, żeście mię pocieszyli choć trochę! Ale cóż z tego? choć wy nieposłuchacie, to on tu przyprowadzi swoję własną psiarnię, i *taki* zrobi co zechce.

—Ho! ho! obaczymy!—zawołali chłopi.

—Niedaj nam Boże obaczyć!—rzekła Barbara.

—Bądź już Imość spokojna—proszę ja Imości!—rzekł Maxym, całując jéj ręce;—już jakoś to będzie. Nu, bracia,—dodał zwracając się do towarzyszy—niéma co tu bałakać; chodźmy do gromady, a opowiedźmy rzecz całą i naradźmy się po ludzku.

—Co tu jest radzić? po prostu trzeba plebanię strażą otoczyć i w kołowrocie wartę postawić;—rzekł Ostap,—bo że nas niepoduści, to niéma co i gadać; ale dobrze Imość powiada, że gotów swoję pśiarnię przyprowadzić, a jaki Pan, taki i kram.

—A nu! to chodźmyż!—zakonkludował Wasyl—trzeba rosporządzić.

—O niechże wam Pan Bóg błogosławi za poczciwość waszę!—zawołała z uniesieniem Barbara,—wiedziałam ja dobrze że nas nieopuścicie! Ruszajcie, ruszajcie z Bogiem; a ty Ostapku przyprowadź mi parę swoich koników: bo ja muszę pobiegnąć do Zahala, do pana Hilarego, czy nieznajdę tam jakiéj pomocy. Maciej mnie powiezie, to niezepsuje wam chudoby. Tylkoż mi śpieszcie i z wartą i z końmi, bo chciałabym powrócić póki moi powstają. I poczęstowawszy

raz jeszcze gorzałką poczciwych kmieci, pożegnała ich do widzenia.

Ostap, Maxym i Wasyl, wróciwszy do Kuźmicz, zaraz się po wsi rozeszli, od chaty do chaty, zwołując gospodarzy na walną naradę do starego *Dudarza;* do karczmy się bali, żeby żyd, psia wiara, zdrady nieuknował. Jakoż za godzinę zakipiało Ostapowe podwórko tłumną drużyną i starzec rozpoczął *wiece.*

—Nu, panowie gromada! obroniliśmy naszą possesorkę od jednéj śmierci, a teraz grozi jéj drnga!

—Pan Bóg z nami! a toż co znowu?

—A co? kommisarz chce ją wyrzucić, bo niéma czém raty zapłacić.

—Ouwa! jaki on skory do wyrzucenia!—z tłumu podchwycił Maxym—niechby się z nami wprzódy poradził. Nieprawdaż, panowie?

—A jużci, a jużci!—ozwały się głosy.

—Nu, to jak myślicie?—ciągnął daléj Ostap,—jak tutaj do nas przyjedzie i każe nam wyrzucać Panią, czy mamy jego posłuchać?

—A niech on swoję matkę wyrzuca, podlec przeklęty!—krzyknęło kilku z gromady.

—To nieposłuchamy! nieprawdaż?—prowadził Dudarz.

—Chyba ostatni szelma do tego szelmowstwa rękę przyłoży!—dorzucił Wasyl.

—A pewno, a pewno!—krzyknęli inni.

—Dobrze to wam gadać,—ozwał się głos jeden—nieposłuchamy! nieposłuchamy! a potém co? toż on nas żywcem ze skóry obedrze.

—A to wy, Andzeju?—spytał się Ostap—i wamże to tak prawić? macież wy sumienie? a byłaż na was skóra, kiedy tu nastał Podczaszyc? nie za jegoż to panowania na grzbiecie wam wyrosła? I czy wam tylko? taż to i jednego tutaj nieznajdziesz, co by się mógł pochwalić, że za dawnych czasów miał całą skórę na karku. Podczaszyc nas skórą przyoblekł i rany nasze wygoił, a w całéj włości żywéj duszy niéma, coby mogła powiedzieć, że nie to włoskiem, ale choćby złém słowem ją dotknął!

—A prawda, prawda!—zawołała gromada.

—Prawda? ciągnął Ostap;—a wieleż to było takiego panowania? całych ośm latek—to inne ręce jużby z nas po ośm skór zdarły! tobyście i na wołowéj skórze tego niespisali, ilebyście łóz dotąd wzięli, ile krzywd doznali!

—Co prawda to prawda... znów się ozwały głosy.

—Prawda? powiadacie; a kiedy przychodzi za to wszystko dla poratowania jego żony, a waszéj dobréj Pani, raz jeden grzbiet swój nastawić, to wam i to trudno? a gdzież wasze sumienie? a macież wy Boga w sercu?...

—Któż to powiada? któż to powiada?—wykrzyknął tłum cały z oburzeniem.

—Andrzej.

—Głupi Andrzej! niech sobie idzie do djabła, czy do kommisarza, a my z wami Ostapie!

—Ja tak tylko mówię—rzekł zawstydzony Andrzej—żeby wiedzieć czego się trzymać; a jak trzeba, to i skóry niepożałuję.

—Ot tak to lubię!—zawołał Ostap.

—*Raz rodyła maty, raz i propadaty!*

—*Hirsz łycha bidy nebude!*—krzyknęli inni.

—Niezginiem i żadnéj biédy niebędzie—ozwał się Maxym—wiécie przysłowie: *hromada wełyki czołowik!* żeby się jeden wyrwał, to co innego; żeby w złéj sprawie,—niemówię; ale tak wszyscy w Imię Boże, to i Bóg z nami!

—Wszystkich niewywiesza--dorzucił Wasyl—bo pożałuje.

Roześmieli się poczciwi kmiecie:—Nu! to i zgoda!

—Zgoda!—rzekł Ostap—a tak zrobimy: jak tu przyjedzie kommisarz, a każe abyśmy possesorkę wyrzucili, to go całą gromadą prosić będziemy, żeby jéj pofolgował. A jak się uprze, żeby *taki* koniecznie na swojém postawić, to niepostuchamy. A jak przyprowadzi swoich *posiepaków*, ha! to się sprobujemy.

—Ha! to się sprobujemy! powtórzyła gromada z serdecznym śmiéchem.

—*Raz rodyła maty, raz i propadaty!*

—Obaczymy czyje będzie na wierzchu!

—Ej panowie komisarscy! niedaj wam Boże popaść się w nasze ręce!...

—A potém—ciągnął daléj Ostap—Xiądz do dziedzica o wszystkiém napisze, i on nam zrobi sprawiedliwość.

—Zgoda! zgoda! krzyknęli wszyscy.

—No, to i dobrze! a teraz pięciu do kołowrotu na wartę, a dwudziestu do plebanii na załogę, i niech się dzieje wola Boża!

—Czekajcie-no, panowie gromada!—ozwał się Maxym, wychodząc na środek.—Jak nastał tu Podczaszyc, tośmy za jego pieniądze i chaty pobudowali, i chudobę kupili, i chleba dostali... czy prawda?

—A jużci prawda!—jednogłośna była odpowiedź.

—Teraz—ciągnął daléj poczciwy Maxym—jest u nas i chata i chléb i dobytek wszelaki, a u nich ani chaty, ani chleba, ani dobytku,—jest u nas i zapas pieniężny, u nich ani grosza przy duszy; jedném słowem: czém byli my, tém dzisiaj oni; bądźmyż dzisiaj dla nich tém, czém wtedy oni dla nas byli. Podzielmy się groszem, choćby po połowie; oni nam to oddadzą, a Bóg pobłogosławi. I cóż wy na to, panowie gromada?

Gromada milczała;—w tém Ostap zbliżył się do Maxyma i rzucił się mu na szyję z serdecznym uściskiem:

—Sam Pan Bóg przez was przemówił! tak być powinno. Mam dwa tysiące złotych, zaraz ci tysiąc wyniosę. Twoja to rada, ty więc i zbieraj i do Pani zaniesiesz.

—Daj wam Boże zdrowie, Ostapie!—odpowiedział Maxym,—tylko coś inni milczą...

—Kiedyż bo ciężkie czasy... ozwał się ktoś z tłumu.

—To wam będą lżejsze,—rzekł Wasyl—jak nastanie znowu taki possesor, jak był przed Podczaszycem! Durnie wy! z przeproszeniem. Ja mam także coś tam około tysiąca, oddam choćby i wszystko, bo wiém że moje nieprzepadnie.

—Nu bracia! wołał Ostap,—czyja wola i łaska, niech się opowié.

W gromadzie zaczęły się szepty i narady, a po chwili, prawie jednogłośnie składka uchwalona została, wynosząca kilkanaście tysięcy złotych.

—Ot tak będzie najlepiéj:—rzekł Ostap—oddamy to kommissarzowi, to się i bez zwady obejdzie.

—Jak raz!—zawołał Wasyl,—tylebyśmy tylko i widzieli. Trzeba oddać saméj possesorce.

—Rozumnyś!—rzekł Maxym—a spytaj czy przyjmie? a przytém ona teraz ledwie co żywa.

—Nu, to najlepiéj oddajcie Babie; jéjby i miljony można powierzyć; a ona się z kommisarzem rozmówi.

Na tém też rzecz stanęła, i wesoła gromada nietracąc czasu, rozeszła się gdzie komu było przeznaczono: jedni do kołowrota, drudzy na wartę, ci po pieniądze, a Maxym po konie.

Około północy już cała plebanija była otoczona przez dwudziestu kilku młodych, krzepkich parobków, nad którymi Wasyl objął dowództwo; a Ostap z Maxymem stanęli przed Barbarą, którą zastali na klęczkach przed obrazem Bogarodzicy, w gorącéj pogrążoną

modlitwie, tak że nawet ich przyjścia niesłyszała. Dopiéro gdy Maxym, kilkakrotném kaszlnięciem, dał znak o swojéj obecności, zerwała się ku nim z rozradowaném obliczem, choć jeszcze w oczach rzewne łzy stały.

—A co, moi kochani?

—Chwała Panu Bogu wszystko już dobrze!—odpowiedział Maxym z pokłonem.

—Warta będzie?

—Już jest.

—A konie?

—Oddałem Maciejowi. Ale Imościuniu kochana! może ani warty, ani koni już niepotrzeba, bo my tu z gromadą lepszy obmyślili sposób.—I spójrzał zakłopotany na Ostapa.

—Cóż to za sposób, dobrzy moi ludzie?

—Rospowiedźcie bo wy, Ostapie!—rzekł Maxym, trącając łokciem swego towarzysza.

—Bóg z wami, kumie! wasza to sprawa, to i powiadajcie.

—Cóż bo tam, moi kochani?

—Ot tak, Imościuniu kochana, ja myślę że najlepiéj zapłacićby kommissarzowi co się należy i zbyć się całéj téj biedy.

—Zapewne, że tak najlepiéj;—rzekła z westchnieniem Barbara,—ale skądże tyle pieniędzy, kiedyśmy sami ledwie z duszą uciekli.

—Rospowiedźcie, Ostapie!—rzekł znowu Maxym.

—Ot byście niedziwaczyli:—rzekł Ostap z niechęcią,—zrobić to umiecie i sami, a gadać za was potrzeba.

Podrapał się w głowę poczciwy Maxym i rzekł spuszczając oczy ze wstydem:

—Ot, Imościuniu kochana, nasza gromada was prosi, żebyście jéj pozwolili dzisiaj zapłacić to odrazu, co przez lat ośm u Państwa napożyczała w różnych różnościach; i ot na moje ręce złożyła jak raz tyle, ile się za pół roku do skarbu należy.—I niepodnosząc oczu od ziemi, z zakłopotaniem miął czapkę w ręku.

Barbara stanęła w milczeniu, z załamanemi rękoma, z głową zwieszoną, a z serca przepełnionego podziwem, wdzięcznością i uwielbieniem, łzy rzewne biły przez oczy hojnym potokiem.

—O, błogosławże wam Boże!—rzekła po chwili, wyciągając ręce ponad głowy poczciwych kmieci—błogosław wam Boże na dzieciach, wnukach i prawnukach, za wasze serca poczciwe! O! z wamiby, z wami żyć i umierać i w niebie szczęśliwości używać!

—Imościuniu kochana! babeczko złota *)!—

*) Pospólstwo na Litwie **babkami** zwie motyle.

wykrzyknął Maxym w radośném zapomnieniu rzucając się do nóg Barbarze wraz z Ostapem, —o niechże wam Pan Bóg za to zapłaci! Nuże Ostapie! żwawo po pieniądze!... I zerwał się ku drzwiom co żywo.

—O! nie, moi kochani!—zawołała Barbara—ja wam dziękuję, ja was błogosławię za dobre serca wasze; ale pieniędzy niewezmę.

—Boże miłosierny! a toż dla czego?

—Dla tego, dobrzy moi ludzie, że niechcę, aby na sumieniu moich państwa kochanych wasza krzywda ciążyła...

—Ale gdzież-bo ta krzywda?

—Nieprzerywajcie mi tylko... wiécie to dobrze, żeśmy wszystko stracili, i pieniądze, i zboże, i remanenta, i wszelką ruchomość; zostaliśmy tylko ot tak jak stoim, bez dachu nawet nad głową, a co najgorsza—bez gospodarza w domu! Bóg wié kiedy pan wróci, i czy nam wróci jeszcze? To i cóż z tego, że zapłacimy ratę i zostaniem się na tych tu zgliszczach? Słabe kobiéty, czyż damy sobie radę z gospodarstwem, czy zdołamy kiedy stanąć na nogi i do dawnego bytu powrócić? Darmo o tém i myśléć!! To na cóż mamy pociągać za sobą i was w tę przepaść, w którąśmy w złą godzi-

nę upadli? Na co z waszą krwawicą grzech mamy brać na duszę, by nas do reszty Pan Bóg odstąpił? Bo co tu próżno się łudzić? pieniędzy waszych nigdy już wam oddać niepotrafimy.

—Ależ Imościuniu kochana!—zawołał Maxym wpół z płaczem,—któż wam o oddaniu wspomina? Toż to my wam dług zapłacić chcemy!

—Bóg was tych słów poczciwych nauczył, dobry Maxymie!—odpowiedziała Barbara,—ale żeście tacy poczciwi, to nam niepoczciwymi być niewolno. Wyście nam nic niewinni: bo jeśli co kiedy dobrego zrobił wam Podczaszyc, toście mu już dawno szczérą swoją pracą odsłużyli. Niéma więc o czém i gadać! Za dobre serca, sercem wam dziękuję, ale pieniędzy niewezmę. Kto wié jakiego pana po nas dostaniecie; może się do was dawne czasy zawrócą; to lepiéj niech grosz zostanie na lichą godzinę.

—Tożbo to, tożbo to—zawołali chłopi w głos jeden—że my niechcemy mieć innych panów!

—Posłuchajcie-no Imościuniu!—rzekł Ostap poważnie—wszystkie te korowody na nic się niezdały; ot ja wam powiém po prostu: jak wam przynieśli z rezurekcyi świętéj waszego męża bez duszy, gdyby się wtedy znalazł kto taki, coby wam powiedział: daj wszystko co

masz, a mąż twój ożyje!—czybyście wtedy i ostatniéj koszuli z siebie niezdjęli? Otóż tak dzisiaj tu z nami: bo czém był dla was nieboszczyk, tém dla nas nasi państwo kochani—opieką, podporą, radą i wspomożeniem i opatrznością Bożą na ziemi! To nieróbcież nam krzywdy, krzywdy najcięższéj, dobrowolnie nas pozbawiając całego szczęścia naszego. Wy nam dziękujecie za serce—tu serce na bok—tu niéma żadnéj ofiary—to tylko po prostu okup za naszą duszę przeklętnikowi temu!

—Wszystko to dobrze, moi kochani,—odpowiedziała Barbara ze smutkiem,—niechaj to będzie i okup, kiedyż się na nic nieprzyda, bo nie diś to jutro z Zabrodzia musim ustąpić.

—Ej Imościuniu!—rzekł Maxym—jutro w Bożém ręku, myślmy o dniu dzisiejszym, a daléj jakoś to będzie.

—Może Podczaszyc wróci, może dziedzic przyjedzie, to wszystko się załatwi,—dorzucił Ostap.

Barbara milczała smutnie chwiejąc głową.

—Imościuniu kochana!—rzekł Maxym błagalnie, rękę jéj całując—niemęczcie nas dłużéj, a powiedźcie, że zgoda.

—Kiedyż-bo się niegodzi tak ciężko was krzywdzić!

—Krzywdzić?!—zawołał Ostap z uniesieniem —ej Imościuniu! chybaż wy Boga w sercu niemacie! toż większa krzywda nam będzie, jak nas w złe ręce jakieś oddacie; zresztą, kiedy już niemożem wyprosić u was zmiłowania dla siebie, to miejcież je dla swojéj pani! pomyślcie w co się ona obróci, gdzie głowę nieboga złoży, gdzie się z dziatkami przytuli? jużciż nieżebrać jéj chleba po świecie, niewpraszać się gdzieś tam w komorne! Chcecież, żeby przepadła marnie z głodu i żałości, i to z waszéj przyczyny? Wybaczcie, Imościuniu, ale tak się niegodzi, i nigdy ja po was niespodziewałem się tego! cóś mi się zdawało, że państwo nasi kochani większéj u was godni miłości!!... Róbcie jak chcecie! ale pomyślcie tylko jaki rachunek zdacie przed Podczaszycem, kiedy was z płaczem zapyta: nacoście dopuścili do zguby jego rodzinę? pomyślcie co ludzie na to powiedzą, i jak was Pan Bóg osądzi?...

—Dosyć już! dość tego, Ostapie!—wykrzyknęła Barbara, ze łkaniem twarz w dłoniach kryjąc—róbcie już sobie co chcecie, tylko niezabijajcie mię takiém gadaniem!! O Boże mój! Boże miłosierny! do czegośmy doszli nieszczęśliwi!

—Pani najmilsza! Imościuniu kochana!—zawołał Maxym rozrzewniony—niepłaczcie, nierozżalajcie sobie serca biédnego! Bóg dobry was nieopuści... A nu, Ostapie! chodźmyż po pieniądze.

—Zaczekajcie-no trochę!—rzekła Barbara, uspakajając się cokolwiek—niech-no ja wprzódy pojadę do Zahala, a jak powrócę, to wtedy się poradzimy, co robić.

Ostap niecierpliwie w głowę się podrapał.

—Ot jabym niejeździł, bo dalipan na nic to się nieprzyda. Wybaczcie, Imościuniu, że ja was tém *zmarkocę*, co teraz powiém, ale co prawda, to prawda: ten possesor Zahalski, to jakiś *łukawy* człowiek! On niby to szczéry, niby to was miłuje; ale takaż to szczerość, takież to i miłowanie, kiedy, ot drugi już tydzień, ani się dowié, choć pewno wié dobrze, co tutaj się stało, i że jego rada i pomoc byłaby dzisiaj jak raz w samą porę.

—Może i sam on w biédzie,—odparła Barbara, —może i jego jakie nieszczęście spotkało...

—Ech, Imościuniu!—dorzucił Maxym—żywy on i zdrowy i nic mu się niestało, ucieka tylko ztąd kędy drwa rąbią, żeby w łeb trzaską niedostać!

Westchnęła zasmucona Barbara.—Obaczymy;—zawsze się trzeba wprzódy przekonać i niepotępiać bez sądu.

—Wola Imości!—odpowiedzieli chłopi z pokłonem.

—Pojadę; a wy, moi kochani, czuwajcie na miłość Boga, żeby się tutaj co złego niestało. Ja się niezabawię, w Zahalu rano wstają, to może zaraz ze słońcem i ja tu będę, nim jeszcze pani się obudzi. Zostańcie z Bogiem.

—Niech Bóg was szczęśliwie prowadzi!—odrzekli chłopi, i ucałowawszy ręce Barbary, poszli Maciejowi koło zaprzęgu pomagać.—Baba tymczasem pobiegła na przeciwek, zaleciła mamce jak najtroskliwszą czujność, ucałowała i przeżegnała i matkę i dzieci, i szepcąc pacierze wyszła na podwórko i siadła na wózek, który się zwolna za wrota potoczył, żeby turkotem śpiących nieprzebudzić. Ostap i Maxym wyprowadzili ją aż na gościniec, idąc po obu stronach bryczynki i słuchając po raz dziesiąty czułych zalecań, aby niedali krzywdzić kochanéj pani, aby jéj strzegli jak źrenicy w oku.

—No, bądźcież zdrowi!

—Jedźcie szczęśliwie!

—A nieżałuj szkapiąt, Macieju!—dorzucił Maxym—bo to pilna sprawa.

—Wio, dziatki!—huknął Maciéj, machnąwszy batem—i żwawe konięta ruszyły tęgiego kłusa, unosząc po gładkiéj drodze turkoczący wózek.

—Noc była jasna, cicha, xiężyc w pełni przyświecał,—a ku wschodowi już się zaczynało pogodne niebo porannym brzaskiem rumienić. Barbara, to modląc się gorąco, to dumając o swojéj biédzie, siedziała milcząca, skulona na swoim wózeczku, drżąc na porannym chłodzie, niekiedy tylko prosząc Macieja o pośpiech, bo radaby skrzydłami do Zahala polecieć, żeby prędzéj wrócić do domu ze skuteczną radą, i żeby się dowiedzieć, co się dzieje z panem Hilarym, od którego przez dwa tygodnie najmniejszéj wieści niemiała; aż tu nagle Maciéj, z wykrzykiem zdumienia zatrzymał konie.

—Cóż to się stało, Macieju?

—Dalpan, że niewiém! Co znów u licha? toć to tędy powrótka do Zahala, a tu ani śladu—pole zaorane czyściutko! w Imię Ojca i Syna! niech-no Imość popatrzy. Oń-dzie trzy grusze, oń-dzie krynica, oń-dzie olszynka, a hen i dwie sosny, gdzie się droga skręca na lewo—a drogi niéma—pole taj dosyć! Chybaż nas wodzi?

W Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen! tfu zgiń maro, przepadnij!...

—Zaorali,—rzekła Barbara—może gdzie inną drogę zrobili, ale nam niepora jéj szukać: ruszaj przez pole wszakci dobrze wiémy którędy? trafilibyśmy i z zawiązanemi oczyma. No, w Imie Boże!

Maciéj się przeżegnał i ruszył zwolna po zoranéj roli, to klnąc, to się modląc, i raz w raz oglądając się na Barbarę, z obawy, aby niewyleciała z wózka miotającego się na wszystkie strony po głębokich brózdach. Tak przebywszy wiorst ze dwie, o samym wschodzie słońca stanęli u zamczystych wrót dworu. Tu kilku wartowników obskoczyło wózek Barbary, pytając: kto? zkąd i po co? Lecz jeden z nich, poznawszy ją i Macieja, uspokoił swoich towarzyszy i dalsze placówki rozstawione gęsto przy parkanie do koła folwarku, a zakołatawszy do bramy, rozpoczął rozmowę z wewnętrzną strażą, polecając tam komuś, aby poszedł do pana i prosił, by wrota dla pani Barbary otworzył.

Barbara ze zdumieniem spoglądając na wojowniczą postawę dworu:—Cóż to się u was stało?—spytała stróża.

—A cóż się stać miało?—odpowiedział chłopek

—żywiśmy Bogu dzięki i zdrowi; ale od kiedy wam dwór spalili, to my tu po całych dniach i nocach odpoczynku niemamy! Coś przystąpiło do naszego pana, odpuść Panie Boże! bo to tylko śmiéch ludziom! niby to nasza warta coś tu pomoże? ta jakby się *oni* tutaj pokazali, tobyśmy zaraz takiego *dali drała,* aż by się zakurzyło!

—To wy już dawno wiécie, że Zabrodzie spalili?

—Toż wiémy, bośmy tu łunę widzieli, i pan zaraz posyłał, żeby się dowiedzieć, co się to dzieje; a jak Hryćko wróciwszy rozpowiedział rzecz całą, tak téjże minuty kazał wartę postawić, bramę zatarasować i ani krokiem z folwarku.

—I drugi raz już nieposyłał do Zabrodzia?

—Nigdzie na świecie! naokoluteńko nawet drogi pozaorywać kazał! Siedzimy tutaj jakby zaklęci, i od dwóch tygodni ani żywéj duszy w oczyśmy niewidzieli!

—Zakipiało w sercu Barbary: przyszły jéj na myśl słowa poczciwych kmieci, i pożałowała swojéj wycieczki, swoich nadziei na pana Hilarego, i swojéj o niego troski.

—Wtém zaskrzypły wrzeciądze bramy i przez uchylone podwoje wysunęło się wybladłe, przerażone oblicze pana Hilarego.—Ujrzawszy Barbarę, szanowny jéj narzeczony uśmiéchnął się z przymusem, witając ją nizkim ukłonem.

—Nóżki całuję! nóżki całuję! cóż to mię takiém szczęściem obdarza? Prosimy, prosimy,—dodał, otwierając wrota z pośpiechem—wjeżdżaj Macieju, a żwawo!

A gdy wózek wtoczył się na podwórko, czém prędzéj zamknął wrota na powrót, rygle zatarasował i ogromną kłódkę zawiesił.

—Prosimy, prosimy! Mocno się cieszę! ale bodajże ciebie Macieju! zgubisz mię na wieki! jak można drogę rabusiom wskazywać?

Barbara smutna, ponura, milcząca, wysiadła z bryczynki i weszła do izby przed kłaniającym się panem Hilarym.—W izbie było pusto jak po Tatarach! ani jednego sprzętu dokoła, ani obrazka na ścianach; wiązka tylko słomy na ziemi, przykryta grubą derhą, i dzban wody na oknie.

—W Imię Ojca i Syna! cóż to się stało?—wykrzyknęła Barbara—czy i tu byli rabusie?

—Nie, dzięki Bogu;—odparł Hilary—ale na wszelki przypadek uprzątnąłem się z moją chudobą: strzeżonego Pan Bóg strzeże...

—Ej panie Hilary!—rzekła Barbara z goryczą,—czy nie zanadto się strzeżesz? zdaje mi się, że Bogu nic już do roboty niepozostaje, i boję się, aby się nieodwrócił od waszmość pana!

—Ostrożność nigdy niewadzi.

—Wadzi, mój panie, wadzi;—rzekła Barbara surowo,—wadzi, gdy ktoś do zbytku myśląc o sobie, o drugich całkiem zapomni...

—Albożem ja zapomniał? przysięgam Bogu, że posyłałem, dowiadywałem się, gryzłem się i modliłem, a nawet piątek *suszyłem* na waszą intencyę.

—Wolałbyś waćpan sam przyjechać, a przynajmniéj poradzić, jeśli już niedopomódz.

—Cóż ja mogę poradzić, i w czém dopomódz? czy ja Salomon, czy Krezus?

—I mnież to się waćpan śmiesz pytać?—zawołała z oburzeniem Barbara,—a pan Podczaszyc dla waćpana to mógł być i Salomonem i Krezusem, kiedy i z radą i z pomocą nie raz i nie dziesięć razy przychodził! a dzisiaj, kiedy żona jego z kilkorgiem drobnéj dziatwy, ze wszystkiego wyzuta, przygnębiona nieszczęściem i chorobą, bez żadnéj pozostała opieki, to waćpan i biédny i głupi!

—I cóż ja mam robić?—rzekł skonfundowany Hilary—przysięgam Bogu, że niewiém...

—Co robić? jaż to mam radzić waćpanu? Żona waćpanowego przyjaciela, dobroczyńcy, ledwie z duszą z ognia uciekłszy, ocalenie swoje i dziatwy zawdzięczając chłopom, przytułek—zacnemu Wikaremu, kawałek chleba — poczciwym kmieciom, zagrożona przez tego łajdaka pełnomocnika wyrzuceniem nawet z plebanii, gdy mu niezapłaci tenuty i szkód przez rabusiów zrządzonych; a waćpan się pytasz, co robić? To idź-że i od chłopów naucz się zozumu i poczciwości, idź, obacz, jak grosz ostatni znoszą, aby się złożyć na zapłacenie raty, jak dniem i nocą wartują, by od napaści ukochaną panią swoję obronić... A nikogo o radę nieprosili, i nikt im nieradził—Bóg tylko jeden i wdzięczne serce...

—Nu, to i czegoż więcéj potrzeba? przysięgam Bogu, że ja nic lepszego niewymyślę! wziąść od chłopów pieniądze, zapłacić plenipotentowi i basta...

—A potém?

—Cóż a potém?

—Zkąd remanenta? zkąd chléb powszedni? zkąd wreszcie środki do uiszczenia się chłopom?...

—Przysięgam Bogu, że niewiém!

—No to ja waćpanu powiém. Jedź waćpan zaraz do pełnomocnika, niesłuszne pretensye z głowy mu wybij, tenutę zapłać i weź na siebie Zabrodzie: bo tu rzecz idzie o to, aby tylko pani Podczaszycowa spokojnie mogła przyjść do zdrowia, aby ten podlec jakiego się gwałtu niedopuścił; a potém damy sobie rady i sami.

Pan Hilary skrobał się w głowę, skrzywiwszy usta w milczeniu.

—I cóż waćpan na to?

—Przysięgam Bogu, że nie mogę... Zabrodzie to wprawdzie intratne, ale teraz zniszczone, wiele potrzebuje nakładu, a czasy niepewne... Ot wiész co, pani Barbaro,—pobierzmy się nieodkładając, a panią Podczaszycową zostawmy jéj losowi, niezginie ona i bez nas... przysięgam Bogu... i z przymileniem ujął Barbarę za rękę.— Lecz ta odtrącając go z najwyższém oburzeniem:—Jak to?!—wykrzyknęła—i waćpan śmiész mi taką nikczemność doradzać! i waćpan z taką duszą śmiész myśléć o związku ze mną? a! wolałabym w szaréj siermiędze chodzić, wolałabym żydom pomyje wynosić, wolałabym żyć pod cygańską szatrą, niż pójść za takiego

potwora... I znać niechcę waćpana, i słyszéć o waćpanu niechcę! Oto waćpanowa obrączka, pluję dziś na nią i depcę ją nogami, a Panu Bogu dziękuję, że mię w porę oświecił!

I zerwawszy z palca obrączkę, z najwyższą pogardą cisnęła ją na ziemię, i podeptała nogami.

Pan Hilary podniósł obrączkę przez uszanowanie dla złota, i idąc za wychodzącą w oburzeniu Barbarą, starał się ją umitygować i udobruchać.

—Pani Barbaro! ależ jeszcze słóweczko! przysięgam Bogu, niéma się za co tak gniewać!...

Ale poczciwa kobiecina nic już słyszéć niechciała; wypadła na dziedziniec, skoczyła na bryczkę, i z imponującém wejrzeniem i giestem kazała bramę otwierać. Pan Hilary nieśmiał już stawiać oporu i odryglował wrota.

—Ruszaj co koń wyskoczy!—krzyknęła Barbara,—ruszaj do domu!—Maciéj zaciął koniki, i bryczka pomknęła przewalając się jak czółno na fali, po nierównéj roli.

Tu dopiéro poczciwa sługa gwałtownèm wybuchnęła łkaniem, ukrywszy w dłoniach łzami zalane oblicze...

—Boże mój święty! co się Imości stało?... zawołał Maciéj z przestrachem.

—Oj biédniż my, biédni, dobry Macieju! biédna pani nasza kochana! ostatnia nadzieja marnie przepadła, i znikąd, znikąd pomocy! O Boże mój miłosierny! za cóż nas tak doświadczasz?... —I płakała rzewnie jak dziecko, zachodząc się od łkania.

—Imościuniu złota, Imościuniu moja serdeczna! nierozpaczajcie, niepłaczcie! Bóg miłosierny, a ludzie nie kamienie... toż tam w domu rada gotowa, i na co było jeździć za inną, a czas darmo marnować...

—Kiedyż bo i tamto na nic się niezdało; ludzi tylko skrzywdzimy, a sobie niepomożemy... ale ruszaj, ruszaj Macieju!...

Maciej konie zacinał, a wciąż pocieszał płaczącą Barbarę, od czasu do czasu, łzy ocierając rękawem; i tak około siódméj porannéj wjechali na Zabrodzką granicę i ujrzeli kościołek i plebanię... Wytężyła wzrok niespokojny Barbara, gdyby mogła, ptaszęciem furknęłaby do domu... Ruszaj Macieju! - Maciej konie czwałem wypuścił, lecz nagle oś pękła, i biédny człeczysko z rozpaczą załamał dłonie! Ale poczciwa Baba, nietracąc czasu, wyskoczyła z brycz-

ki, i piechotą, jak strzała, puściła się do Zabrodzia, rzucając na drodze furmana z wózkiem i z końmi i niesłysząc jego wołania... Niewiém czy prędzéj wiozłyby ją chłopskie szkapięta, czy prędzéj skrzydłaby niosły...

Kiedy zadyszana, potem oblana, wpadła na dziedziniec plebanii, zastała tam wszystko w spokoju; Żuczek w wesołych podskokach wybiegł na jéj spotkanie, i oglądnął się ku przyzbie, na któréj siedział sędziwy Wikary, rozmawiając ze stojącymi obok arendarzem, Maxymem i Ostapem.

—Cóż to się stało? zawołali wszyscy niespokojnie, spostrzegłszy Barbarę zziajaną, okrytą kurzawą i potem.

—Oś pękła, rzuciłam konie i przybiegłam piechotą;—odrzekła prędko,—a tu co słychać?

—Wszystko Bogu dzięki spokojnie!—odparł Wikary, któremu łzy rozrzewnienia oczy zwilżyły.

—Był plenipotent?

—Był.

—I cóż?—spytała z trwogą.

—Dał się udobruchać;—odrzekł Wikary,—i spójrzał na arendarza gładzącego brodę z uśmiéchem zadowolenia.

—Oddaliście pieniądze!—wykrzyknęła z trwogą Barbara.

—Nie,—rzekł arendarz—aleśmy powiedzieli, że Imość dzisiaj przywiezie.

—O Boże mój, Boże!—jęknęła załamując ręce w rozpaczy,—cóż teraz będzie, kiedy pieniędzy niéma!...

Tu znowu Maxym przystąpił z prośbą i namową, i raz wraz kłaniając się do kolan, ciągle powtarzał: Weźcie od gromady! miejcie litość nad sobą i nad nami!

—Wikary i arendarz nieszczędzili także perswazyi, ale również daremnie. Nareszcie zacny Kapłan wyrzekł z powagą:

—Ależ moja pani Barbaro! dobra jest taka szlachetna duma, lecz tu ona wcale nie w miejscu. Przypomnij sobie, że tu rzecz idzie nie tyle o ciebie, co o panią Podczaszycową z biédnemi jéj dziatkami, i wątpię czy masz prawo, bez jéj woli i wiedzy odrzucać ofiarę poczciwych kmieci, która może stanowić o całéj jéj przyszłości.

Barbara ze łkaniem rzuciła się do kolan sędziwego starca, i całując je z rozrzewnieniem —Dziękuję! dziękuję!—wołała z płaczem—dziéj się już wola Boża! pójdę do pani, wszystko jéj

opowiém, niech sobie sama w téj rzeczy stanowi; — daj Boże żeby inaczéj myślała, a przynajmniéj, żeby spokojnie smutną nowinę przyjęła...

Jakoż udała się do dworku.

Uchyliwszy drzwi cichuteńko, na palcach wsunęła się do izdebki, sądząc, że jeszcze wszystkich zastanie śpiących; ale ostróżność jéj była zbyteczna, bo oprócz Zosi uśpionéj na łóżku matczyném i Józi kołysanéj przez mamkę, wszyscy już byli na nogach. Podczaszycowa na klęczkach między Michasiem i Olesiem, głośno odmawiała pacierze, które w ślad za nią powtarzały dziateczki, utkwiwszy oczęta w świętém obliczu *Pocieszycielki utrapionych.* Dziwnie uroczysta jakaś powaga i świętość panowała dokoła. Poranne słonko wpadając przez okienka, zastawione wazonikami i zawieszone zielonemi firankami, napełniało pokoik łagodném, szmaragdowém światłem; przez rozwartą fórteczkę wiało z ogródka świeże tchnienie poranku, mięszając się z wonią gwoździków i rezedy. Pod oknami na przyźbie skrzekotała wesoła sroczka, a w klateczce zawieszonéj pod belką szczebiotał rzeźwy szczygiełek; ścienny zegar poważnie, uroczyście niepowrótne kroki czasu wymierzał; stukotała z lekka chwiana kołyska; od czasu

do czasu westchnęła rozrzewniona mamka, po cichu szepcąc pacierze za drogą panią i jéj dziateczkami; a głos Podczaszycowéj, osłabiony długiém cierpieniem, przejęty serdecznym bolem, łzawy, rzewliwy, dźwięczał świętym akordem nadziei, wiary i miłości, odbrzmiewając jak gdyby wierném echem z serduszek dziecięcych.

Barbara stanęła jak wryta, załamawszy ręce spuszczone i głowę smutnie zwiesiwszy; łzy rzewne puściły jéj się z oczu, mimowolnie prawie osunęła się na klęczki, padła twarzą do ziemi i gorącą modlitwę posłała w Niebiosa, niemą lecz wymówniejszą przed Bogiem nad chóry anielskie.

Po chwili, Podczaszycowa skończywszy swoje pacierze, powstała z dziećmi, a ujrzawszy Barbarę, przyklękłą we łzach u progu, wszyscy troje rzucili się ku niéj z pośpiechem, pytając o przyczynę łez jéj i smutku.

— Nic, nic, kochana pani! nic moje aniołki! — odrzekła piastunka, całując ręce Podczaszycowéj i uściskając dziateczki. — Niech-no pani usiądzie, bo tak po chorobie to klęczeć, to chodzić, wcale niedobrze.

— I wziąwszy ją pod rękę, troskliwie zaprowadziła do sofki, dała pod plecy poduszkę, pod

nogi stołeczek, a usadowiwszy wygodnie, rzekła do dzieci:

—Skoczcie-no, moje pieszczotki, do ogródka, a przynieście świeżych kwiateczków dla mamy.

Gdy dziatki wybiegły, posłuszne jéj woli, ona przykląkłszy u nóg Podczaszycowéj, i ująwszy w swe dłonie rękę jéj wychudłą tuliła ją z uniesieniem, całowała kolana, całowała nogi pani swojéj kochanéj, z czułością i rozrzewnieniem w oczy się jéj wpatrując.

—Co tobie, kochana Babciu?—spytała Podczaszycowa, zdziwiona niezwykłym tym wylewem przywiązania—czy masz jaką dobrą nowinę?

—Pani moja najmilsza! pani jedyna!—zawołała Barbara, ponawiając tkliwe pieszczoty,— trzebaż mi lepszéj nowiny, jak ta, że pani moja droga do zdrowia już przychodzi? że się dźwigać zaczyna o własnéj mocy? że z ufnością Bogu się modli... ale mam cóś jeszcze, mam dowód wyraźny, że Bóg słyszy modlitwy nasze, i że nas nieopuścił w niedoli... Oto poczciwa nasza gromada ofiaruję nam pożyczkę na zapłacenie temuty, o którą się plenipotent naprzykrza...

—Poczciwi ludziska! niech Bóg im to nagrodzi!—rzekła Podczaszycowa głosem pełnym rzewności ze łzami w oczach.

—Ach pani moja najmilsza! zawołała Barbara, z nową extazyą nogi jéj całując,—dziękuję pani! dziękuje! wszystko więc dobrze, chwała Panu Bogu! Biegę do Maxyma!... toż to się ucieszy!—i zrywając się z pośpiechem, biegła już do drzwi, gdy ją Podczaszycowa wstrzymała.

—Zaczekaj, Babciu kochana! nieciesz się tak bardzo, bo niéma czego... posłuchaj mnie tylko; usiądź tu przy mnie, a poradźmy się rozsądnie.

Zesmutniała Barbara, usiadła znów u nóg Podczaszycowéj, która tak daléj mówiła:

—Cieszy mnie, rozrzewnia ofiara dobrych kmieci! do śmierci pamiętać będę tę błogą chwilę radości, któréj przez nich doświadczam, do śmierci modlić się za nich będę, ale pieniędzy nieprzyjmę, bo oddać niebędę w stanie...

—Ależ pani najdroższa!—przerwała Barbara.

—Nieprzerywaj mi, proszę. Niesądź że mi choroba moja pamięć odjęła; bynajmiéj. Pamiętałam ja dobrze o tych nieszczęsnych pieniądzach, myślałam i przemyśliwałam po całych dniach i nocach, i nieraz gorzkiemi łzami u Boga pomocy i rady prosiłam, ale wszystko daremnie! Za całą pociechę mam tę szlachetną ofiarę chłopów, któréj nieprzyjmę; za całą radę—wyrze-

czenie się possesji, bo szaleństwem byłoby marzyć, że po takiém zniszczeniu, w takich złych czasach, bez gospodarza w domu, potrafimy się przy niéj utrzymać, choćby nawet było czém ratę dzisiaj zapłacić...

—Ale cóż robić? ale gdzież się obrócić?—wykrzyknęła Barbara łzami się zalewając i tuląc swą głowę do kolan Podczaszycowéj.

—Prawda że trudno dać sobie radę z czwórgiem dziéci na ręku; ale Bóg dobry, On nas nieopuści! Byleby mi tylko trochę się wzmódz na siłach, poszukam służby...

—A ze mnąż co będzie?—jęknęła poczciwa sługa.

—Z tobą, moja droga? Przynajmniéj tyle mam pociechy, że się o ciebie troskać niepotrzebuję. Każdyby cię z otwartemi ramionami w dom przyjął: jak dawniéj, tak i dzisiaj, mogłabyś znaleźć służbę stokroć korzystniejszą, niż u nas; ale jéj wcale niepotrzebujesz, mając P. Hilarego, który z taką tęsknotą ciebie wygląda...

—Pani najdroższa! pani najmilsza! niemów tak do mnie! niemów na miłość Boga, bo skonam tu u nóg twoich! Ja niechcę innéj służby! ja niechcę korony, niechcę niebieskiéj chwały,

bez ciebie pani jedyna! Tak być niemoże! ja niepozwolę na to, żebyś się pani poniewierała po służbie jakiéjś! trzeba inaczéj radzić.

—Cóż innego obmyśleć?

—Pani moja złota! gołąbko moja najmilsza! —mówiła Barbara ze łkaniem, znowu całując ręce i kolana Podczaszycowéj —pomyśl tylko dobrze: czyby nie lepiéj przyjąć pożyczkę u chłopów... i z prośbą i z obawą w oczy jéj patrzała.

—Nie, moja droga, tego nigdy niezrobię, to darmo!

—Bądź wola twoja!—rzekła Barbara z westchnieniem, tłumiąc łkanie serdeczne:—ależ ja i służyć pani niepozwolę. Tylko na miłość Boga,—dodała klękając i składając ręce jakby do modlitwy,—nieodrzucaj pani mojéj rady! Jedźmy do Słucka: tam sobie najmiemy dworek i będziemy trzymały studentów, a tym sposobem i pani się bez poniewierki utrzymasz, i nasze chłopcy przy innych się wyżywią; a inaczéj i oni musieliby szkoły porzucić.

Podczaszycowa z radośnym wykrzykiem, rzuciła się na szyję poczciwéj słudze.

—O mojaż ty droga! moja ty poczciwa Babcio! Pan Bóg przez ciebie przemówił! Snadź masz wielką łaskę u Niego, kiedy ci zesłał ta-

kie święte natchnienie. O gdybyż prędzéj siły mi przyszły!

—Przyjdą, przyjdą, pani najmilsza! tylko się niegryźć, nietroskać, a zdać się na Boga... Ot i dziatki wracają, a jeszcze nic niejadły biédne robaczki!... zaraz o nich pomyślę, tylko wprzódy skończę z Maxymem.—I ucałowawszy po raz setny kolana Podczaszycowéj, wybiegła na dziedziniec.

Wikary i Maxym, widząc ją radośną, rozpromienioną, ucieszyli się serdecznie, pewni, że im dobrą nowinę przynosi; to też, tém większe było ich zmartwienie, gdy się dowiedzieli o postanowieniu Podczaszycowéj. Zwłaszcza poczciwy Maxym tak strasznie spochmurzał, jak gdyby go największe nieszczęście spotkało.—Probował jeszcze namowy, ale Barbara przerwała mu pośpiesznie:

—Niemówcie mi o tém, Maxymie, bo tylko darmo serce mi rozżalacie; a radźmy lepiéj o czém innném. Musimy ztąd jechać, to niewątpliwie; ale jeszcze z tydzień pani moja kochana niebędzie mogła z domu się ruszyć, a tu plenipotent grozi wyrzuceniem! Na miłość Boga, Xięże dobrodzieju, i wy dobrzy ludzie, niedajcie nas krzywdzić!

—A niech sprobuje!—wykrzyknął Maxym, z największém uniesieniem zaciskając pięście,—niech sprobuje, kiedy mu życie niemiłe! A nas niechaj Bóg sądzi; my niebędziemy winni naszego grzechu!

—Człowieku!—wykrzyknął Wikary ze zgrozą—czy cię zły duch opętał?! jak można z taką się mową odzywać?

—Wybaczcie, dobrodzieju! i niech mi Bóg wybaczy! ale już trudno wytrzymać! We mnie się wszystkie wnętrzności rozrywają, serce pęka w kawałki! i żeby on był nie to takim podłym *posiepaką*, ale ojcem moim rodzonym, tobym mu tu drągiem głowę rozwalił; a jak ja, tak i cała gromada!... Wiedźcież wy o tém, i radźcie sobie zawczasu, żeby niedopuścić do grzechu; a ja co rzekłem, to rzekłem.

I wsadziwszy gwałtownie czapkę na głowę, zarzucił kij na plecy i ruszył do wsi.

—Xiężе dobrodzieju!—rzekła Barbara,—radźcie na miłość Boga! bo tu jeszcze będzie jakie nieszczęście!...

—Pojadę, pojadę!—rzecze zatrwożony Wikary,—a to prawdziwie dopuszczenie Boże! pojadę, ostrzegę, wyproszę, wymodlę!...

—Ej! mój Jegomość,—rzecze arendarz—szkoda fatygi; prośba tu niepomoże, a ja lepiéj pojadę, jeżeli Imość na to się zgodzi.

—Mówcie na miłość Boga!—rzekła Barbara.

—Ot ja powiem po prostu: *sucha łożka horło dere*, a kto smaruje, ten jedzie. Znam ja tego pana nie od dzisiaj, i umiem z nim gadać...— I dłoń rozłożywszy, wymównie giestem pokazał liczenie pieniędzy.

—Zkądże smarowidło?—rzecze Wikary.

—Jeżeli Imość pozwoli, to u mnie jest trocha arendowego, może ze dwieście rubli; pojadę, sprobuję, potarguję się, a mam nadzieję, że dobrze skończę, bo już nieraz w ten sposób gadałem do niego.

—A dajże ci Boże zdrowie!—zawołała Barbara—jedź, jedź czém prędzéj, a wracaj z dobrą nowiną! oddaj choćby i wszystko!

Arendarz się ukłonił i spiesznie do wsi zawrócił, a Wikary za nim zawołał:

—Tylko nieszafuj tam bardzo, bo grosz potrzebny!

Po chwilce jeszcze rozmowy z Barbarą i sam nareszcie ruszył do kościoła; a poczciwa Baba pobiegła do swoich dziatek, modląc się w duszy o pomyślny skutek poselstwa.

Dzień minął w dobréj otusze, weseléj niż którykolwiek z poprzednich od czasu klęski, a ku wieczorowi wrócił arendarz z dobrą nowiną. Pan plenipotent dał się namówić za 150 rubli, pozwolił Podczaszycowéj przesiedzić na gruncie do wyzdrowienia, zastrzegając tylko, aby nieśmiała ani listka z ogrodu, ani trawki z pola poruszyć. Razem więc z tą wieścią pomyślną przywiózł Rebbe Chaim i 52 ruble pozostałe od *smarowidła,* które miały cały majątek biédnéj rodziny stanowić.

Zbliżały się właśnie wakacye, pora było posyłać do szkół po dziéci, które tam nieprzeczuwały swojego nieszczęścia i szczęścia razem: nieszczęścia—straty całéj rodzicielskiéj fortuny; szczęścia—nierozłącznego pobytu z drogą mateczką.—W parę więc tygodni po opisaném zdarzeniu, gdy Podczaszycowa zupełnie już przyszła do zdrowia i mogła bez obawy puścić się w drogę, zaczęto myśléć o wyjeździe.

Jeśli jest jaki niedowiarek, co wątpi, że każdy czyn dobry, w tém jeszcze życiu, znajdzie swoję moralną nagrodę, niechby się wówczas przypatrzył zblizka pożegnaniu Podczaszycowéj z poczciwą włością.—Przez trzy dni ubogi dworek Wikarego i całe podwórko tłumem

się ludu roiły. Szli starzy i młodzi, mężczyzni i kobiéty, dziatwę z sobą prowadząc, nietylko z Kuźmicz, ale i z dalszych wiosek, żeby się przynajmniéj pożegnać z panią swoją kochaną, żeby choć raz jeszcze ucałować drogie te ręce, z których tak wiele odebrali darów, które tylekroć dźwigały ich w niemocy i w niedoli, żeby choć jedno jeszcze słówko z ust tych posłyszéć, które tylekroć niosły im błogą pociechę i świętą naukę! Zaiste wzniosły i rzewny był widok! Ile tam łez serdecznych spłynęło, ile błogosławieństw do Nieba poszło! Poczciwe zwłaszcza wieśniaczki rady dać sobie niemogły z żalem swoim głębokim! Szły i wracały, i znów przychodziły, to nogi Podczaszycowéj całując, to dziatwę jéj kochaną z rąk do rąk sobie podając, to z ukochaną Barbarą gwarząc i płacząc i radząc; bo każda cóś z sobą przyniosła, bądź jagnię, bądź prosię, bądź kwoczę, a przynajmniéj garnuszek masła, séra, lub miodu, kobiałkę jajek, lub chuścinę krupek, orzechów, czy też gruszek suszonych; a każda prosiła, nalegała, płakała, aby niegardzono jéj darem, którego nie było gdzie podziać, a odrzucić niesposób. Było więc o czém gwarzyć i radzić! Nareszcie, pomimo najszczerszych i najusilniejszych wymó-

wek, należało ustąpić, zgodzić się na wszystko i niegardzić darami tak serdecznie ofiarowanemi; tém bardziéj że Maxym na czele poważniejszych gospodarzy, przyprowadził kilka parokonnych furmanek, i sam wszystko składał, zsypywał i pakował.

Po kilku dniach takich rzewnych korowodów, wybrano się nakoniec w drogę. Przodem ruszyły podwody z prowijantem, a za niemi, po mszy, którą zacny Wikary odprawił na intencyę podróżnych, wyjechała i Podczaszycowa z dziećmi i z Barbarą, wygodną krytą bryczką i końmi jego, którémi zapłakany Maciej ostatni raz ukochaną panią powoził. Wikary na jednokonnym wózku, dawna służba dworska i gromadka wieśniaków pieszo, towarzyszyli im wiorst parę, smutnie gwarząc i popłakując.

Rozstali się nareszcie w boleści, łzach, modlitwie i błogosławieństwie; a biédna Podczaszycowa długo jeszcze w płaczu utulić się niemogła, żegnając na zawsze ten drogi kawałek ziemi, gdzie tyle lat w szczęściu przeżyła, gdzie tyle miłości ludzkiéj i łaski Bożéj doznała...

W parę miesięcy po opisanych wypadkach, w Słucku, na jednéj z porządniejszych ulic, na obszernym dziedzińcu schludnego dworku, gromadka wesołéj dziatwy grała w kręgle i piłkę; śród niéj najraźniéj się zwijali dwaj starsi synowie pani Podczaszycowéj i jedynak naszéj poczciwéj piastunki, przy których Oleś i Michaś zawczasu już się zaprawiali do szkolnych harców i koleżeństwa, goniąc za kulami, albo piłkę starszym podając. Na ganku z jakąś robótką w ręku siedziała Podczaszycowa, wątła jeszcze i blada po przebytéj chorobie, smutna po doznanych nieszczęściach, tęskniąca zawsze do męża, od którego znowu żadnéj wieści niebyło; lecz już spokojna w duchu, szczęśliwa w swojéj niedoli i wdzięczna Bogu, który jéj dozwolił z dziatkami swemi się połączyć, dać im i chléb powszedni i duchowy pokarm w nauce. Przy niéj na stołeczku Zosia stroiła lalki, raz wraz dźwięcznym śmiechem wtórując wesołéj wrzawie chłopaków; Józia na ręku niańki, wojowała z całém swojém rodzeństwem, od matki domagając się nożyczek, od siostry lalek, od braci piłki i kręgli; a Żuczek, nieprzywykły do miejskiego gwaru i ruchu, u wrót na ulicy ujadał ochrypłym już głosem, ciągle się miotając na snujących się Żydów.

Było to nad wieczór. Po chwili, z pękiem kluczów u pasa, na ganek wyszła Barbara, a cała zgraja dzieciaków, z radośnym okrzykiem: „baba, baba! pójdźmy na podwieczorek!” rzuciła się ku niéj na wyścigi, i jak wojsko za swoim wodzem ruszyła za nią w głąb' domu, gdzie, w obszernym pokoju, na wielkim stole, rozłożone były to owoce, to krajanki chleba z masłem, lub z powidłami, i stały szklanki z mlékiem słodkiém i talerze z kwaśném.

„Do porządku! do porządku! — zawołała Barbara — proszę po kolei, a po starszeństwie!” Posłuszna dziatwa wnet się uciszyła, i skromnie a grzecznie jeden po drugim przystępując do stołu, brali chłopcy upodobane sobie jadło: Babcia bowiem pamiętała o guście każdego, i każdemu dogodzić chciała i umiała. To też kochali ją wszyscy jak prawdziwą babkę, bali się jéj i słuchali więcéj niż professorów. Przyzwyczajona u Podczaszycowéj oddawna niańczyć i pielęgnować dzieci, nabrała jakby serdecznego nałogu do tego zajęcia, nabyła głębokiéj znajomości serc i charakterów dziecięcych, rozmiłowała się we wszystkiéj dziatwie bez wyjątku; a choć zawsze i wszędzie na piérwszém miejscu w jéj miłości stały dzieci Podczaszycowéj, które

nazywała swojemi, nigdy się dla nich niedopuściła niesprawiedliwości względem cudzych, któremi się opiekowała, nigdy ich w niczém nie ukrzywdziła, ani upośledziła,—tyle w téj zacnéj duszy było delikatności uczucia.

A jak nad niemi czuwała, do jakich szczegółów posuwała troskliwość swoję—folijałyby o tém pisać. Śmiało rzec można, że u najlepszéj matki, nawet jedynak nie doznaje takiéj tkliwéj, a rozsądnéj opieki, pod jaką u niéj była cała owa gromadka. Choć cały zarząd gospodarski i tutaj był na jéj ręku, zawsze miała dość czasu nie tylko nakarmić swoich stołowników, nie tylko ich oprać i utrzymać w porządku bieliznę, pościel, i suknie, lecz i o kąpieli dla nich co tygodnia pamiętać i główki wyczesać, a nawet poobcinać paznokcie. W niedzielne i świąteczne wieczory prawiła im bajki prześliczne; zabawki ich, jak *np.* kręgle, huśtawkę, trzymała pod swym dozorem; lecz nigdy niepozwoliła przebrać miary w swawoli, raz w raz im lekcye przypominając, a często nawet każąc sobie *wydawać*. Ztąd też wiedziała o postępie każdego, i jak niedopuściła nigdy aby instruktor ukarał mimowolnego winowajcę, tak też piérwszą była do oskarżenia leniwca, a nieraz nawet i sama

sprawiedliwość wymierzyć umiała, nie tylko cofnięciem ulubionych przysmaków, lecz nawet macierzyńskim, serdecznym klapsem. Wiodło ją do tego, nie tylko serce pełne miłości, lecz i uczucie obowiązku: wiedziała bowiem, że takiém postępowaniem i swoję dziatwę ustrzeże od złego przykładu, i zjedna sobie zaufanie tak rodziców swoich stołowników, jak też i władzy szkolnéj, a ztąd i byt dobréj swéj pani zapewni.

Nieomyliła się w swojém mniemaniu. Rychło poczciwa *baba* zasłynęła w calutkiéj szkole, w całém miasteczku, i w okolicy we wszystkich domach, zkąd tylko uczniowie do Słucka przejeżdżali; mało kto może znał jéj nazwisko, a nawet imie prawdziwe, lecz jak studenci, tak też i wszyscy professorowie, a nawet przekupnie i rzemieślnicy znali ją i szanowali pod nazwiskiem *baby*. Z professorami rychło zawiązała stosunki: bo gdy którego z jéj stołowników przez niewyrozumiałość zapakowano do karceru, czyli, mówiąc szkolnym językiem *posadzono na śledziach*, natychmiast biegła wytoczyć proces temu, kto go ukarał niesłusznie, i póty nieustąpiła aż sprawiedliwość uznaną i wymierzoną zosłała. Po kilku takich utarczkach, poczciwi professorowie musieli zwrócić uwagę na tę dzi-

wną kobiétę, zaczęli pilnie badać jéj charakter, a odwiedzając kwaterę Podczaszycowéj, wdawać się z nią w dłuższe rozmowy; i nie tylko oddali należny hołd jéj zacności i rozsądkowi, lecz przez nią nauczyli się znać i cenić panię Podczaszycową, któréj dom stał się rychło miłą dla nich gościną, i sam weselu i swobodzie dał przystęp do swojéj pani. Studenci znali *babę* przez swych kolegów, znali ją jako mistrzynię w przyrządzaniu różnych przysmaków, jako najlepszą piastunkę swoich stołowników, a nareszcie jakby nową *Szecherezadę*, bo niezliczone bajki krążyły między dziatwą, przez nią w obieg puszczone. Rzemieślnicy wrzszcie i przekupnie znali ją nie tylko jako gospodynię, lecz jeszcze jako znakomitą lekarkę i po części znachorkę: u tych więc nazwisko *baba*, miało swoje urzędowe znaczenie.

W takim stanie rzeczy, nie dziwy, że na rok następny pani Podczaszycowa, gdyby chciała, mogłaby całą szkołę mieć na swym stole: bo nie tylko dziatwa, wracająca z wakacyj prosiła się u rodziców do niéj na kwaterę, nie tylko professorowie do niéj posyłali, lecz każdy nawet gospodarz domu zajezdnego to samo radził, a wszystko to z łaski nieocenionéj *baby*.

Tak minęło lat kilka. Rok rocznie do dwudziestu chłopaków kwaterowało u pani Podczaszycowéj znaczny jéj dochód przynosząc. Starsi jéj synowie, kwiat szkolnéj młodzieży, zasłynąwszy jako najlepsi instruktorowie, nie tylko młódszych braci uczyli, lecz i stołowników swéj matki, któréj fundusze przez to powiększali; Grzegorz, syn Barbary, również do celujących uczniów należący, instruktorując na sąsiedniéj kwatérze, na dalszą karryerę grosz zbierał skrzętnie,—może nawet zanadto skrzętnie, bo i w lichwę się wdawał ukradkiem, zbyt wcześnie chciwe i nieużyte okazując serce. Nie lubili go też koledzy, a nawet matka rodzona coraz to obojętniejszą dlań się stawała, całą duszą lgnąc do swych dzieci przybranych, których szacunek i przywiązanie, dobroć i poczciwość dostateczną dla niéj były osłodą téj goryczy okropnéj, jaką nieosobliwy charakter jedynaka biedne jéj serce napełniał, w czém sama Podczaszycowa najżywsze jawiła jéj współczucie.

Pominąwszy tę jednę okoliczność, niczego zresztą nie brakło do szczęścia tych dwóch niewiast, chyba tylko powrotu P. Podczaszyca, a przynajmniéj jakiejkolwiek wieści od niego. Gdyby on wrócił! w tym dobrym bycie przy

téj miłości ludzkiéj, przy tém błogosławieństwie Bożém, jakie na skromnéj, pilnéj a bogobojnéj dziatwie widoczném było, zapomniałyby wszystkich trosk przebytych, wszystkich zawodów i znojów dawnych!...

Tak marzyła Podczaszycowa, tak tęskniła nieraz przed ukochaną swoją Barbarą, która z dniem każdym, z każdą chwilą droższą jéj była, ze sługi stawszy się jakby prawdziwą jéj matką najczulszą. O pensyi nigdy już mowy niebyło; wszystkie dochody szły na jéj ręce, i wolno jéj było według upodobania niemi rozporządzać. Lecz ona nie tylko należności z nich swojéj nieodliczała, udając przed Podczaszycową, że tego najskrupulatniéj dopełnia; ale nawet cały swój kapitalik jéj poświęciła w piérwszym roku na najęcie domu i urządzenie gospodarstwa, kłamiąc pobożnie, że go straciła w owym rabunku, i że fundusze na to wszystko ma jeszcze z Zabrodzkiéj arendy.

Raz w czasie wakacyjnym, kiedy się wszyscy stołownicy Podczaszycowéj rozjechali do swoich domów, a z nimi i dwaj starsi synowie; młódsza jéj dziatwa bawiąca się piłką na dziedzińcu w assystencyi nieodstępnego Żuczka, spostrzegła wchodzącego we wrota jakiegoś mężczyznę śre-

dniego wieku, w granatowéj wyszarzanéj czamarce, po żołniersku spiętéj pod szyję, z konfederatką na głowie, ze skórzaną torbą na plecach, z jedną ręką na temlaku, z kijem sękatym w drugiéj, z szeroką blizną na ogorzałéj twarzy, w rudych, zakurzonych bótach, świadczących o długiéj pieszéj wędrówce. Stóżliwy Żuczek groźno się rzucił na niego; ale nim chłopcy czas mieli odwołać go i skarcić, ze zdumieniem ujrzeli, że po piérwszém warknięciu, nagle z radośném skomleniem przypadł do ziemi, czołgając się u nóg przybylca. W téj chwili z ganku piorunem wypadła *babcia*, i ze spazmatyczném łkaniem i śmiechem, rzuciła się do kolan jego, a oplotłszy je rękoma i całując namiętnie, wołała w niebogłosy: „Pan mój! pan mój najdroższy!!” I dzieci z jednym radośnym okrzykiem: „ojciec nasz!” wnet go otoczyly żywym łańcuchem...

Wędrowiec kij z rąk upuścił, zachwiał się, upadł na klęczki; a płacząc rzewnie, głęboko, tulił do łona drogą swą dziatwę i nieocenioną piastunkę.

Wrzawa ta, łkania i smiechy wywołały z pokoju panię Podczaszycową, która ujrzawszy ową rzewną gruppę u wrót swego domu, odrazu

pojęła, przeczuła kogo Bóg jéj przysyła. Z serdecznym okrzykiem rzuciła się ze schodów, lecz sił jéj zabrakło na zniesienie takiego ogromu szczęścia i padła bez zmysłów; a w tejże chwili już mąż był przy niéj, już ją dźwignął silném ramieniem, i rzeźwił gorącym pocałunkiem i gorącemi łzami...

Resztę chciejcie dopełnić sami, kochani czytelnicy moi, odczujcie własném swém sercem: bo słów mi braknie, bo myśli słuchać mię niechcą, skarząc się na skrzydła łzami serdecznemi przemokłe... Liczę na wasze współczucie, na waszą serdeczną pojętność: bo czyliż być może, aby z was kto choć raz w życiu niewitał drogiéj sobie istoty, choćby nie po tak długiéj rozłące, lub też aby do kogokolwiek nietęsknił, i niepragnął go wreszcie powitać, i nieprzeczuwał jakby go witał?...

Odczujcież także radość Podczaszyca, który po kilku leciech tułactwa, po niezliczonych krwawych zawodach, wróciwszy w progi domowe, znalazł wszystkich swoich nie tylko żywych i zdrowych, ale w dobrym bycie, znalazł starszych synów świetnie kończących nauki, młódszych zdążających za ich przykładem! Srodze był w prawdzie zraniony na ciele i na duszy,

ale w gronie rodzinném (przy rezygnacyi) znalazł dosyć cudownego balsamu na wygojenie wszystkich ran swoich; a chociaż nigdy się już niepozbył głębokiego smutku, którym skróś serce przesiękło, miał przecież spokój i częste chwile czystéj a rzewnéj radości.

Łatwo pojmiecie jaką się przejął wdzięcznością dla poczciwéj piastunki, gdy się dowiedział, że nie tylko ten byt pomyślny w jakim swoich zastał, lecz może nawet ich życie, jéj był winien, gdy spostrzegł, że wszystko w domu przez nią się działo, i że będąc jakby głową całéj rodziny, otoczona szacunkiem jéj i miłością, ani na włos jeden z roli sługi niewyszła, zawsze pracowita, skromna i pokorna. Lecz razem jakże się zatroskał, niewidząc żadnego środka, nie tylko wynagrodzenia tego, co wyższém było nad wszelką nagrodę, lecz nawet okazania dostatecznie wdzięczności swojéj! Czcił ją, jakby matkę rodzoną; radby jéj ręce całował, gdyby pozwoliła na to; i choć niebyło tego potrzeby, czuwał najtroskliwiéj, aby jego dzieci, w każdym czynie, w każdém słowie, w każdém pomyśleniu, objawiały tę wdzięczność jaka się należała nieocenionéj téj kobiécie. Lecz wszystko to jeszcze uważał za małą, za zbyt niedostateczną ocenę

jéj zasług, i stanął duszą w takiém położeniu, w jakiém się niegdyś czuła pani Barbara, gdy ją osierociałą po śmierci męża, z sierotą, Podczaszycowstwo w dom swój przygarnęli,—i uznał w tém wyraźnie świętą prawicę Bożą, która drobne ziarno jego zasługi z taką niezmierną lichwą wróciła mu przez ręce téj prawdziwie świętéj niewiasty.

Tak więc dla rodziny Podczaszycowstwa (których, od powrótu pana Adolfa, *Półkownikowstwem* zwać nam wypada), zajaśniało odtąd szczęście w całéj pełni. Dochody były znakomite, tak, że nie tylko nabyli sobie na własność dom najmowany dotąd, lecz i w zapasie jakiś grosz na złą godzinę mieli; chłopcy w szkołach, dziewczęta na pensyi celowali nauką i obyczajami. W kółku rodzinném chwile swobodne pełne były niezrównanego uroku, bo długa tęsknota do ideału podniosła wzajemną miłość męża i żony, ojca i dzieci,—i anioły Boże zstępowały z Niebios pod dach ten błogosławiony przysłuchywać się wieczornym ich pogadankom, kiedy Półkownik siedząc u płonącego komina, z żoną obok siebie, z dziatwą dokoła u nóg przyklękłą, opowiadał swoje przygody, prawił o krwawych bojach, w których hełmem i tarczą

były dlań modlitwy jego ukochanych; opisywał kraje dalekie, które z bronią w ręku zwędrował; kreślił portrety znakomitych wodzów, którzy go wiedli do zwycięztw i chwały, i wawrzynem wieńczyli; malował wreszcie najżywszemi kolory swoje bole tułacze, swoję tęsknotę rzewną, nigdy niezagłuszoną, ani dział grzmotem, ani okrzykiem tryumfu. Nieraz śród téj gawędki, niepostrzeżona wkradła się *babcia* do pokoju, i zatuliwszy się w kąciku najciemniejszym, oddech w piersiach tamując, przysłuchywała się aż do zapomnienia się, chłonąc w duszę i urocze słowa pana drogiego i cały ten obraz świętéj rodzinnéj miłości; nim wykrzyk mimowolny podziwu lub trwogi, wywołany powieścią pana Półkownika, niezwrócił na nią uwagi, i nim jéj przemocą nie zmuszono usiąść i zająć miejsce w kółku familijném.

W ten sposób jeszcze lat kilka minęło; a w czasie tym dwaj starsi synowie Półkownika już przeszli parę kursów nauk uniwersyteckich, młódsi skończyli szkoły i także do uniwersytetu się udali; a syn Barbary przystał na aplikacyę do znakomitego Mecenasa, i już nie pospolitą, choć nie bardzo zaszczytną, reputacyą zyskał; Józię Bóg zabrał do swojéj chwały, Zosię mąż

wywiózł w dalekie strony... Nieznacznie więc życie Półkownikowstwa zupełnie się zmieniło, sposępniało, ochłodło jakby jesień przedwczesna; a jakkolwiek zawsze Bóg im błogosławił, darząc bytem pomyślnym i miłością ludzką, jakkolwiek równie żywém, a może i silniejszém było ich przywiązanie małżeńskie i przyjaźń z niocenioną piastunką,—pozbawieni wszystkiéj swéj dziatwy kochanéj, niemogli nieuczuć téj straszliwéj próżni dokoła siebie, któréj już niczém zapełnić niepodobna było. Daremnie Półkownikowa wylewała się dla sierotek, które przyjęła, daremuie Półkownik wynajdywał sobie najróżnorodniejsze zajęcia, aby ani chwili w dniu długim niemieć na tęsknotę, to czytając, to pisząc swoje pamiętniki, to pracując w ogrodzie, w tokarni, lub u stolarskiego warstatu; daremnie poczciwa babcia otoczyła się całą menażeryą ulubionych źwierzątek, pozostałych po jéj wychowańcach, i odrodzonych pono w trzeciém pokoleniu,—serce ich zawsze okropny brak czuło, i rzewnéj tęsknoty pozbyć się niemogło; a wesoła dziatwa cudza (stołownicy już tylko), przypominając im własną, powiększała tylko żal ich i smutek.

Przyszło wreszcie do tego, że już dłużéj w takim trybie życia wytrwać niemogąc, posta-

nowili przedać dom i z miasta na wieś się wynieść, gdzie sobie maluczki folwark kupili, aby mieć zkąd się utrzymać i gdzie wieku swojego dożyć.

Barbarze syn jéj proponował, aby przy nim pozostała, bo pracą swą tyle już zarabiał, że mógł się z matką utrzymać; ale nieprzyjęła jego ofiary, i wpakowawszy na ogromną furę swoję menażeryę i stare zabawki swoich pieszczochów, powlekła się za Półkownikowstwem.

Śliczna to była ustroń ta nowa ich siedziba! W Grodzieńskich stronach, w jednéj z najpiękniejszych Litewskich okolic, śród łagodnych pagórków, okrytych sosną i brzeziną, ciągnących się po wybrzeżu Niemeńskim, niewielki dworek szlachecki, otoczony kilką włościańskiemi chatkami, z małą kapliczką na wzgórzu, w cieniu lip starych.

I dworek, i wioskę, i kapliczkę znalazł wprawdzie Półkownik w straszném opuszczeniu; ale się bynajmniéj tém nie zakłopotał, owszem uczuł w duszy pewien rodzaj pociechy, że będzie miał nad czém pracować i czém chwile swoje zapełnić.

Najpiérwiéj tedy, zaprosiwszy kmieci na ucztę powitalną, z każdym osobistą zabrał zna-

jomość, i szczerém przyjęciem, a serdeczném słowem (na czém pono najłatwiéj prostaczki się poznają) odrazu wziął ich za serce, odrazu i ufność i miłość ich pozyskał: bo szczęściem trafił na ludek bardzo poczciwy, bogobojny, i oświecony potrosze, umiejący i Boga z książeczki chwalić, i w kościołku piękny chór złożyć. Łatwo więc mu przyszło zachęcić tę pobożną gromadkę do odnowienia kapliczki, zwłaszcza gdy jeszcze sam z siekierą w ręku stanął na jéj czele do pracy.

A że, kto z Bogiem zaczyna, temu Bóg szczęści, rychło i włościańskie chatki i jego własny dworek inną postać przybrały, rychléj nawet niźli się mógł spodziewać po szczupłéj liczbie poddanych, których uciemiężać niemyślał. Ale poczciwość jego i to prawdziwie ojcowskie serce, które w każdym kroku im okazywał, tak cudownie na nich wpłynęły, że się mu sami narzucali z pomocą, domagając się pracy we dworze.

A trzeba wiedzieć, że i tutaj nieoceniona piastunka niemałą rolę grała. Skoro tylko Półkownikowstwo zamieszkali w *Ustroni*, natychmiast nasza *babcia* z końca w koniec wioskę przebiegła, i z każdą chatą przyjacielskie zawią-

zała stosunki, które z dniem każdym nowemi węzły wzmacniała, tak, że w rok niespełna żywéj duszy we wsi niebyło, od najstarszych do najmłódszych, coby ją obojętnie wspomniała, coby jéj niemiała za prawdziwą wyrocznię. Gdyż trzeba wiedzieć, że od dzieciństwa zostając w ciągłéj styczności z ludem, przejęła od niego wszystkie zabobony i gusła, nauczyła się wszelkich sekretów, zamawiań, zażegnywań, odpędzania chorób i uroków od ludzi i bydląt, a pielęgnując dziatwę Podczaszycowéj, nabyła nadzwyczaj trafnego traktowania chorób dziecięcych: miała więc w ręku tysiączne sposoby zjednania sobie względów u kmieci, zwłaszcza u kobiét, i jako lekarka, swacha, kuma, znachorka i zawołana gospodyni, dla wszystkich była miłą i pożądaną. Dosyć więc było aby tylko skinęła, a cała włość stała na jéj rozkazy: bo kto się zawahał, tego żona znagliła. I maluczkie gospodarstwo Półkownikowstwa, dzięki jéj staraniom, w ładzie i spokoju kwitło coraz lepiéj.

I mijały chwile jasne i ciche. Półkownik po całych dniach zajęty, to szczepił i kopał w ogrodzie, to na tokarni wyrabiał różne cacka, któremi wiejską dziatwę obdarzał, to kleił

skrzypki dla wiejskich grajków, to sporządzał różne narzędzia i naczynia gospodarskie, udoskonalając je własnym przemysłem, to wynajdywał sztuczne zamki i rygle drewniane, i t. p.; czasem wybiegł na pole, czasem ze strzelbą do kniei, a wieczorami pisał swoje wspomnienia, gawędził z żoną o drogiéj dziatwie, albo czytywał głośno książki przysyłane przez synów.— Półkownikowa przez całe lato krzątała się w swoim kwiatowym ogródku, lub na inspektach; zimą więcéj się modliła, uczyła wiejską dziatwę czytania i katechizmu. Ciągle zajęta myślą o swoich dzieciach, z rąk prawie niewypuszczała robótek dla nich, a nawet swoje kwiaty i kawony na ich intencyę pielęgnowała. Bo też u niéj wszystko było na ich intencyę:—czyli to wspierała ubogiego, to zawsze mówiła: pomódl się na intencyę mych dziatek! czy leczyła chorych, czy nauczała wiejskie pacholęta, czy z rezygnacyą znosiła swoje cierpienia, czy przebaczała urazy—wszystko to ofiarowała Bogu na ich intencyę; słowem, całe jéj życie poczciwe było jedną intencyą pobożną dla nich. Baba nareszcie była wszystkiém i wszędzie; bez niéj nic się niedziało, ani we wsi, ani we dworze: była to jakby sprężyna całą tę machinę poruszająca,

jakby dusza ożywiająca to ciało. Gospodarstwo nie tylko domowe, ale nawet rolne po części od niéj brało kierunek: ona bowiem i robotników najmowała, których jéj nigdy niebrakło, i parobków w ścisłym trzymała rygorze, i przy młockach nieraz stała na straży, i na pole często zajrzała. A oprócz tego z Półkownikową pielęgnowała inspekta i kwiaty, przybierała kapliczkę na niedziele i święta; Półkownikowi nastręczała pomysły do coraz doskonalszych połapek na szczury i krety, coraz lepszych koszów na sery, i t. p. A nic jedno drugiemu nieprzeszkadzało, na wszystko czas jéj wystarczał, i wszystko u niéj było najlepsze: warzywo, nabiał i wędlina, przez nią urządzone, słynęły w całéj okolicy; jéj krowy najwięcéj mléka dawały, jéj kury najwięcéj jaj niosły, gęsi i indyki najwięcéj piskląt wysiadywały, jéj len był najlepszy, przędziwo najcieńsze; słowem, we wszystkiém cudów dokazywała, tak, że pospólstwo z najmocniejszą wiarą zwało ją znachorką.

Przy tylolicznych wszakże i tak różnostronnych zajęciach, miała jeszcze dość czasu na hodowanie całego źwierzyńca czworonożnych i skrzydlatych, potomstwa, co już niewiém w które przeszło pokolenie, owych faworytów, któremi

się niegdyś jéj wychowańcy bawili. Cała ta zgraja najrozmaitszych źwierząt jakie się tylko oswoić dają, nic już niemówiąc o wszelkich domowych, była wciąż przez nią jak najtroskliwiéj pielęgnowana, każde zwała właściwém imieniem, każdego znała genealogiję, a ciągle z niemi przestając, ciągle z niemi gawędząc jak z ludźmi, przyzwyczaiła do rozumienia swéj mowy, i tak wpłynęła na ich obyczaje, że wszystkie w jednéj gromadzie żyły jak najzgodniéj, i nie było przykładu, żeby się które bodaj najmniejszéj zbrodni dopuściło względem swoich kolegów. Zato opiekunka spyszna się miała od nich! Pieszcząc tych darmojadów przez miłość dla swoich dzieci; nie tylko nikomu tknąć ich niepozwalała, ale i sama chłostą nigdy żadnego nieskarciła, perorując tylko i grożąc nieustannie. Ba! jeszcze nie koniec na tém; muszę tu podać jedną oryginalną, a piękną cechę jéj charakteru: pamiętna swego i swéj dzieciny sieroctwa, szczególniejsze współczucie dla wszelkich sierot okazywała; i nie tylko całém wylewała się sercem dla wiejskich sierotek, lecz skoro tylko które ze źwierząt domowych przedwcześnie matkę straciły, natychmiast brała je na wychowanie, wynajdując dla nich karmicielki, lub z sysełki mlé-

kiem je pojąc troskliwie, i niebyło przykładu żeby w ślad za nią niebiegło bądź jagnię, bądź cielę, bądź wreszcie nawet i prosię, o którém z rozrzewnieniem mówiła: „to sierotka!”

Tak więc jéj mieszkanie wyglądało jak prawdziwa arka Noego, a nawet gorzéj jeszcze, bo tam po parze, a tu po kilkoro było źwierząt wszelkiego rodzaju.

Taki to stan, takie były zajęcia się zacnych tych ludzi, którym, gdyby Bóg pozwolił choć jedném w domu cieszyć się dziecięciem, nicby już wtedy do szczęścia niebrakło. Ale sami najlepiéj o tém wiedzieli, że tak być niemogło, szczególniéj ojciec, który dla publicznéj sprawy rad był życie nawet poświęcić; z chlubą nawet o tém wspominał, że cztéréj jego synowie nie na piecuchów, nie na trutniów wyrośli, że darmo w kraju chleba niejedzą, i jak umieją i mogą służą powszechnemu dobru. Z rezygnacyą więc tę rozłąkę znosili; wszelakoż miewali chwile wielkiéj, nieprzezwyciężonéj tęsknoty, — i choć nieszemrali na wolę Bożą, niemogli się jednak oprzeć bodaj modlitwie o oglądanie choćby jednego z synów choćby raz do roku, ale, niestety, daremnie! Jedyną pociechą były tylko kiedy niekiedy ich listy. A wielka to była po-

ciecha, radość niewymówna! Skoro je tylko przyniesiono z poczty, natychmiast *baba*, porzuciwszy wszystkie zajęcia, biegła do swoich państwa dzielić ich szczęście i słuchać co tam jéj drogie pieszczochy piszą... Półkownik każdy list zwykle głośno dla niéj i dla żony czytał. Czy rozumiała co z tego czytania, tego już niewiém; ale cały czas tchnąć nawet nieśmiejąc, ręce złożywszy na piersiach, stała bezwładna, z głową ku czytającemu pochyloną, z ustami wpółotwartemi, z nieruchomemi oczyma, a przez nie z serca biło nieustannie źródło przeczyste, ręką poświęcone anielską... Zwykle potém Półkownik kilkakroć jéj powtarzał treść listu każdego, i tak pomału do przytomności ją przywodził i wracał władzę jéj sercu, jedném uczuciem rozrzewnienia skrępowanemu. Wtedyż to radość była szalona! łzy, modły, śmiechy, wykrzyknienia, mięszały się z sobą naprzemian; biegała po całym domu klaszcząc w ręce jak dziecko, i krzycząc wszystkim posłyszane z listu nowiny, a wreszcie wpadłszy do swoich źwierząt, porywała je na ręce i osypując pieszczotami, opowiadała każdemu z osobna, co którego pan pisał, a kończyła zawsze obietnicą od siebie, że jak będą grzeczne, to paniczowie przyjadą. Szła potém na wieś do

swoich kumoszek, aby się i przed niemi szczęściem swojém pochwalić; a poczciwe wieśniaczki ze szczerém współczuciem słuchały jéj gawędy, bo już z jéj opowiadań tak dobrze znały *paniczów*, że nawet w czystém polu raz piérwszy ich ujrzawszy, pewnoby odgadły kogo mają przed sobą.

Półkownikowstwo, ze swéj strony, dzielili się radością z poczciwymi sąsiady, którzy najżywszy udział brali we wszystkiém, co się tylko tyczyło zacnych tych ludzi. A trzeba wiedzieć, że gęste tam były dworki szlacheckie, i że we wszystkich Półkownikowstwo doznawali czci najgłębszéj, uważani jakoby za patryarchów całéj okolicy.

Tak znów minęło lat sześć czy siedem. W *Ustroni* coraz weseléj było, bo synowie Półkownikowstwa coraz częściéj listami ich obdarzali, coraz wyraźniéj obiecując im swe odwiedziny. Całe sąsiedztwo wrzało wieścią tą radośną, wraz z rodzicami wyglądając przybycia ukochanych tych gości; a babcia, w całém znaczeniu wyrazu, dostała szału z ukontentowania i niecierpliwości. Co wróżb, co zaklęć nienatworzyła! i źwierzęta, i drzewa, i chmury, i martwe nawet kamienie, słowem niebo i ziemia, co-

dzień jéj zwiastowały chwilę ich przybycia, co nocy sny i przywidzenia to jéj zapowiadały, co święta obrazy w kapliczce o tém jéj prawiły; a gości jak niebyło, tak niebyło! Nareszcie cały miesiąc bez listu nawet od nich upłynął! Zniecierpliwiona raz w nocy sama biegła piechotą do miasteczka na pocztę, i biédna z niczém wróciła! Odtąd co wieczór szła za wioskę daleko na ich spotkanie, i do ziemi przypadłszy, ucho przykładała czy nieposłyszy jakiego turkotu, i pewno posłyszałaby go o milę, i z samego tętentu odgadłaby ich bryczkę; ale wszystko daremnie...

Raz po południu, w pogodny dzień wrześniowy, oboje Półkownikowstwo siedzieli na ławeczce w ganku, gdzie już od dwóch miesięcy ciągle siadywać zwykli, wyglądając drogich swych synów. Ona nizała śliwki na rożenki, przygotowując setny już przysmak dla swoich dzieci, i raz w raz łzawe oczy posyłała na drogę za Niemen, zkąd przybyć mieli; on na brusku ostrzył narzędzie stolarskie, przygotowując się do ważnéj pracy (od kilku bowiem tygodni własnoręcznie robił łóżka dla spodziewanych gości), i również kiedy niekiedy ku tamtéj stronie spoglądał, i ukradkiem, niemęzką wprawdzie, ale rodzicielską łzę strząsał z powieki.

Przez otwarte okno z przyległéj oficynki, zajmowanéj przez babę, słychać było gwar wielki rozmaitych głosów źwierzęcych, warczenie psów, miauczenie kotów, kwik prosiąt i szczebiot ptastwa wszelkiego; a nad tém wszystkiém dominował rozkazujący ton babci, strofującéj zgraję niesforną:

—Żuczek! Żuczek! psia wiaro! (wnuk już dawnego), nierusz prosięcia! puszczaj moję sierotkę! bo ja się tu koło ciebie zawinę po swojemu!... (Kwiczenie sierotki nieustawało!) Żuczek won z chaty! bo cię jak tamtego komissarza wypędzę!...

I w tejże chwili przez okno Żuczek śmignął susem potężnym, a za nim pokazała się zaciśnięta pięść baby, wołającéj z pogróżką:

—Czekaj-no, łotrze! przyjadą panicze, tylko co niewidać; obaczysz jak cię odmaluję! i oczu ze wstydu na nich niepodniesiesz!... fe! paskudny!

A Żuczkowi to ani w głowie; najspokojniéj położył się tuż przeciw okna, i literalnie nakrył się ogonem.

W izbie nowy harmider.

—Mruczek! Mruczek! a przebrzydłe kocisko! oddaj mi kurczę! oddaj mi zaraz, bo cię tu

samego na rożen wsadzę! A próżniaku przebrzydły! na myszy ani patrzysz, choć ci uszy objadły, a na kurczęta toś łas! Nie taka była twoja babunia; po dziesięć szczurów na dzień łapała! szczurów! rozumiesz głupcze!? a raz to i tchórza zamordowała, choć ją pokaleczył biedaczkę: a ty próżniaczysko nażarłszy się mięsiska, na rekreacyę tylko chrząszcze łapać chodzisz, albo mi tu psoty wyrządzasz! Czekaj-no, łotrze! tuż tuż *dzieci* jadą! już ja w tém, że ci pęcherz do ogona przywiążą, i puszczą na cztery wiatry!...

—Sroczka! Sroczka! séra mi nieruszaj! bo cię żywcem osmalę! I ta łasica przebrzydła jeszcze mi w garnki zagląda! Skaranie Boże z temi bestyami! Nu, nu! wszystkim ja wam dogodzę! niech tylko dzieci przyjadą!... Nic mi zrobić niedają! z rąk rwą i z nóg mię walą!... Won, łotry, bo niewytrzymam! won!...

I raptem drzwi się rozwarły, a tak przez nie, jak i przez okno, sypnęła się cała menażerya zagrożona miotłą, z którą za nią babcia wyleciała. Wszystko to rozbiegło się po dziedzińcu, albo zasiadło na dachu; jeden tylko kozieł uparty, prawdziwy kozieł, rejterował się z honorem, groźnie napastnicy stawiąc łeb swój rogaty; aż wreszcie Żuczek, przed chwilą spo-

niewierany, przybył jéj na pomoc i spędził z placu zuchwalca.

Półkownikowstwo, patrząc na tę scenę, niemogli się wstrzymać od śmiechu; a spostrzegłszy to rozweselenie, piastunka natychmiast z gniewu przeszła do serdecznego chychotu, i za boki się trzymając, do nich się zbliżyła.

—Ot tak masz!—zawołała ujrzawszy zaczerwienione oczy Półkownikowéj,—skaranie Boże z tym płaczem; kto inny to i wodą ze studni takby nieszafował jak Imość łzami! I czegoż płakać? dalibóg niéma czego! Już ja Imości powiadam, że ot tylko co niewidać jak przyjadą: sroczka po całych dniach *drze się* na płocie, aż zachrypła; Mruczek raz w raz się umywa, jak jaka panna na wydaniu; a mnie już kilka nocy z rzędu śni się, że morduję tego przeklętnika, co to nas z posessyi chciał wyrzucić...

—Kiedyż-bo to, moja poczciwa babciu, już od miesiąca ani słychu o nich niemamy! obiecywali swój przyjazd na połowę sierpnia, a teraz już i wrzesień połowy dobiega, a ich jak niéma, tak niéma!

—Wielkie dziwo!—odparła babcia,—we czterech mieli ze stron różnych się zjechać; może z nich który zamarudził, to się doczekiwali!—

pewnie Michaś, bo to on zawsze był wielki guzdrała,—a potém jak i wyjechali, kto wie jakie konie najęli, może gdzieś szkapy przystały, to się i wleką noga za nogą...

Uśmiéchnął się Półkownik na tłómaczenie naiwne.

—Zapewnie—rzekł—coś podobnego być musi, niéma się czém trapić; ale mówiąc prawdę radbym i ja doczekać się już jakiéj wieści...

—Kiedyż-bo Jegomość nigdy mię nieposłucha!—zawołała piastunka;—czyż ja raz mówiłam: daj mnie Jegomość konika; pojadę do Wilna, to się i Matce Najświętszéj pomodlę, i choć jednego przywiozę!

—Poczciwa duszo!—westchnął rozrzewniony Półkownik—a cóż tu bez ciebie twoje hodowańce i twoje sierotki poczną?

Nic na to nieodrzekła nieoceniona babcia, bo na myśl jéj przyszło, że nie tak *sierotkom*, jak drogim jéj państwu, byłoby bez niéj niesporno; lecz ani przypuszczała do głowy innego rodzaju przeszkody do téj wyprawy, wierząc najmocniéj, że byle konik a wózek, toby kraj świata do swych wychowańców trafiła. I ze zwieszoną głową, założywszy ręce na piersiach, stała smutna i zadumana, oparłszy się o kolumnę ganku... i wszyscy troje milczeli...

Nagle Półkownikowa, wpatrująca się ciągle w dal po drodze za Niemnem, upuściła z rąk śliwki, zerwała się z miejsca, pomknęła na brzeg ganku, i przykładając rękę do czoła, z twarzą zaognioną, wzrok wytężyła ku tamtéj stronie...

—Czy tam co widzisz, moja droga?—spytał Półkownik, rzucając brusek i siekierkę, i wstając z pośpiechem.

Babcia, jak wiewiórka, skoczyła ku wrotom, stanęła na słupie, i sama jak słup nieruchoma, całą duszę w oczach skupiwszy, wzrokiem pochłaniała przestrzeń ogromną, jakiejby może i luneta zmierzyć niepotrafiła... Półkownikowstwo oboje wybiegli także za bramę, i pilnie spoglądali po Zaniemeńskiéj drodze... Nic tam widać niebyło, nietylko żadnego wozu, żadnego przechodnia, lecz nawet najmniejszy wietrzyk nieporuszał kurzawy; a zresztą, gdyby się nawet ukazał w oddali ktoś przejeżdżający, jakże było zaręczyć, czy ci to byli, których się spodziano? Jednak niepojęty jakiś niepokój na raz wszystkie serca ogarnął, dziwne oczekiwanie w nich się zbudziło, i nikt niemógł wzroku od owéj drogi oderwać... i kilka chwil tak minęło...

Aż nagle babcia zaklaskała w dłonie, wołając: Jadą, jadą! już widzę!

—Na miłość Boga, gdzież ty ich widzisz?—pytała Półkownikowa, której serce na ten okrzyk radośny omal że z piersi niewyskoczyło.

—Ja nic niewidzę,—mówił Półkownik, gotowy także wleźć na bramę...

—Widać już! widać!—wołała wciąż babcia,—tam, tam, pod krzyżem na rozstajnych drogach, krakowska brzyczka, cztery siwe konie!...

—Co ci się roi, kobiéto!—odparł Półkownik—ztąd i przez lunetę krzyża niedójrzysz...

—Duszo moja,—rzekła Półkownikowa—może ona doprawdy widzi... pójdźmy na spotkanie.

—Bójże się Boga, zastanów się przecie; gdyby nawet widziała kogoś jadącego, czyż to koniecznie mają być oni?

—Oni! oni!—wołała wciąż babcia,—dalibógże oni! ot już krzywy mostek mijają! tylko że wleką się jak zdechlaki!...

I jakby dwunastoletnia dzieweczka, zeskoczywszy ze słupa, puściła się ze wszystkich sił do promu...

Pułkownikowstwo oboje, opanowani dziwną tą pewnością, tą mocną wiarą, że owi podróżni, których oni nawet dójrzéć niemogli, byli rzeczywiście ich dziećmi, jak świadczyła piastunka, śpiesznie w ślad za nią ruszyli; ale nim doszli

do brzegu Niemna, już ona nieznalazłszy promu z téj strony, wskoczyła do czółenka, po linie na drugi brzeg się dostała, i wciąż wołając: jadą! jadą! mknęła po drodze jak strzała...

Nim prom podano, już i Półkownikowstwo spostrzegli zbliżający się wielki kłąb kurzawy, z któréj gdy w saméj rzeczy wynurzyła się czwórka siwych koni z krakowską bryką, niemogli już wątpić, że poczciwa sługa oczyma duszy dostrzegła, prawie o wiorst kilka ukochanych wychowańców swoich...

Śpiesznie się przeprawili na drugi brzeg rzeki, śpiesznie zdążali przeciw jadącym; a niełatwo może pojmiecie, jak uczucia nadziei to obawy, radości to smutku, naprzemian sercem ich miotały; niełatwo pojmiecie co się działo z matką, gdy będąc jeszcze o jakie tysiąc kroków od podróżnych, spostrzegła jak ci, na widok babci, pędzącéj naprzeciw koni z rozkrzyżowanemi rękoma, nagle się wstrzymali, jak wyjrzał ktoś z bryczki, i jak w tejże chwili czterech mężczyzn ztamtąd wypadło, i pięć głosów zlało się w jeden okrzyk niewymównéj radości, pięć osób zbiegło się w jedną gruppę uszczęśliwienia... I ona też z okrzykiem, z jękiem raczéj, jakby pękało serce, niemogące tyle

szczęścia ogarnąć, porzuciwszy ramię mężowskie, ze wszystkich sił pomknęła ku swoim synom, którzy wraz z babą wzajemnie ku niéj już śpieszyli... i padli jéj do nóg we czci i miłości najwyższéj, i całowali stopy macierzyńskie poczciwi ci synowie, a ona łkając i śmiejąc się naprzemian, to każdego z osobna, to wszystkich razem garnęła do swego łona, i błogosławiąc, całowała głowy te pokorne a drogie...

Nadbiegł wreszcie i ojciec,—i gdy u nóg swych ujrzał całą swą chlubę i szczęście, piérwszy raz w życiu mąż ten niezłomny przed dziećmi płakać się niewstydził, i błogosławiące dłonie kładąc na ich głowach, poświęcił ich zdrojem ojcowskich łez najświętszych...

A musiało być wiele majestatu, wiele świętości w całéj téj scenie, gdy nawet furman, ciemny prostaczek, zdjął czapkę z głowy i z płaczem modlić się zaczął...

Uszczęśliwiona rodzina, wyprawiwszy bryczkę po przedzie, pieszo wracała do domu. U promu zaszedł im drogę stary arendarz i kilka wieśniaczek z powitaniem i powinszowaniem, bo się domyślili jakich to gości Półkownikowstwo prowadzą; a babcia rozpływając się z radości, wciąż swoim kumom szeptała: „moi wy-

chowańce! patrzcie jakie sokoły!" Gdyby mogła toby tak zaraz z nimi całą wieś przeszła, wołając w niebogłosy: „to wychowańce moi!" po całym świecie-by ich oprowadzała, przed całym światem chlubiąc się nimi.

Rajskież to było życie w *Ustroni* od przyjazdu drogich tych gości, jak gdyby ciągle święto uroczyste! I rodzice, i babcia, jakby odmłodnieli cudownie, jakby się na nowo na świat narodzili; i sił im przybyło, i zdrowia, i energii tak wiele! A ileż to chluby czystéj, a świętéj, ile pociechy serdecznéj, kiedy raz w raz, to poczciwe wieśniaczki przychodziły ucałować ręce paniczów, znosząc gościńce z orzechów, miodu i suszonych owoców, to zacni sąsiedzi zjeżdżali się, aby ich poznać i podzielić szczęście rodziców! A dobrzy chłopcy tyle mieli łaski u Boga, że każdego odrazu ująć sobie umieli, każdemu się podobać, u wszystkich zasłużyć na szacunek i przyjaźń. Wszyscy też na wyścigi zapraszali do siebie, i niepodobna było oprzeć się tym zaprosinom szczerym a uprzejmym: bo zapominali poczciwi ludziska, że i rodzicom i dzieciom miléj byłoby w domu sobą się nacieszyć. Półkownikowstwo i chłopcy ulegali téj konieczności bez szemrania; lecz

babcia protestowała bez ustanku, złorzecząc wszystkim sąsiadom i gderając i na wychowańców swoich i na rodziców. Zwykle spostrzegłszy przygotowania do odwiedzin, wytaczała im proces formalny.

—Dokąd-że to państwo już się wybieracie?

—Musiemy pojechać do państwa N.; byli u nas dwa razy i bardzo prosili do siebie.

—A żebyż oni przepadli z zaprosinami swojemi! nacieszyć się nam dziećmi niedadzą! I czego oni chcą od nich? raz-by się już przecie odczepili!...

—Ależ moja Barbaro!—powiadał na to Półkownik—trzebaż ludziom sercem za serce płacić, a Bogu za miłość ludzką dziękować; a i ty powinnaś się cieszyć, że wszyscy wychowańców twoich kochają...

—To niech sobie kochają; ale niechaj mi ich nieruszą! a zasię! jacy mi mądrzy! zkąd prawo do tego? czy oni ich hodowali? czy ich na swych rękach u gorącego serca wypiastowali? Jegomość się sobie uśmiechasz, bo Jegomości nic to nieszkodzi, bo razem z Imością pojedziesz tam gdzie i oni; a ja tu samiuteńka jak ta sierota, po całych dniach płakać tylko i tęsk-

nić muszę! Jak tak ma być do końca, to jużby woleli i nieprzyjeżdżać!...

Poczciwi chłopcy rozrzewnieni tą wymówką swojéj piastunki, dalejże ją ściskać, a całować, a przepraszać serdecznie, obiecując, że rychło wrócą, że drugi raz niepojadą, i tak udobruchają i rozweselą ją wreszcie.

—Kiedyż wrócicie?

—Na wieczerzę.

—Nu pamiętajcież! wystąpię po królewsku! będą i naleśniki dla Michasia, i smażone jabłka dla Olesia, i śmietana z twarogiem dla Kazia, i kaszka zapiekana z rodzynkami dla Adasia: wszystkie najulubieńsze wasze przysmaki.

—Wrócimy, pewno wrócimy.

Ale najczęściéj trudno było dotrzymać najszczérszéj w gruncie obietnicy: poczciwi bowiem sąsiedzi niełatwo wypuszczali z domu ukochanych gości. A biédna babcia rady tam sobie z niecierpliwości dać niemogła! Raz w raz wyglądała przez okno, nim zmrok niezapadł; raz w raz potém wybiegała za wrota, i jeszcze daléj na drogę, przysłuchywując się, czy niejadą? a nieraz to i z parę wiorst zabiegła! Jeszczeż kiedy wracających spotkała, to pół biédy; ale jak broń Boże z niczém wróciła, i w domu do

północy siedząc przy bramie, z modlitwą dla odpędzenia niecierpliwości, doczekiwać się ich musiała,—dopiéroż mieli co słuchać! Niebyło innéj rady na przebłaganie zażalonéj babci, jak, choćby wrócili z uczty nowego Lukullusa, zjeść wszystko co tylko dla nich nawarzyła i napiekła: bo trzeba wiedzieć, że od czasu jak chłopcy przybyli, ona nikomu ani się zbliżyć do kuchni niedała, sama jedynie trudniąc się kucharstwem.

A jak się zdarzył dzionek szczęśliwy, że ani się z domu wydalili, ani się żaden natręt niezjawił, toż to szczęście było dla babci! Nim powstawali, już ona z dziesięć razy do ich sypialni zajrzała, wkradając się na palcach, i jak cień, jak duch jaki opiekuńczy, przechodząc od łóżka do łóżka, z błogim uśmiechem na twarzy, ze łzami słodkiemi w oczach, wpatrywała się z lubością w twarze swoich dziatek uśpionych przyklękała przy nich, całowała ich pościel, i szepcąc modlitwę, błogosławiła ich znakiem krzyża świętego. A skoro tylko który oczy otworzył, powitana wdzięcznym uśmiechem, rzuciła się ku niemu z serdecznym uściskiem, i usiadłszy na łóżku zaczynała rzewną rozmowę, wspominając jego lata dziecinne, cytując każdy figiel, każdy dowcip, każde jego słówko rozumne.

A jak się już wszyscy obudzili, jak już każdego uściskała, i nagwarzyła się z każdym; zaleciwszy aby zmówili paciorek, szła do Półkownikowéj, pomagać jéj kawę dla dzieci urządzać. I już cały dzionek kręciła się jak fryga: bo i o zajęciach gospodarskich niezapominała i z pieszczochami swoimi jak najdłużéj byćby pragnęła. A wieczorem sama zwykle pościel im posłać musiała, sama zamykała okiennice, i suknem zasłaniała okna, żeby ani muchy, ani blask poranny zbyt wcześnie ich niezbudził, i pobłogosławiwszy każdego na dobranoc, zalecała odchodząc, żeby o pacierzach niezapomnieli. Poczciwi chłopcy, chcąc jéj swoję wdzięczność jak najżywiéj okazać, a wiedząc, że nic jéj tak nieuszczęśliwia, jak wspominanie lat ich dziecinnych, dziecinieli w najlepsze, i po kilka razy na dzień wpadając do jéj mieszkania, to wyprawiali harce z menażeryą, to myszkowali po wszystkich kątach, szukając przysmaków, które po dawnemu zwykle znajdowali, to przed obiadem wpadłszy do kuchni, porywali jéj naleśniki albo bliny z patelni, odkradali cukier i rozynki, to wreszcie w parę chwil po obiedzie napastowali ją krzycząc: „jeść, jeść, babunio!" A ilekroć matka wystąpiła dla nich z kawonem,

z miodem, lub z jakim innym przysmakiem, każdy biegł zanieść trochę dla baby, która już i słów znaleźć niemogła na błogosławienie poczciwych wychowańców swoich, i po dniach całych z ust jéj uśmiéch rzewny nieschodził i oczy z łez błogich nieosychały.

—Toż to ja szczęśliwa! szczęśliwa!—powtarzała co chwila,—gdyby mi tylko jeszcze Zosię obaczyć, tobym już i umarła.

A o rodzoném dziecięciu zapomniała prawie zupełnie; co gorsza, instynktową jakąś odrazę czując ku niemu, unikała nawet wszelkiéj wzmianki o niém. Wiedziała o tém, że Grzegorz dorobił się pięknego grosza, że wyszedł na półpanka; ale dobry byt jego więcéj ją smucił, niż cieszył.

Tak minęło ze dwa miesiące; w połowie drugiego spochmurniała. *Ustroń* dotąd wesoła—młodzi coraz częściéj zaczęli o wyjeździe wspominać, i już na seryo w drogę się wybierać. Wszyscy czteréj zamyślali jechać do Warszawy, gdzie ich wzywały jakieś bardzo ważne okoliczności, o których nieraz, zamknąwszy się z ojcem sam na sam, długo w noc radzili. Półkownik spokojnie mówił o téj podróży; matka z rezygnacyą konieczność uznawała; jedna tylko

piastunka rady dać sobie niemogła, a żadne argumenta do jéj przekonania nieprzystawały.

—Jakiego licha tam pojadą? na co im ta Warszawa? na co im świat cały? Boże mój drogi! czyż w domu chleba im braknie? czy braknie im ludzkiéj miłości?! Na co ich Imość puszczasz?... Jabym ani krokiem ruszyć się ztąd niepozwoliła; jabym im powiedziała: macie dach nad głową, macie kawałek chleba poczciwy; to siedźcież w domu i Pana Boga chwalcie. Ja sobie myślałam: ot się pożenią! bo tu chwała Bogu panienek nie brak, to jeszcze i wnuków się doczekam; aż tu ni z tego, ni z owego, zrywają się jakby ptaki na wystrzał, już lecą, już uciekają!... I wartoż to było ich hodować, a pieścić, a rozbijać się dla nich, żeby się tylko łez i tęsknoty na zapłatę doczekać!?...

Ale daremne były te perory: chłopcy wzdychali, ojciec wąs kręcił w milczeniu, matka popłakiwała z cicha, ale nikt wyroku bolesnego niecofał. Już zamówiono łódkę, aby dla mniejszego kosztu wodą płynąć do Kowna, już pożegnano sąsiadów, już się dopominano o bieliznę z którą biédna baba do ładu przyjść niemogła, po kilka razy przepierając na nowo, aby choć jeden dzionek dłużéj dziatwę zatrzymać. Wymyślała

i inne zwłoki, w czém jéj matka silną była pomocą; ale nareszcie przebrało się czułych wybiegów, i trzeba się było zrezygnować już ostatecznie.

Powiedziano stanowczo: jutro pojadą!

Całą noc w domu nikt oka niezmrużył, nikt ani pomyślał o wczasie. Rodzice, piastunka i czteréj chłopcy, zebrani w jednym pokoju, przesiedzieli do dnia białego, więcéj milcząc i płacząc, niźli rozmawiając—patrząc tylko jedni na drugich, jakby dla nauczenia się na wieczną pamięć swoich rysów nawzajem.

O świcie przyszli wioślarze zabrać pakunki podróżnych; a kiedy wziąwszy tłomoki na plecy wyruszyli z podwórza, gdy w tejże chwili ozwał się dzwonek w kapliczce na mszę wzywający,— biédna matka zapłakała rzewnemi łzami, a babcia padła twarzą do ziemi, głośno *zawodząc*, i łkając jakby do trumny jéj wychowańców poprowadzono.

Chłopcy się ku niéj rzucili, podnieśli, a tkliwém słowem i pieszczotą ukoili nieco żal jéj niezmierny.

Umówiono się jeszcze przed kilką dniami, że przed wyjazdem mszy świętéj słuchać będą, która się odprawi na ich intencyę, i wprost

z kapliczki udadzą się do łodzi, czekającéj na nich u brzegu, tuż za kościołkiem.

Padli więc do nóg rodzicom, uściskali drogą piastunkę, ucałowali błogosławiony próg domowy, wzięli po garstce piasku z domowego podwórka, i ze wszystkimi swoimi poszli do kapliczki, w któréj już znaleźli całą włość *Ustroni*.

Wielkaż-to, uroczysta była godzina téj najświętszéj Ofiary! pewno że nieczęsto się zdarza taka gorącość modlitwy, taka jedność intencyi, takie zespolenie ducha pobożnych, jak to wówczas było, kiedy jęk matki i piastunki, rozpostartych krzyżem na ziemi, jakby cudowny dzwonek, raz w raz budził wszystkich obecnych do modłów coraz gorętszych, do próśb Niebo zdobywających. A i bezbożnikowi nawet trudno byłoby patrzéć obojętnie na ten obraz prawdziwie święty, gdy, w pośrodku czterech swych synów, sędziwy Półkownik rzucił się na klęczki, i głowę śnieżnym włosem okrytą zniżył do ziemi, a po obu ich stronach padły dwa żywe krzyże—matka z piastunką... Tam bezbożników niebyło, to téż nikt się z powieką suchą niemodlił, i nikt się niemodlił za siebie.

Po mszy cała gromadka ruszyła na brzeg Niemeński—wieśniacy starając się rozerwać smu-

tek Półkownika i paniczów, wieśniaczki ciesząc biédną piastunkę, a zacny proboszcz krzepiąc ducha Półkownikowéj...

Stanęli u portu:—chłopcy ucałowali ramię proboszcza błogosławiącego im raz jeszcze, uściskali swoich domowników, — bądźcie zdrowi! rzekli poczciwym kmieciom, którzy ze szczerém uczuciem do kolan im się rzucili, tysiącem najczulszych życzeń osypując na drogę;—i smutni, rozrzewnieni weszli do łodzi, a z nimi rodzice i piastunka, pragnący ich jeszcze przeprowadzić choć trochę.

Usiedli na ławeczkach w milczeniu.

Czterech flisów barczystych ujęło wiosła. Łódź w piasku zagrzęzła, z trudnością odrywała się od brzegu, jak gdyby żal jéj było ziemię opuszczać; lecz wkrótce pchnięta na głębinę, uczuwszy się w swoim żywiole, gnana czterma wiosłami i w żaglach wiatrem pomyślnym, puściła się jak rybka śmigająca po gładkiéj szybie wody przed pogonią żarłocznego szczupaka; a z brzegu zabrzmiał łzawy okrzyk pożegnalny, i wzniosły się ręce, błogosławiące podróżnym...

Siedzieli smutni i zadumani rodzice i piastunka naprzeciw drogich swych dziatek. Matka i babcia niemogły oderwać od nich wpatrzo-

nych oczu, z których nieocierane łzy nieustannie płynęły. Mężczyzni mężnie boleść swą znosili, przede wszystkiém Półkownik z całą energiją wznosił głowę do góry, choć ciężka troska jakby ołowiu w nią nalała, i usta w uśmiéch swobody stroił, choć teraz w raz drżały płaczem tłumionym, i radby zaczął jaką rozmowę, ale daremnie bojował z sobą, z piersi przygniecionych żałością słowa dobyć niemogąc.

A łódź mknęła chyżo, daléj i daléj, śród malowniczych wybrzeży, co jak dwie wstęgi czarodziejskich obrazów, wciąż się rozwijały bez końca, wdzięcząc się to ustronną chatką rybaczą, przylepioną odważnie do wysokiego urwiska; to łąką rozległą, pustą już wprawdzie i pożółkłą, ale migocącą tęczowemi kolory sieci pajęczych; to ciemnym borem sosnowym, to gajem drzew liściowych, upstrzonych jaskrawą barwą jesienną, to samotną mogiłą biédnego flisa, co zdala od swoich, na *cudzéj ziemi*, Bogu ducha oddał...

—Drodzy wy moi! czegoż tak milczycie?—jęknęła matka,—mówcie-bo co! niech się przynajmniéj głosu waszego nasłucham, może ostatni raz w życiu.

—Matko najdroższa!—ozwał się Michaś,—w Bożéj to woli i mocy; obaczymy się może rychléj, niż się spodziewamy.

--Tak to wy nas cieszycie,—odparła babcia ze łkaniem,—durzycie tylko starych; a dusza moja czuje co się święci! Najlepiéj byłoby z domu was niepuścić; cóż kiedy nikt mnie niesłucha!

—Wy-bo kobiéty;—rzecze Półkownik,—nigdy miary w żalu nieznacie i konieczności nierozumiecie. Rodzina ma swoje prawa, społeczeństwo swoje, a ważniejsze, bo od nich byt rodzin zawisł.

—Duszo moja najdroższa!—odrzekła matka,—dobrze to tak wszystko mierzyć rozumem; ale zapytaj serca... I reszta słów jéj łkaniem się zalała...

—Mateczko najmilsza!—poszepnął Oleś,—czy nie zadaleko powracać będzie?... Rozstać się nam trzeba, i raz już skończyć z biédném sercem naszém, co jak winowajca czeka ostatniego wyroku...

—Daleko, powiadasz! daleko!—wykrzyknęła piastunka,—a! mybyśmy i na kraj świata z wami tak płynęli, nieśpiąc i niejedząc, żeby przynajmniéj patrzeć się na was, choćby oczyma łzami

zalanemi! I z końca świata za tę pociechę bez szemraniabyśmy wracali!

—Ale to już ze trzy wiorsty od domu!— przerwał jéj Półkownik,—niéma co zwlekać... do brzegu!

Posłuszni wioślarze zwrócili rudel. Piastunka z głośnym jękiem przypadła u nóg młodzieńców; matka ze łkaniem rzuciła się na łono męża, który, z głębokiém westchnieniem tuląc ją do siebie, wznosił oczy ku niebu, wzywając ztamtąd mocy dla biédnego jéj serca na przebycie chwili téj boleśnéj.

Łódź rozpędzona gwałtownie o brzeg trąciła, a wstrząśnienie to nagłe, jakby piorunem uderzyło w podróżnych, oderwanych duszą od otaczającego ich świata. Nagle się wszyscy z miejsca porwali; z trwogą spójrzeli w koło: przed nimi, na piasczystém wybrzeżu, upstrzoném białemi muszlami, jakby trupiemi kośćmi, stał krzyż pochyły, stary, omszony, a z niego z ponurém krakaniem zerwał się kruk złowrogi, i w ociężałym locie w koło ich okrążywszy, pomknął wzdłuż brzegów, jakby przewodnicząc młodym naszym podróżnym, jakby wołając ich za sobą...

Płacz rzewny, jęk i łkanie, buchnęły ze

wszystkich piersi; wszyscy się zbiegli w jedną gruppę skupioną, którą myśl rozłąki skrępowała boleśnie, jak owe gady Laokoona z synami!...

Wybaczcie! słów mi już braknie na oddanie całéj boleści téj chwili!... Przemocą Półkownik oderwał żonę od synów, i omdlałą prawie z łodzi wyniósł na ręku; przemocą flisowie oderwali piastunkę, co, jak żelaznym obręczem, gwałtownym uściskiem do nóg im się przykuła... I padli chłopcy w łodzi na kolana, twarzą do ziemi, z płaczem dziecięcym, niechcąc już patrzéć na rozpacz matki i babci; a flisy, jakby się bojąc pogoni, ze wszystkich sił uderzyli wiosłami, i łódź odskoczyła na środek rzeki...

Kilka ostatnich tych miesięcy spędzonych w ciągłém natężeniu ducha, to tęsknotą oczekiwania, to radością gościny, to bolem rozłąki, strasznie nadwątliły siły Półkownikowéj i Barbary, które, po owém gorączkowém ożywieniu się w czasie pobytu dzieci w Ustroni, po ich wyjeździe nagle osłabły i zestarzały, jakby te kilkanaście tygodni tyląż laty im byly. Półkownik tylko dziarsko się trzymał, i po dawnemu

czynne i ruchliwe życie prowadził. Babcia też, jakkolwiek smutna i znękana, jakkolwiek skulona i stękająca ukradkiem, ze zwykłym zapałem krzątała się przy gospodarstwie; a nawet coraz więcéj zajęć sobie wynajdywała, żeby ani chwili niemieć na myślenie, i niedać przystępu zbytecznemu żalowi. Jedna tylko Półkownikowa prawie zupełnie oderwała się od świata; a niemogąc nawet i w ogródku pracować dla późnéj jesieni, całe swe życie skupiła w ciągłéj modlitwie, przerywanéj tylko rozmową o drogich synach.

Poczciwi sąsiedzi, jak mogli, starali się biédnych rodziców pocieszać, i albo u nich gwarno się zbierali, albo do siebie ich ciągnęli; ale to wszystko na nic się prawie niezdało. Największą i jedyną pociechą były po dawnemu listy od synów, które zazwyczaj Półkownik sam otwierał, a wprzód nim żonie pokazał, usuwał skrycie z koperty małą karteczkę, którą w samotności odczytawszy, palił natychmiast.

A odebrawszy ze trzy takie listy w dość krótkim czasie, zaczął coraz się mocniéj zamyślać, coraz się częściéj zamykać w swoim pokoju, coś pisząc, i porządkując papiery. Opanowało go też dziwne jakieś roztargnienie: zaniechał zupełnie rzemieślniczych swych zajęć, i jakkolwiek umiał

nad sobą panować, widocznie zdradzał jakiś wewnętrzny niepokój, jakąś walkę w duszy gwałtowną.

Piastunka piérwsza wszystko to spostrzegła, i zatrwożyła się okropnie, i zabolała biédaczka, niemając nawet komu ze swojéj trwogi się zwierzyć, bo biédna jéj pani i tak już miała dosyć. Zamknąwszy więc w głębi swéj duszy i ból, i trwogę całą, zaczęła coraz baczniejszą zwracać uwagę na swojego pana. W troskliwości serdecznéj dopuszczała się nawet podstępu, i kiedy czuwał w noc późną zamknięty w swoim pokoju, podkradała się mu pod okna, zaglądając ciekawie przez szpary okiennic. Tam nieraz spostrzegła, jak miotany jakiémś skrytém uczuciem, gwałtownie chodził po swéj izdebce jak broń chwytał do ręki, probując ostrza pałasza i tnąc nim w powietrzu, albo się bawiąc pistoletami; jak wreszcie padał krzyżem w modlitwie, i łkał, i jęczał, i głośno Boga wołał...

Jasno więc widziała, że się cóś warzy, że stary sokół czuje burzę w powietrzu; ale to tylko trwogę jéj zwiększało, a po dawnemu niewiedziała co począć? I sama więc zaczęła coraz goręcéj się modlić, długie godziny w nocy leżąc krzyżem na ziemi i ratunku z Niebios wzywając.

Tak minęło kilka tygodni. Raz gdy Półkownikowa szła do kościoła, on wbrew zwyczaju z nią się nieudał, składając się jakąś chorobą, i sam zostawszy, po chwili wezwał Barbarę do siebie. Przybiegła z sercem trwożnie bijącém w przeczuciu jakiéjś boleści, blada i drząca...

Półkownik, założywszy ręce na plecach, niespokojny, gwałtownym krokiem mierzył izdebkę, a w twarzy i w oczach gorączkowy ogień mu świecił. Gdy weszła, postąpił ku niéj wziął ją za rękę, i mimo oporu, zmusił aby przynim usiadła... Otworzył usta coś mówić mając, i nic nierzekłszy wargi tylko zaciął i wąsy kręcił, i zakłopotany patrzał na nią nieśmiało, raz w raz oczy spuszczając... I znowu ujął jéj rękę, uścisnął przyjaźnie, długo, i dwie łzy duże spadły mu na wąsy... i jeszcze milczał chwilę trąc sobie czoło, aż wreszcie westchnął głęboko i przemówił:

—Babcio moja poczciwa! za parę dni muszę udać się w drogę...

Żelazna ręka okropnego przeczucia ścisnęła serce babci, że omal niejękła; ale się opanowała i nawet z uśmiechem rzekła swobodnie:

—A mój Boże święty! i byłoż czego tak mię trwożyć jakimś sekretem? Jak trzeba, to trzeba

przygotuję bieliznę, utuszę bigosu, i szczęśliwéj podróży; a jak do miasta, to proszę pamiętać że pieprzu i lazurku niemamy...

Półkownik zbity z tropu tą naiwnością tak zręcznie udaną, zaciął się i sam niewiedział, jak daléj rzecz prowadzić.

—Ale-bo widzisz, droga moja Barbaro,—rzekł po chwili milczenia—że ja i sam niewiém jak długo w téj podróży zabawię? Dla tego to chciałem z tobą obszernie się rozmówić, i dobrze się naradzić, a na wszelki przypadek zostawić ci niektóre papiery i list do mojéj żony: bo kto wie jak Bóg rozrządzi? znów może ci przyjdzie być po Nim jedyną opiekunką wszystkich mych skarbów.

Barbara, jakby niewidomą siłą ciśnięta, nagle mu padła pod nogi, i skrępowała je gwałtownym, konwulsyjnym uściskiem, a płacząc, rozpaczliwym głosem wołała:

—O darmo już! darmo! ja tego niedopuszczę! to być niemoże!

I wyrwać mu się niedając i za wydzierającym się wlekąc po ziemi, jęczała biédna:

—Nic z tego! nic z tego! ot tak choćby na koniec świata powleczesz mię za sobą!... ale nie! na progu tego domu Bóg mię zmieni w bryłę ołowiu, i kroku daléj niestąpisz!...

Po daremnym wysiłku, widząc, że chcąc się od niéj uwolnić, chyba-by jéj ręce musiał zakrwawić, przerażony tą gwałtownością rozpaczliwego żalu, wzruszony do głębi duszy, zaczął ją błagać rzewnie Półkownik.

—Babcio moja poczciwa! przyjaciółko najlepsza! matko ty moja! uspokój się! opamiętaj się przecię, a daj mi dokończyć!... ja muszę jechać, muszę jechać koniecznie, bo chłopcy nasze zginą!

Jakby kto miny pod nią podłożył, zerwała się na te słowa piastunka, i załamawszy ręce w najwyższéj boleści, łkała nieboga:

—Dzieci nasze! dzieci nasze? o Boże mój jedyny! o Matko ty Najświętsza! A czyż nieostrzegałam, a czyż nie modliłam, żeby ich z domu niepuszczać?... Ha! teraz wszystko rozumiém! jęczała miotając nad głową rozpaczliwie zaciśniętą pięścią, wszystko rozumiém, i wiém czyja to sprawa, i kogo na sąd przed Boga woła! I Jegomość niby to im na pomoc masz śpieszyć? a kto Jegomości wołał na ratunek, gdyś nam przed kilkunastą laty tajemnie z domu uciekł? może także dzieci któreś rzucił na łup wszelkiéj niedoli?! O dość już tego! dość ofiary! Mają ginąć, niech giną, Jegomość na nic

im się niezdasz; a jak zostaniesz w domu, to mniéj jedną duszą zgubioną na sumieniu mieć będziesz, to przynajmniéj pani moja najmilsza, któréj dzieci wydarłeś, za samą siebie przeciw Jegomości przed Bogiem świadczyć niebędzie!...

—Kobiéto!—krzyknął Półkownik, groźnie tupnąwszy nogą—wróć do rozumu, a niezmuszaj mię abym inaczéj z tobą zagadał!

Barbara zachychotała śmiechem szalonym:

—Cha, cha! inaczéj! a jakże to inaczéj? a czegoż to ja mam się uląknąć? ani mię całe piekło nieprzestraszy, i z rąk mi Jegomości niewyrwie! Powiedziałam: niepuszczę! i słowo moje Bóg słyszał, i niepuszczę, choćbym łańcuchem miała tu Jegomościa przykuć!

—Otoż mię puścisz! krzyknął Półkownik przyprowadzony do wściekłości, porywając z kołka pistolet.

—Barbara spójrzała nań z wielkiém zdumieniem, skrzyżowała ręce na piersiach, i z politowaniem głową zachwiawszy,—„Boże mój! jękła głosem boleśnym,—zlituj się nad tym człowiekiem! wszakci on rozum stracił!" A w ślad za tém z rzewności do ironii groźnéj przechodząc,—„opamiętaj się Jegomość,—zawołała, mierząc go wzrokiem wzgardliwym,—rozważ co

czynisz? na kogo broń tę podnosisz? Zaczniesz-że swój zawód rycerski od zabijania niewiast bezsilnych?!..."

—Barbaro! Barbaro!—jęknął Półkownik, do nóg się jéj rzucając, zgnębiony tą wielką mocą charakteru, która wszystka urosła z miłości téj kobiéty dla jego rodziny,—przebacz mi! ja szalony... O Boże mój drogi! zlituj się nade mną!...

—Panie mój! panie najmilszy! zapłakała Barbara, padając mu na szyję,—ja to szalona! ja podła, żem się takiego dopuściła zuchwalstwa!... ależ bo i można z takiego bolu oszaleć!... Wstań panie kochany! wstań na miłość Boga, bo umrę tu ze wstydu!... i siląc się podnieść płaczącego téż Półkownika, ubłagała go wreszcie, że powstał z klęczek i usiadł: a ona u nóg jego uklękła i ręce mu całując, wciąż przebaczenia błagała.

Półkownik długo siedział bezwładny, jakby nieprzytomny, oczy dłonią zakrywszy; powstał nareszcie i podniosłszy Barbarę, spokojnie, półgłosem, ale z wielkiém uczuciem, długo coś mówił, rzewnie płaczącéj. Gdy skończył, ona westchnęła głęboko, otarła oczy, spójrzała w niebo, smutnie chwiejąc głową, i rzekła z rezygnacyą:

—Bądź wola Twoja! teraz będę słuchała spokojnie.

—Tak, moja dobra, poczciwa Barbaro,—prowadził rzecz Półkownik,—niech się dzieje wola najwyższa! inaczéj być niemoże!... Długom się wahał, długom walczył z sobą, i wiele łez mych gorących wsiękło w tę tu podłogę, na myśl w jak okropném sieroctwie porzucę żonę moję, i co biédna wycierpi sama tak zostawszy na stare lata; lecz rady nie ma już na to! i gdy bym najwyższym wysiłkiem przykuł tu siebie, tobym rychło oszalał, albo się otruł goryczą swych myśli. Tak być już musi! wyraźnie palec w tém Boży. Uznaj więc go, ukórz się przed nim, i nieprobuj nawet walczyć przeciw postanowieniu mojemu, gdyż byłoby to jakbyś przeciw Bogu walczyła. Myślmy raczéj i radźmy o biédnéj żonie mojéj...

—O prawda, że biédna, pani moja najmilsza,—zapłakała nieboga, twarz kryjąc w dłoniach,—i co ja tu poradzę? na co się jéj przydam nieszczęśliwa?! O matko siedmiu boleści! zlituj się, zlituj nade mną!... Jak ja to zrobię?...

I płakała biedaczka, zachodząc się od łkania, niesłysząc słów Półkownika, który chciał ją cieszyć jak umiał. Jęk tylko bolesny, rzewny, przeciągły, głuchy, rwał się z piersi biédnéj piastunki, która daremnie chcąc płacz swój powstrzymać, krwawiła wargi zacięte...

Rozrzewniony Półkownik znowu klęknął przy niéj, i jak dziécię u matki, skołataną głowę złożył na jéj kolanach, i wziął jéj rękę poczciwą i ucałował ze czcią głęboką...

Barbara, jakby ją iskra elektryczna przeszyła, zerwała się nagle na nogi, westchnęła całą piersią, wstrząsła głową gwałtownie, jakby chcąc ze łzami otrząść się ze wszystkiego żalu i rozpaczy, i rzekła z dziwną mocą i powagą:

—Panie mój! powstań! a bądź prawdziwym panem w obec twéj sługi, i słuchaj co ci powie. Jakby przed świętą zgiąłeś kolana całując ręce moje, i Bóg to widział! Całą swą boleść, całą miłość moję dla twéj rodziny, składam Mu w ofierze, i oto czuję, jak On mię poświęca i archanielską mocą napełnia... bądź więc spokojny! rozkazuj, a wszystko spełnię!

Powstał Półkownik, uścisnął dłoń jéj serdecznie:

—O ufam ci, ufam!—rzekł z rozrzewnieniem, z wiarą najgłębszą, i z dziwną jakąś uroczystą radością, która mu wskróś duszę przejęła na widok tego *przemienienia* prostéj służebnicy, słabéj kobiéty, przed chwilą obumierającéj z żalu i troski, w bohaterkę prawdziwą, mężną, niezłomną, wielką.

—Nic ci nierozkazuję, nic niepolecam, krom tego, abyś, gdy niewrócę za dwa tygodnie, oddała żonie mojéj papiery, które ci zostawię; a resztę znajdziesz w swém sercu. W razie potrzeby jakiéj, macie zacnych sąsiadów, macie dobrych kmieci, a przede wszystkiém Boga w niebiesiech, któremu was polecam, i któremu módlcie się za mnie. Oto i wszystko... Pani powraca—dodał wyjrzawszy oknem—miéj się na baczności.

Westchnęła poczciwa babcia, ucałowała ręce Półkownika, i wyszła w milczeniu; a gdy w godzinę potém ukazała się przy obiedzie, tak była swobodna i rzezwa, z twarzą taką promienną, że nie tylko Półkownikowa niczego się domyśléć niemogła, lecz nawet on sam, przypominając sobie cały ów dramat bolesny, całą ową rozpacz straszliwą, któréj tak niedawno był świadkiem, któréj smutne echo dotąd się rozlegało w głębi jego duszy, niewiedział co o tém trzymać, i gotów był to wszystko uważać już chyba za grę własnéj imaginacyi, za szał gorączkowy; lecz aż nadto pewnym będąc rzeczywistości, rychło w tém uznał wyraźny cud Boski, *cud miłości i poświęcenia.*

Za dni kilka potém, Półkownik wyjechał z domu, oświadczywszy żonie, że interesa prawne wzywają go na parę tygodni do miasta... Że on się niezdradził ani łzą jedną, ani jedném westchnieniem w ogromie tego żalu, który mu serce przepełniał, to był mężczyzną, zahartowanym w życiu i trudach wojennych; ale że Barbara spokojnie, swobodnie, mogła go w drogę wyprawiać, że tyle miała mocy nad sobą, aby znakiem krzyża świętego błogosławiąc odjeżdżającemu, z myślą o tém strasznem sieroctwie w jakiém pozostawała z biédną panią swoją, o téj rozpaczy, na jaką rychło patrzéć jéj przyjdzie, niepadła bez duszy—to już wyraźny cud był Najwyższego, który najcięższe krzyże kładąc na ramiona wybrańców swoich, wnet im w pomoc wysyła świętych aniołów, by ich podtrzymywali i krwawy pot ocierali im z czoła. I tymże cudem nieszczęsna Półkownikowa ani przeczuła, ani wyśniła niedoli swojéj, i najspokojniéj pożegnała małżonka.

Daremniebym się starał opisać tę niewyrównaną troskliwość, tę czułość niewymówną, tę pieczołowitość więcéj niż macierzyńską, jakiemi zacna Barbara otoczyła swą panię po wyjeździe jéj męża...

A dni mijały szybko, straszliwie, gwałtownie i lotem piorunu, lotem katowskiego miecza spadającego na kark winowajcy... I dwa tygodnie przeszły, przez które biédna piastunka w noce niespane zamknięta w swojéj komorze, więcéj łez wypłakała, niż dotąd przez całe życie, i tak naklęczała swoje kolana że nienabrzękłyby jéj więcéj, gdyby aż do Częstochowy na klęczkach pielgrzymowała... Półkownik niewrócił... do godziny drugiéj po północy czekała go żona, gwarząc z piastunką, i niedoczekała się biédna!...

Nazajutrz wstała o świcie, trwożnie już wyglądała dzień cały, i noc w oczekiwaniu spędziła bezsennie:—męża niebyło!... Krzyż na ramionach biédnéj piastunki tak już ociężał, tak ją gnębił ku ziemi, że i anioły Boże mdlały ją podtrzymując; trzeba było raz już to skończyć i do dna spełnić gorzki swój kielich...

Na trzeci dzień, w chłodny, ale słoneczny poranek, Półkownikowa, miotana nieprzezwyciężoną trwogą i bolesném przeczuciem, wezwawszy z sobą Barbarę, poszła spotykać męża. I daleko, daleko zaszły w milczeniu, pani płacząc zcicha, sługa modląc się w głębi duszy gorąco, i ledwie dźwigając gnące się nogi, i oblewając się potem śmiertelnym, bo zostawiony jéj przez Półkownika

list, który miała w zanadrzu, piersi jéj tłoczył, jak gdyby na nich dźwigała trumnę ze zwłokami swéj pani.

Spostrzegłszy, że się zanadto oddaliły od domu, zawróciły się biédne kobiety i szły nazad w milczeniu, niemając ani woli, ani wyrazów do rozmowy. Mijając kapliczkę:—„Zajdźmy pomodlić się,—rzekła Barbara, i dobywszy z kieszeni klucz, który wychodząc z domu umyślnie wzięła z sobą, drzwi otworzyła z pośpiechem.

Weszły, i obiedwie, jakby jedném uczuciem, jedną wolą wiedzione, razem padły krzyżem na ziemię, modląc się i płacząc rzewliwie...

Kiedy pokrzepione i uspokojone nieco tą serdeczną rozmową z Bogiem, tém zetknięciem się ze źródłem wszelkiéj pociechy, powstały wreszcie; Półkownikowa spostrzegła, na miejscu gdzie się modliła piastunka, leżący list zapieczętowany. Tknięta dziwném jakiémś uczuciem, porwała go z ziemi, i widząc adres do siebie, w którym rękę męża poznała, z radosnym okrzykiem skruszyła pieczęć, niezdając sobie nawet sprawy, zkąd się tam pismo to wzięło. Jednym rzutem oka, a raczéj duchem, pochłonęła list cały, i z jękiem chwyciwszy się za serce, padła bez zmysłów...

I z jękiem dzikim, straszliwym runęła za nią Barbara, któréj boleść, nie łzami już, ale ogniem z suchych, krwawych oczu wytrysła, ogniem buchnęła z piersi, paląc usta w oddechu.

—Ratunku! ratunku!—zawołała całém przerażeniem, całą rozpaczą swoją, aż dzwonek w kopułce jęknął odgłosem tego wołania, jakby na gwałt mocom niebieskim.

—Pani moja! pani jedyna! ocuć się! ocuć najmilsza! przemów choć słówko! choć spójrzyj na mnie, bo skonam tu z żalu!... wołała z przerażeniem.

I klęcząc pochylona nad nią, i ręce jéj spazmatycznie cisnąc do swoich piersi, oczyma osłupiałemi wpatrywała się w blade jéj oblicze, śledząc iskierki życia; aż łzy długo w sercu zaparte, nagle buchnęły hojnym potokiem, w rzęsistych kroplach spadając na twarz Półkownikowéj. A snadź w nich była moc jakaś cudowna: bo zemdlona wnet otworzyła oczy i radosnym okrzykiem uszczęśliwionéj piastunki zupełnie do przytomności powrócona, ramieniem jéj dźwignięta, powstała, i jakby cóś sobie przypominając, spoglądała w około niespokojnie. Aż list ów nieszczęsny spostrzegła, i rzewnie płakać i wyrzekać zaczęła:

—Więc to ty o tém wszystkiém wiedziałaś i nie tylko na to pozwoliłaś, lecz jeszcze w zmowę z nim weszłaś na moję zgubę!! A miałażeś sumienie? miałażeś serce, kobiéto?!

—Pani najukochańsza! pani najdroższa moja! litości! litości!—wołała biédna Barbara, u nóg się jéj czołgając.

—A ty czyliż miałaś litość nade mną? wiedząc o wszystkiém, dwa tygodnie nosząc, jakby obuch pod połą, ten list straszliwy, udawać niewiadomość, grać komedyę czułości, i jak Judasz całować mię i ściskać?... Boże mój Boże! trzebaż mi było tego dożyć!

Jęk straszny, podobniejszy raczéj do ryku, niż do głosu ludzkiego, wyrwał się z piersi piastunki, któréj głowa, jak ołowiana kula, od kolan Półkownikowéj, z głuchym stukotem padła na kamienną posadzkę. A ta ciągle płakała smutne swe skargi:

—I co dzisiaj mam czynić? gdzie się obrócić, jeśli mię Bóg rychło nieweźmie ze świata? Jak tu żyć gdy lada moment nowéj się zdrady spodziewać należy?

Śmiéch spazmatyczny, dziki, okropny, jakby chychot szatana, był całą odpowiedzią na te słowa. Półkownikowa, przerażona tym głosem,

odzyskując przytomność i rozumienie, z płaczem gwałtownym porwała w swe objęcia piastunkę, i siłą nadprzyrodzoną dźwignęła ją z ziemi, posadziła na stopniach ołtarza, usiadła przy niéj, objęła jęczącą, i tuląc jéj głowę na swojém łonie, zaczęła ją z uniesieniem całować, i teraz wzajemnie litości i przebaczenia jéj błagać, słów dobierając najczulszych. A jak brzmienie arfy Dawida uśmierzało szaleństwo Saula; tak głos jéj rzewny, głęboki, łzawy, zwolna łagodził boleść Barbary, zwolna jęk jéj uciszał, aż wreszcie łzom serce, a mowie usta jéj otworzył:

—Ach pani najukochańsza ty moja! dosyć już tego! dosyć! czy to wyrzekasz na mnie, czy to mnie przepraszasz i pocieszasz, serce jednako boli! Ja winna! ja winna! ale tyle tylko, pani najmilsza, co miecz w ręku kata: bo mi moję wolę wydarto, bo mię obrócono w martwe narzędzie, bo tak Bóg sądził, i być inaczéj niemogło!...

—Prawda, prawda, babcio poczciwa! Bóg tak już sądził, Bóg nas ukarał za naszę radość niemiarkowaną za naszę chlubę zbyteczną! na raz nam wszystko odebrał, i gdyśmy nieumieli godnie przyjmować łaski, umiejmy karę znosić i błogosławmy wolę Jego najświętszą!

—Błogosławmy, błogosławmy!—zawołała z uniesieniem Barbara, rzucając się na klęczki,—a może znowu zasłużymy na łaskę i zmiłowanie!

I długo, długo modliły się biédne kobiéty, aż wymodliły uspokojenie, ufność i rezygnacyę prawdziwie chrześcijańską.

Tak więc Barbara i Półkownikowa zostały w domu same, jak dwie sieroty! a jakkolwiek zacni byli sąsiedzi, jakkolwiek dobrzy włościanie, wszystko to pożyteczne pod względem materyalnym, niczém było dla ducha nieszczęśliwych samotnie, które jeśli bez utraty rozumu i bez rozpaczliwéj apatyi przeżyły kilkanaście długich jak lata miesięcy niedoli, to tylko cudem miłości...

Straszne to były czasy! Trzéj aniołowie pomsty Bożéj wylali czary gniewu Pańskiego na biédną ziemicę, chłoszcząc ją morem, głodem i wojną. Chwili jednéj niebyło w którejby człek wytchnął swobodnie i z serca złożył trwogę śmiertelną; a choć ogólne klęski łatwiéj się znoszą niż osobiste, nieszczęsna Półkownikowa zanadto wielą węzłami z ogółem była złączona, zanadto w nim miała osobistości swojéj, aby

czuć tę ulgę z podzielanego brzemienia! I mąż i córka i czteréj synowie daleko od niéj, w każdym momencie mogli być zagrożeni zgubą ostatnią; ona zaś nawet w modlitwie niewiedziała kędy ich szukać, i czy się modlić za żywych, czyli za umarłych?

Sród tyla klęsk okropnych, w których znikąd pociechy, a zewsząd groźby i wróżby straszne, powiększające jeszcze ich zgrozę, plaga dotykająca Ustroń w cholerze, jakkolwiek srogiém była nieszczęściem dla Półkownikowéj, miała przecięż pod pewnym względem skutki zbawienne, bo na czas jakiś zmusiła ją zapomniéć o swoim bolu i tęsknocie, polecić Niebu delakich, a myśléć o bliższych, i pomoc im niosąc troskliwą, zjednywać równąż swoim u Boga.

Obiedwie z Barbarą dni całe, a nieraz i noce, przy chorych spędzały, zapominając o sobie, a ratując i ciesząc biédnych wieśniaków, którzy w nich prawdziwych aniołów Bożych widzieli. Jakoż cudem ich poświęcenia, Ustroń mniéj ucierpiała niźli wioski sąsiednie, we dworze zaś ani jeden człowiek nieumarł; a było to [wielką radością, wielką pociechą dla tych serc wzniosłych, które w tém wyraźny objaw łaski Bożéj uznały.

Niebędę już daléj wchodził w szczegółowe opisy wszelkich nieszczęść przebytych, wszelkich

trosk doznanych przez biédne te niewiasty; niebędę się wdawał w wyliczanie wszystkich prawdziwych heroizmów piastunki, któréj czyn każdy, każde słowo, każda myśl nawet, coraz to nowém bohaterstwem były: — wieleby to czasu i miejsca zajęło. Dla tego to nawet, choć ze szczerym żalem, nic wam niepowiém o tém, jak dzielnie nasza *baba* kochana sama jedna odparła napaść czterech pijanych rabusiów, którzy splondrować chcieli dworek w Ustroni, i niespodzianie spotkawszy takiego rycerza w spodnicy, oparzeni ukropem i poczęstowani ożogiem, drapnęli z placu, nawet się koni wyrzekłszy, i jeszcze im Żuczek łydki oberwał i baran na pożegnanie dał po szturchańcu. Pilno mi już do dalszych, a ważniejszych wypadków, na wysłuchanie których, cierpliwość i względy czytelników serdecznych sobie zamawiam.

W parę lat póżniéj spotykamy dobrych naszych znajomych zamieszkałych w małéj lepiance pośród rozległych puszcz litewskich. Półkownik wrócił przed kilkunastą tygodniami, sam jeden, bez synów, dwaj z nich bowiem na kraj świata gdzieś zawędrowali, a dwaj jeszcze daléj, bo aż

na tamten świat poszli,—wrócił na to tylko, aby pożegnać swoję Ustroń kochaną, któréj przestał być panem, i na stare lata szukać chleba na służbie. Dano mu obowiązek leśniczego, z pensyą dwóchset złotych, z chatką i ogrodem śród lasu, i za to podziękował Bogu i tém był szczęśliwy.

Wynosząc się z Ustroni, proponowali Półkownikowstwo Barbarze, aby się udała do swego syna, który żyjąc w dostatkach i szczęściu, pewnieby chętnie ją przyjął i otoczył na starość synowską czułą opieką. Ale się rozpłakała nieboga na samą wzmiankę o tém,—i pomimo czułe perswazye pomimo prośby najszczérsze, niedała się namówić do rozstania...

Tak więc niebyło rady z upartą Barbarą! trzeba było zaniechać próżnéj namowy i przyjąć serdeczną jéj ofiarę. I znowu nieboga zabrała się na furę z sierotkami swojemi, z całym swoim źwierzyńcem, który dziś jeszcze droższym był dla niéj, i powlekła się z Półkownikowstwem, do których sercem przyrosła.

Malować-że wam życie trójga tych ludzi? czyż zdołam? czy mam prawo? Czuję w téj trwodze serdecznéj, że mu niepodołam, lecz się pokusie nieoprzeć!...

Lichy, nędzny był domek dany Półkownikowi: stary, w ziemię zapadły, z zielonym mchem na dachu, z okienkami wązkiemi, z glinianą podłogą, słowem chłopska chata, sioneczkami na dwie podzielona izby; przy niéj walący się śpichlerzyk, dziurawa obórka i podobnaż stodoła, całe gospodarstwo składały. Lecz skoro tylko osiadł tam stary nasz *leśniczy*, zaraz wszystko inną postać przybrało, jakby czarodziejskim sposobem. Bez najemnika, bez dworskiéj pańszczyzny, sam tylko z jednym parobkiem, w kilka tygodni Półkownik, z nędznéj budy, prześliczną zrobił chatkę: popodpierał ściany, dał nowy daszek, sklecił ganeczek, wstawił podłogę, powiększył okienka, obie izby i sionki przedzielił, przez co zyskał pokoiczek dla żony, osóbny kącik dla baby i śpiżareńkę, i własnoręcznie wymurował piece i kominek. A w kwartał niespełna opatrzył i gospodarskie budynki, i częstokołem wszystko ogrodził; słowem urządził sobie prześliczną siedzibę, którą się z żoną i piastunką dosyć nacieszyć niemógł, powtarzając ciągle: daj nam Boże i wieku tu dożyć!

A mógł być o to spokojnym, bo dobrego miał pana, chociaż i u najgorszego sługa taki poczciwy mógłby sto lat przesłużyć. Mimo sześciu

krzyżyków, niezmordowany, czynny, ruchliwy, większą część dnia hasał na koniu, objeżdżając lasy rozległe, licząc nieledwie gałęzie na drzewach; a od razu dawszy się poznać ze swéj czujności, tak podkomendnym swoim strażnikom, jak i okolicznym wieśniakom, rychło położył koniec prawie wszelkiéj kradzieży. Czas wolny od służby podawnemu przepędzał, bądź na pogadance, bądź na ręcznéj robocie, ciągle zdobiąc swą chatkę, i wzbogacając gospodarstwo coraz większym porządkiem.

Przy tylu zajęciach miał dość ochoty i czasu, aby jeszcze i żonie pomagać w jéj ogródku, którym przecudnie domek się ozdobił i rozweselił. A raz gdy na obławie, po mistrzowsku przez niego urządzonéj, dziedzic uradowany darował mu wszystkie lisy na niéj zabite, sprzedawszy futerka, na imieniny swéj żonie sprawił dwie skrzynie inspektów; że zaś do rzeczki i krynicy było daleko, aby jéj ułatwić polewanie kwiatów i warzywa, własnoręcznie studnię wykopał, ocembrował, i żóraw' postawił i wiadro zrobił. Gdybyż na tém już koniec! skromna pensyjka ledwie mu wystarczała na sól i mydło, trudno było za nią czeladź utrzymać: to téż oprócz pastuszka i gospodyni nikogo więcéj nie-

najmował, i nieraz sam wodę nosił, a nawet młócił i drwa rąbał. Ujrzawszy go we zgrzebnym kitlu, albo w samodziałowéj świtce, oddanego takim zajęciom, niktby się w nim ani domyślił człowieka tak ukształconego, przywykłego niegdyś nie tylko do dostatków, lecz do wykwintu nawet, obywatela, pólkownika nareszcie armii tak świetnéj i sławnéj!... Chybabyś zblizka się przypatrzywszy, zobaczył, że w zamachu siekiery znać jakby cięcie pałaszem, że cep jakby karabin bierze na ramie, i że mu z oczu biją jakieś dziwne promienie, cóś jakby błyski oręża, jakby wybuchy wystrzałów, a z czoła patrzy powaga i majestat wielki.

Półkownikowa, w lepszym i swobodniejszym bycie niewiele oddająca się pracy (zwłaszcza że przy Barbarze i licznéj służbie nawet potrzeby tego niemiała), dzisiaj widząc się tak ubogą, widząc męża pracującego jak wyrobnik, z młodocianym zapałem, z wytrwałością zdumiewającą, oddała się zajęciom gospodarskim, prawie nieodstępując Barbary i na odpoczynek tylko idąc do swego ogródka, wspominać błogie lata i dziatwę drogą!

Barbara nareszcie, w sobie jednéj skupiwszy całą dawniejszą czeladź Półkownikowstwa, jedna

za wszystkich, wszystkiemu podoływała, a jak dawniéj umiała innymi kierować i rozporządzać, tak dzisiaj sama osobiście wszystko spełniała, niepotrzebując nawet pomocy gospodyni, którą daremnie dla niéj Półkownikowa dobierała. Sama jedna całe gospodarstwo prowadząc, kryjąc się przed Półkownikową i uciekając od jéj pomocy, miała czas jeszcze i o swoich *sierotkach* myśléć i doglądać źwierzyńca, który, po Bogu i jéj państwu, był jéj wszystkiém na świecie, przenosząc z pokolenia do pokolenia pamięć i drogie imiona jéj wychowańców: był tam bowiem zawsze jakiś kotek Michasia, jeżyk Olesia, sroczka Adasia, piesek Kaziunia, łasiczka Zosi, a nawet szczygiełek tak dawno zmarłéj Józi! Rozmawiała z niemi po dawnemu, tylko że częściéj, bo częściéj bywała z niemi sam na sam, i tylko smutniéj, bo już niekażde mogła pocieszyć, niekażdemu pogrozić przybyciem paniczów, i rozrzewniała je tylko, lub gorzkie czyniła im wyrzuty że nieumieją czuć swego nieszczęścia. Przyzwyczajenie to z czasem stało się nieprzełamanym nałogiem do którego przybyła jeszcze jedna cecha: w tęsknocie swojéj serdecznéj znalazła biédna babcia jeszcze jedno źródło pociechy—rozmowę z portretami swoich wychowańców, przed któremi

stanąwszy, nieraz zapominała o całym świecie, nieraz godzinę i więcéj gwarzyła wciąż z niemi, jak gdyby żywych miała przed sobą. A ta jéj rozmowa i Półkownikowstwu równąż pociechą była, uobecniając niejako całą ich rodzinę, i jakby dusze ich dzieci sprowadzając w domowe progi; i zasłuchywali się staruszkowie, dziwnie rozrzewnieni szczebiotem zdziecinialéj piastunki, i w zapomnieniu błogiém nieczuli łez słodkich cicho im z oczu płynących...

Tak mijały nieznacznie lata, tęskne, bolesne, sieroce; ale przy rezygnacyi, modlitwie, pracy i miłości, znośne i spokojne, chociaż jeszcze jeden krzyż nowy spadł na ramiona tych męczenników: było to wiadomość o śmierci Zosi, któréj od zamążpójścia ani razu nawet nieoglądali! — Posiwieli tylko wszyscy troje jakby gołąbki białe, oblicza ich gęstemi pokryły się zmarszczkami; ale siły, pracą zahartowane, energiją duszy wsparte, nieopuszczały ich, mimo wiek późny, mimo przebyte klęski. Półkownikowstwo wszakże nieraz napomykali Barbarze, aby do syna się przeniosła i odpoczęła wreszcie w wygodzie, — bo darmo byłoby mówić aby z nimi żyła bez pracy; — ale poczciwa babcia odpowiadała na to żartobliwie:

—Darmo już, darmo! niewypędzicie mnie już i kijem! do śmierci się od was nieodczepię! bo raz, że może tu jeszcze choć na godzinę przed skonaniem obaczę choć jedno z moich dziateczek—a drugi, że mi się od państwa piękny pogrzeb należy, bo na to ja u was cały wiek mój służę!

I na tém zwykle się to pokuszenie kończyło. Syn nawet parę razy do niéj się odzywał, zapraszając do siebie, ale nic mu na to nieodpisała.

Aż raz do dworku leśniczego zawitał gość niespodziewany, gość nadzwyczajny, bo koczobrykiem prześlicznym, dzielną czwórką szpaków w Krakowskich chomątach, z liberyjnym furmanem i lokajem, słowem, jak to mówią: huczno, i bunczuczno.—

Było to latem. Półkownik zdjąwszy płócienną kapotę, w koszuli tylko i w szarawarach wetkniętych w bóty juchtowe, drwa rąbał na dworze. Gdy paradna bryczka stanęła przed gankiem, przywdział kapotę, i zarzuciwszy siekierę na plecy, poszedł przywitać gościa, który właśnie wysiadł w téj chwili. Był to mężczyzna lat pewnie czterdziestu, trochę szpakowaty trochę łysawy, trochę przygarbiony, chudy żółtéj cery, z lisiém spójrzeniem, i z zaciętemi ustami,

odziany z pańska, ze złotym łańcuszkiem na atłasowéj kamizelce, z kilką pierścieniami na suchych palcach.

—Czy to tutaj mieszka półkownik N*?—spytał imponująco, ma się rozumiéć nie czując się w obowiązku uchylić czapkę, przed człowiekiem w płóciennéj kapocie, który przed chwilą drwa rąbał i dotąd jeszcze siekierę trzymał na plecach.

—Tutaj,—odrzekł Półkownik, bacznie się weń wpatrując, jakby pragnąc odgadnąć cobyto był za jeden?

—Czy jest w domu?—spytał przybyły.

—Ja nim jestem, do sług;—odparł starzec z uśmiechem i z uprzejmym ukłonem.

Trudno opisać jakie wrażenie odpowiedź ta sprawiła na przybylcu. Zerwał czapkę z głowy, i chciał się ukłonić, i zawahał się, i znów czapkę włożył, i ceglasty rumieniec wybił mu się na żółte lica, i usta się zacięły w połowie wyrazu...

A półkownik drzwi już otworzył do sieni, i stał u progu, i uprzejmém skinieniem drogę wskazywał:

—Słońce pali; wejdźmy do chaty, to się lepiéj poznamy.

—Przepraszam... niepojmuję... być że to może?... jąkał gość znów czapkę zdjąwszy, i w cią-

głych ukłonach, drobnym kroczkiem wchodząc do chaty.

—Mnie to należałoby może pana przeprosić za ten strój prostaczy, który pana razi i dziwi; ale mię niestać na lepszy, a ubóstwo człeka niehańbi...

Weszli do izdebki pustéj w téj chwili, bo Półkownikowa z Barbarą w lodowni masło urządzały.

Gość był jak okradziony, wyraźnie sam niewiedział, co z sobą począć, kręcił się tylko i milczał, mnąc czapkę w ręku. Półkownik zdziwiony tém niepojętém zakłopotaniem, chcąc raz już koniec temu położyć, a logicznie wnioskując, że taki pan mógł tylko w interesie doń przybyć, spytał nareszcie:

—Kogoż mam honor witać, i jak panu służyć?

—Jestem Grzegorz L*,—wyjąkał przybylec.

—Jakto? Syn Barbary!?—wykrzyknął Półkownik radosny, rozpromieniony, rzucając się ku niemu z rozwartém objęciem,—Grzesio, kochany Grzesio! a niechże cię uściskam, poczciwy chłopcze!...

I ujął go w ramiona i przytulił do piersi, nieprzeczuwając z jakim niesmakiem przyjęto uścisk ten szorstki i niewidząc miny skwaszonéj,—i wołał daléj:

—Toż to radość będzie dla matki! toż się moja żona ucieszy! Biegę! natychmiast je sprowadzę!... i wypadł z izby, i zadyszany biegł do lodowni, na głos cały wołając:—Żono! Barbaro! chodźcie-no prędzéj! chodźcie witać gościa drogiego!...

Kobiéty, które marzyły i śniły tylko o *swoich dzieciach*, z któremi w ich sercu, niestety, jakoś się nigdy Grzegorz niełączył, słysząc o drogim gościu, jednomyślnie zgadywały któregobądź z Półkownikowiczów, i nieprzytomne, z radosnym okrzykiem, wybiegłszy z lochu, piorunem wpadły do izby... I w progu stanęły wryte, i ze zdumieniem spoglądały na gościa, który również zmięszany, oczy spuściwszy, stał jak na węglach gorących...

—To Grzesio! syn twój Barbaro!—krzyknął Półkownik—Grzesiu! to matka twoja!

I czekał, rychło li ujrzy syna u nóg matki, rychło li go matka przytuli do serca, i już się cieszył radością ich i szczęściem... Lecz syn i matka stali nieporuszeni; matka niepoczuła w nim duszy synowskiéj—i słusznie, bo jéj tam niebyło, bo widok téj staruszki czarnéj, ogorzałéj z chustką zawiązaną pochłopsku na siwych włosach, w płóciennéj, grubéj spodnicy, z bose-

mi nogami, z rękoma zakasanemi po łokcie i zawalanemi maślanką, widok téj prostaczki, którą miał nazwać swą matką, zawstydził go i upokorzył, bo pychy było w nim wiele, miłości ani krzty!... I stali tak i milczeli wszyscy przez chwilę, aż Półkownikowa piérwsza przemówiła:

—Niepoznajesz nas Grzesiu! niepoznajesz nawet matki rodzonéj! Nie dziwy! tyle lat minęło, tyleśmy nieszczęść przebyli, zmieniliśmy się bardzo, postarzeli wiekiem i niedolą; ale serca zawsze te same...

I podeszła ku niemu i objąwszy uściskała go czule; a on i ramienia nawet jéj nieucałował—gorzki i zimny...

I znów nastało przykre milczenie, które dopiéro przerwał żałosny płacz piastunki, padającéj na piersi Półkownikowi.

—Cóż ci to moja Barbaro? czegoż tak płaczesz?—mówił Półkownik tuląc ją po ojcowsku,—uspokój się przecię, zbierz myśli, powitaj syna twojego!

A syn ów stał jak bałwan prawdziwy, bez iskry uczucia, nieporuszony nawet płaczem matki rodzonéj, niecierpliwy tylko i gniewny.

—Grzesiu! ucałujże przecię ręce twéj matki! to matka twoja!—dodała z mocą Półkownikowa.

—Matko...—bąknął pan Grzegorz krok robiąc naprzód, niewiém z jaką myślą; lecz na głos jego, na ten wyraz: *matko!* dreszcz gwałtowny przejął Barbarę, która się nagle wyrwawszy z objęcia Półkownika, stanęła gniewna i groźna jak wyrzut sumienia, i wyprężywszy ręce z rozpostartemi dłońmi, jakby się broniąc napaści: — Precz! wykrzyknęła z najwyższym wstrętem,—precz, wyrodku nikczemny!

—Barbaro! co ci jest Barbaro?—zawołała Półkownikowa,—opamiętaj się przecię! także to witasz syna twojego?

—To nie syn mój! nieznam go i znać go niechcę! to samozwaniec jakiś! Syn mój jużby dawno leżał tu u nóg moich, i łzami radości obmyłby je rzewnemi; syn mój przynajmniéj, niepowstydziłby się rąk tych ucałować, które synowie jego dobroczyńców całowali ze czcią sto razy!... Syn mój ucałowałby przecię kolana tych ludzi, co mu dali naukę, a z nią i sposób do życia, co matkę jego z ostatniéj nędzy wywiedli...

Zaśmiał się szyderczo na te słowa pan Grzegorz.

—Wywiedli?—spytał zdumiony,—wywiedli? pogrążyli raczéj, zgubili! bo możeż być nędza

straszliwsza nad tę, w jakiéj matkę widzę? Przybyłem właśnie dla tego, aby z niéj matkę wydźwignąć, aby się tych państwa spytać o rachunek z zasług czterdziestoletnich...

—Ty! ty! nikczemniku!—buchnęła Barbara w furyi najwyższéj,—ty śmiesz tak się odzywać? ty śmiesz o dobroczyńcach swoich mówić: *tych państwa!* ty śmiesz o rachunek ich pytać? A samże czy zdasz kiedy w życiu rachunek *twoim panom*, którym byt swój zawdzięczasz? bez którychbyś zginął gdzieś marnie jak podłe szczenię pod płotem?! czy zdasz rachunek przed Bogiem z niewdzięczności swojéj?...

—Barbaro! bój się Boga!—mitygował ją Półkownik,—w moim domu tak go poniewierać! jeśli nieznasz w nim syna, to uznaj gościa mojego...

—On tutaj gościem!—krzyknęła Barbara,—taki nikczemnik! ja niewiém jak go w tych wrotach grom Boży niezabił! I on śmiał pomyśléć że mię ztąd porwie, jak zbójca, aby późniéj okup za mnie odebrać? Ha! dusza się wzdryga! serce się pęka w kawały na taką zgrozę!... Precz ztąd, nikczemniku! precz!...—wołała we wściekłości najwyższéj, gwałtownie drzwi otwierając; a gdy się wahał, oglądając się wkoło i niewiedząc

co czynić,—precz!—krzyknęła jakby z przerażeniem,—uciekaj nieszczęsny, póki słowo przekleństwa mogę w sercu zatrzymać! uciekaj! bo... niech...

—Barbaro! Barbaro!—krzyknęli przerażeni Półkownikowstwo, usta jéj zatykając; a w tejże chwili Grzegorz jak szalony wypadł na dziedziniec, i jakby się bojąc pogoni przekleństwa, skoczył do bryczki i umknął całym pędem rumaków.

Barbara padła na ziemię wysilona tém gwałtowném wzruszeniem...

Smutny ten wypadek pobudził Półkownika do zajęcia się panem Grzegorzem, do szukania bliższych wiadomości o jego życiu i charakterze, do zbadania wreszcie pobudek, które go do matki zwróciły: bo jakkolwiek w całém postępowaniu jego ani odrobiny serca niewidział, bał się uwodzić pozorem, bał się aby gwałtowność rozżalonéj Barbary niezraziła go w najpoczciwszych i najczystszych zamiarach. Niczego tedy niezaniedbał, przez coby mógł powziąść dokładną o nim wiadomość. Niestety! nieomyliła się dusza macierzyńska, taką zgrozą odpychająca dziécko rodzone! Rychło przekonał się Półkownik, że ów pan Grzegorz był infamisem w całém znaczeniu wyrazu, adwokatem wszystkich spraw

krzywych, łapigroszem i skną w najwyższym stopniu. I w saméj rzeczy, jak to w oburzeniu wyrzekła Barbara, po to tylko do niéj przyjechał, aby ją porwać jak zbójca i okupu za nię zażądać: chciał mieć bezpłatną z matki kucharkę, a Półkownika zapozwać do zdania rachunków z jéj pensyi całéj, i z owych dwóchset rubli, które po wyjściu z Zabrodnia, Barbara użyła na najęcie domu i urządzenie gospodarstwa w Słucku. Bo z przebiegłością szatańską udało mu się wyśledzić, że w czasie rabunku, matka jego tych pieniędzy niemiała w domu, że je podniosła z procentu po przybyciu do miasta, i że obróciła na korzyść Półkownikowstwa; sam zaś tego był świadkiem, jak w Słucku, szafując dochodami swych państwa, prawie ani grosza dla siebie nieużyła, o pensyi wcale niemyśląc. Ułożył więc projekt prześliczny procesu o summę coś około kilkunastu tysięcy złotych, sądząc, że raz matkę wziąwszy do siebie, łatwo ją zmusi do podpisania pozwu. Widzieliśmy jak mu się zamiar nieudał, jak go nadzieje zawiodły, na samym już wstępie tracąc połowę swojéj świetności: bo ani się spodziewał w tak opłakanym stanie ujrzeć Półkownika. Pomyślał wszakże czarny ten człowiek:— Musi to być nędza udana; musi Półkownik kryć

się z tém, co zarwał, ustępując z Ustroni!—I postanowił czekać do śmierci matki, aby się późniéj o spadek po niéj upomnieć.

Biedna Barbara odchorowała to spotkanie się z synem, a nie rychło udało się Półkownikowstwu żal jéj złagodzić i skłonić ją do przebaczenia winy obłąkanego dziecka, winy, któréj część znaczna i na matkę spadała. Bo któż zaręczy, że ta katastrofa okropna nie była wyraźném Bożém dopuszczeniem, karą sprawiedliwą za niebaczne zaprzanie się krwi własnéj, za to zupełne oddanie się cudzym z zaniedbaniem swego dziecięcia, które przy większéj macierzyńskiéj czułości, przy jéj wpływie cudownym, możeby też i lepszém, i poczciwszém się stało?...

I minęło znowu lat kalkanaście. Półkownik, ze względu na poczciwą służbę i na wiek sędziwy, dostał w dożywocie dworek, w którym spokojnie mieszkał, z pensyą i ordynaryą.

O dzieciach żadnéj wiadomości niebyło, i Półkownikowstwo przestali już nawet i marzyć o oglądaniu ich na tym świecie; piastunka tylko ciągle powtarzała: „bodaj na minutę przed śmiercią, a taki choć jednego zobaczę!“

A o téj śmierci coraz to częściéj starzy z sobą gwarzyli, codzień jéj wyglądając, jakby gościa dawno spodziewanego, i do pielgrzymki na tamten świat gotując się spokojnie, wesoło nawet, jak do miłéj jakiéj podróży.

Wreszcie Półkownik, zaprzestawszy wszelkich innych robót stolarskich, zaczął dębowe deski, oddawna schnące na strychu, starannie ciosać i heblować, dni całe trawiąc na tém zajęciu, które mu wielką przyjemność sprawiało.

—Co to jegomość robisz?—spytała raz piastunka, nadszedłszy z Półkownikową, kiedy się zabierał do piłowania ślicznie wygładzonéj tarcicy.

—Alboż się niedomyślasz, kochana babo?

—Nie, jegomościuniu.

—Ani ty, moja duszo?—spytał z uśmiechem żony.

—Może znowu łóżka dla dzieci?...—odrzekła rzewnie Półkownikowa, i dwie łzy ciche stoczyły jéj się po twarzy.

Westchnął na to starzec, smutnie głową zachwiawszy.

—Nie, moja duszo! gdzie ich witać będziemy, tam już pościeli nietrzeba; to co innego. Ot rychło się skończy nasze dożywocie, to myślę

abyśmy niezostali bez chaty; a żem całe życie sam dla siebie był cieślą, to i teraz niechcę zdać tego na cudze ręce.—

—Chybaż trumny jegomość klecisz?—rzekła piastunka.

—Domki, domki, moja babulko!—odparł Półkownik,—domki najmilsze, z których już ani rabunek, ani złość ludzka nas niewypędzi; w których zacisznie a wygodnie nam będzie, jak nigdy i nigdzie jeszcze niebyło; z których już niepójdę na żadną wyprawę chyba kiedy nas wszystkich trąba archanioła wezwie na meldunek przed Najwyższym Wodzem zastępów Niebieskich.

—A o mnie czy jegomość pamiętał?

—Jakbym mógł zapomnieć?... Oto materyał na moję chatę, oto na imościną, a to dla ciebie, moja poczciwa babcio! wybrałem najładniejsze i najsuchsze deski, i niepożałuję fatygi, żebyś miała mi za co podziękować.

—O, mójże ty drogi! mój ty poczciwy!—zawołała Półkownikowa z głębokiém rozrzewnieniem, rzucając mu się na szyję,—jak ty zawsze o wszystkiém umiész pamiętać! jak o wszystko się troszczysz i wszystkiemu poradzasz.

Czy znajdziesz tylko płótno na wybicia? Czy mamy dosyć ziółek święconych na poduszeczki?

—Znajdę prześcieradła,—odrzekła Półkownikowa.

A u mnie jest kilka snopków święconego *przelotu* i macierzanki,—dodała babcia,—doskonałe będą poduszki! i puchowych nietrzeba.

—To i dobrze. Pozwólcie mi tylko jeszcze przymierzyć do wzrostu, żeby nam, broń Boże, ciasno niebyło.

I brał deski, stawiał przy żonie i piastunce, i znaczył na nich długość ołówkiem czerwonym.

Odtąd przez dni kilka Półkownikowa i piastunka wszystek czas wolny spędzały przy nim, przyglądając się téj robocie, która szczególny urok dla nich miała, i szyjąc przy tém nasypki na poduszki z ziółek, lub przykrawając obicie.

Skończył wreszcie Półkownik stolarską robotę; dwie trumny pomalował na czarno i srebrnym papierem powyklejał na nich śliczne antaby, klamry i krzyże... Cacka to były prawdziwe i nacieszyć się staruszkowie niemogli temi domkami swemi, przyglądając się im z lubością, i kładąc się w nich, aby sprobować, czy wygodnie im będzie. Została tylko jedna trumna piastunki do pomalowania, ale już było późno dnia tego, farby niestało, należało czekać do jutra.

Nazajutrz niecierpliwa staruszka, ogarną-

wszy się trochę w gospodarstwie, przystawiwszy garnki do ognia, pobiegła zajrzeć co się dzieje z jéj domkiem?... i klasnęła w dłonie uradowana, i ze łzami słodkiemi rzuciła się do kolan Półkownika, wołając:

—Czyż to tak dla mnie! czyż ja tego warta! o Boże mój drogi! sądzonoż mi przed śmiercią doczekać takiéj radości!—I całowała ręce uśmiéchniętego starca, któremu dwie łzy serdeczne spadły na siwe wąsy.

Na warstacie stolarskim stała trumna Barbary, prześlicznie obita amarantowym półaxamitem i złocistemi galony: bo Półkownikowstwo, chcąc sprawić przyjemność nieocenionéj téj kobiécie, która za wszystkie swoje zasługi pragnęła tylko *pięknego pogrzebu*, potajemnie kupili za grosz swój ostatni, materyały potrzebne na ozdobę jéj trumny, całą swą puściznę przeznaczając na koszta pośmiertne, i na jałmużnę,—i zastrzegając wolą ostatnią, aby kondukt piastunki odbył się jak najświetniéj.

Nadeszła Półkownikowa, i ucieszyła się serdecznie i tą piękną trumienką i radością ukochanéj piastunki, i czule uściskała małżonka za jego pracę.

—O moi państwo najmilsi!—wołała płacząca

Babcia,—jacyż wy dobrzy! jacy wy kochani!... O Boże mój, Boże! naucz mnie mowy anielskiéj, by im podziękować, jak warto!... Ale tak być niemoże! ja téj trumny nieprzyjmę! gdzież mi się poszywać, niby królowéj, w złoto i purpurę?! Nie, nie!—powtarzała, trzęsąc siwą głową, i patrząc ze łzawym uśmiechem na swoję trumnę,—ja się na to niezgodzę! niech ten pałacyk będzie dla ciebie, pani najmilsza; albo najlepiéj dla jegomości, boć to przecię półkownik, i wielkie honory jemu się należą...

Uśmiechnął się na to staruszek.

—Szkoda tylko, że mi tam z memi honorami byłoby zaciasno, bom o pół łokcia wyższy od ciebie.

—A nieszczęście! to już taki imości wypada wziąć to dla siebie.

—Nie, moja droga,—odrzekła Półkownikowa, bo tak byłaby krzywda mężowi. Niéma innéj rady i musisz przyjąć od nas tę pamiątkę.

—Prawda że pamiątka! wykrzyknęła z uniesieniem piastunka,—a na długie lata, bo aż do dnia sądnego!... To niechże Bóg wam płaci, a ja tylko nogi wam ucałować potrafię.

We dwa potém tygodnie Półkownikowstwo i Barbara chodzili o mil parę na odpust do pa-

rafii swojéj; spowiadali się wszyscy troje z całego życia, a po mszy zwiedzili cały cmentarz, aby sobie wybrać i zamówić miejsce na groby.

Wróciwszy do domu zastali tam posłańca ze dworu, który im przywiózł od dziedzica, przybyłego z zagranicy, list od Michasia, zapowiadającego rychły swój powrót na rodzinną ziemię. List ten był pisany prawie przed pół rokiem, a Michaś obiecywał że za kilka miesięcy do nóg im upadnie! Miarkujcież tedy, co to za radość dla biédnych starców tych była!

Nazajutrz piastunka, która oszalała prawie z radości i w nocy może ledwie godzinę zdrzémnęła, niemogąc zasnąć z myślą o przyjęciu gościa najdroższego, zerwawszy się raniutko, pobiegła natychmiast obaczyć, czy państwo wstali; ale spostrzegłszy okienniczki zamknięte, a niechcąc staruszków budzić, wróciła do swéj izdebki, gospodarzyć i gwarzyć ze źwierzętami.

Gdy w godzinę, a może więcéj, postrzegła znowu, że jeszcze się nieobudzili, zmartwiło to piastunkę, chciała już do drzwi zastukać, ale się zmiarkowała, i pomyślawszy sobie:—niechaj jeszcze odpoczną po wczorajszém znużeniu,—tęskna siadła w sieniach na progu, doczekiwać się póki powstaną, gwarząc półgłosem z kotem o spodziewanym gościu.

I minęła jeszcze godzina w smętném oczekiwaniu; Półkownikowstwo spali.... Niecierpliwość i tęsknota piastunki przeszła wszelkie granice, a dziwny jakiś niepokój i trwoga serce jéj przejęły. Zapukała do drzwi leciutko i przyłożyła ucho—nikt się nieodezwał. Zakołatała głośniéj powtórnie—nikt znowu! Przejęta trwogą niezmierną, zaczęła wołać, i z całéj siły bić we drzwi, zaszczepnięte ze środka;—cisza grobowa jedyną była odpowiedzią na jéj wołanie...

W najwyższym niepokoju, drząca, z sercem gwałtownie bijącém skoczyła ku oknu, szarpnęła okiennicę i przyłożyła twarz do szyby... Przy łóżku Półkownika, leżącego nawznak w pościeli, klęczała, a raczéj siedziała na klęczkach, żona, trzymając go za rękę, i twarz ukrywszy na jego poduszce.

—Chory!—wykrzyknęła babcia przerażona,—Imościuniu! imościuniu!—wołała bijąc w okienko,—proszęż mi odemknąć czém prędzéj!—i trzęsła się cała, aż jéj zęby dzwoniły. Nikt jéj nieodpowiedział, nikt się ani poruszył!... I z jękiem rzuciła się nazad do sieni; przypadła do drzwi; targnęła je tak silnie, że aż kruczek wyrwała; nieprzytomna wbiegła do sypialni—i runęła bez zmysłów u nóg trupa swéj pani, klęczącego przy zwłokach pana.

Nierychło wycie żałosne Żuczka, ręce jéj liżącego i szarpiącego suknię, wróciło ją do przytomności. Powstała jakby ze snu letargicznego, smutna, bardzo smutna, ale dziwnie spokojna i uroczysta, jakby w tym śnie z Bogiem gadała. Przeżegnała się; westchnęła; przyklękła; ucałowała ręce drogich swych państwa, związane ostatnim uściskiem, ucałowała zimne ich nogi, i pomodliwszy się chwilę gorąco, poszła pogrzebem się zająć.

Zaraz posłała pastuszka, jedynego ich sługę, aby ze wsi zaprosił baby, a ztamtąd pobiegł do parafii, sprowadzić światło i xiędza; sama zaś tym czasem nastawiła wodę do obmycia zwłok drogich, i przygotowała śmiertelne im ubranie, które zresztą oddawna już było naznaczone przez nich samych i leżało w szafie porządnie.

Wkrótce napełniła się chatka dobrymi ludźmi, którzy na wieść o śmierci poczciwych leśniczowstwa z płaczem przybiegli oddać ostatnią im posługę. I było tam jęku i łkania dosyć, bo wielką miłość u ludzi mieli ci staruszkowie szanowni; jedna tylko Barbara ani łezki nieuroniła; milcząca, smutna, ale zupełnie swobodna i rzezwa, przygotowywała się do żałobnego obrządku, o wszystkiém pamiętając i sama jedna robiąc

najwięcéj, a w nieodbitéj tylko potrzebie—prosząc o pomoc. I sama obmyła ukochane zwłoki, sama je ubrała, i złożywszy w trumnach, ucałowała serdecznie ich stopy. Za pogrzebem poszła piechotą, modląc się gorąco, ale niepłacząc, i nierozpaczając. Po skończonym obrządku złożyła u proboszcza ostatnią wolę Półkownikowstwa, i ręce jego ucałowawszy, rzewnie błagała, aby ją po śmierci kazał pochować obok jéj państwa najdroższych, na co, jak mówiła, niedługo czekać!—Pomodliła się raz jeszcze na świętych dla niéj grobach, złożyła na nich pocałunek ze czcią głęboką, i pożegnawszy tkliwém *do widzenia*, powlekła się do pustéj chatki w lesie.

Namawiali ją ludzie, żeby się do wsi przeniosła, albo żeby do siebie wzięła jaką towarzyszkę, którąby łatwo znalazła; lecz im podziękowała za dobre serce, oświadczając, że nikogo i niczego niepotrzebuje.

Na pódwórku obskoczyła ją głodna zgraja jéj ulubjonych źwierzątek:

—Biédneż my! biédne teraz sieroty!—szepnęła na ich widok piastunka,—a ja najbiédniejsza! namęczyła się, napłakała się przez długie lata, a teraz i oczu niéma zamknąć komu!

Weszła do izdebki Półkownikowstwa:—Pu-

sto i głucho,—westchnęła, smutnie chwiejąc głową,—uleciały drogie moje gołąbki!... czemuż mię z sobą niewzięły!... Ej bluźnisz, bluźnisz, babulko! a toż nie łaska Boża, żeś wysłużywszy im lat kilkadziesiąt, jeszcze i ostatnią posługę oddała? toż i w niebie aniołom miło będzie słuchać takiéj nowiny!... A teraz służ saméj sobie i żwawo w drogę się zbieraj... tu już wszystko skończone!...

Ucałowała łóżka Półkownikowstwa; ucałowała próg ich izdebki; pomodliła się chwilę; zdjęła ze ściany portret *swoich dziatek*, i unosząc go z sobą, szeptała rzewnie: Chodźcie drogie dziateczki! chodźcie najmilsze! nim obaczę twarze anielskie, i majestat Boży, niech mi świecą wasze drogie twarzyczki!...

Weszła do swojéj izdebki, dała jeść głodnym źwierzątkom, dobyła ze skrzyni najparadniejsze suknie i śmiertelną koszulę, umyła się, uczesała starannie bieluchne swe włosy, i ustroiła się jakby na wielkie święto. Wyciągnęła trumnę na środek izdebki, naprzeciw niéj zawiesiła portret *swych dziatek*, pogwarzyła ze źwierzątkami. uściskała je czule; a gdy już słońce zaszło, pomodliwszy się długo, rzewnie, gorąco, zapaliła dwie świece jarzęce, postawiła je w głowach trumny,

i legła w niéj, skrzyżowawszy ręce na piersiach ze świętym obrazkiem.

Nazajutrz rano wpadł do izdebki jakiś wędrowiec w pyle i znoju... Ujrzawszy trumnę pośrodku ze zwłokami niewiasty i z dogorywającemi przy niéj świecami, jęknął boleśnie padając na klęczki i wołając w rozpaczy: Babcio! Babcio kochana! piastunko moja najmilsza!...

Piastunka otworzyła ociężałe powieki, wpatrzyła się weń gasnącemi oczyma, w których na chwilę dziwny, cudowny promień zaświecił, poruszyły się usta stygnące:—Michaś—szepnęła—o dzięki ci Boże!—i promień oczu zlał się w dwa brylanty, i usta, w rzewném westchnieniu Bogu ducha posławszy, zamknęły się błogim uśmiechem!

Dnia 4-go września 1857 r.

Potok.

Futornik.

SIELANKA.

191

P[nie] FERDYNANDZIE R.

na pamiątkę 30 Maja 1852.

Autor.

„Biedni wy ludzie! że też wy nie wiecie,
Co to być małym!...
Źle wielkiéj rybie, która wierzchem chodzi;
I źle ptakowi, co wzleci wysoko
Nad gniazdo swoje; i biedne to oko,
Co w słońce patrzy;—bo świat zwykle godzi
Na to co z kraju, co świątłe! co lotne,
Na to co wzniosłe, wielkie i samotne,
Czy to na lądzie, na morzu, czy w niebie;—
Albo też ono godzi samo w siebie.
A to co małe, to bywa i całe,
I niby wieczne, i zdrowe, i hoże,
Czyste, swobodne, i żywe, i boże,
I rade sobie, i rade drugiemu,
I nie zawadza cudzemu ni swemu;
Boć rade temu, co mu padło w dziele;
A silne liczbą, boć to tego wiele;
A między małem bywa sojusz wierny,
To i Bóg temu bywa miłosierny...
I mrówka mała, a cały świat zchodzi,
I pszczółka mała, a życie wam słodzi,
I ziarno zboża—małe, a świat żywi,
I piasek drobny, a skała się dziwi,

I perły małe, a jakie to cenne!
I kropla mała, a co wody w stoku!
I z wód niewielkich to morze bezdenne,
Mała źrzenica, a cały świat w oku.
    Alboż i gwiazda? a światło jéj czyste,
I jakież piękne to niebo gwiaździste!
Ledwie widziany ten pyłek słoneczny;
A niby morze światłości zdrój wieczny!
    Więc lepiéj zlać się w miłości z drugiemi,
Pyłkiem i kroplą popłynąć wzdłuż ziemi;
Razem z drugiemi, bez rachuby, wieści,
Bez szumu, gwaru, cześci i boleści;
Więc lepiéj pyłkiem, a w światłości zginąć,
I niby kropla w morze życia spłynąć."

W. POL.

195

DO CZYTELNIKA.

Ramotę, którą ogłaszam, dał mi jeden z moich szkolnych kolegów. Napisał ją dla mnie i jeszcze kilku swoich towarzyszy, przed dwóma laty, po wieczornéj zagorzałéj rozprawie o szczęściu ludzkości, o postępie, o duchu czasu, i temu podobnych *wielkich słowach*, które przez lat kilka tak się zużyły, tak się zszargały, iż dziś już trudno je wymówić bez obudzenia jakiegoś wstrętu lub szyderstwa.

Niestety! smutna to prawda: garłowano żarliwie, obiecywano wiele; a wszystko spełzło na niczém, lub tak jak na niczém. I z pokorą wyznać potrzeba, żeśmy jeszcze daleko, bardzo daleko od szczęścia, którego tak pragniemy!... A trudno zaprzeczyć, że ludzkość postępuje, że rozum jéj dokazuje cudów: rysujemy słonecznym promieniem, kujemy posągi błyskawicą, jeździ-

my i olbrzymie prace wykonywamy ulotną parą, nurkujemy w morzu jak ryby, latamy w powietrzu wyżéj od ptaków, zbadaliśmy tajemnice ziemi i niebios; z tém wszystkiém jednak konwulsyjne miotanie się ludzkości świadczy o jéj srogich cierpieniach! Widać więc, że sam rozum do szczęścia nie wiedzie, lub że na błędną wszedł drogę... Ale rzecz nie o tém, wracam do swego kolegi.

Był to zagorzały marzyciel z najpoczciwszém sercem, źle więc mu było na świecie; tém bardziéj, że przy wszystkich najwznioślejszych cnotach, brakło mu, niestety, wyrozumiałości na wady bliźnich, brakło chrześcijańskiéj pobłażliwości. Dla tego to sądzę, że pod jego piórem opowiadanie Marcina więcéj goryczy nabrało, niż w niém rzeczywiście było, i czytelników o tém ostrzegam.

Od roku nie mam żadnéj wieści o moim koledze; najpodobniéj do prawdy, że poszedł w ślady Marcina. Szczęść mu Boże!

MARCIN FUTORNIK.

Przed kilką laty, jako plenipotent jednego Litewskiego magnata, musiałem w jego interesie udać się w naddniestrzańskie okolice, do JP. Prezesa P.... Sprawa to była bardzo uciążliwa, i wypadło mi kilka tygodni w jego domu przepędzić, choć rad byłbym jednéj godziny ztamtąd się wyrwać, tak mi błogo tam było! Oboje Państwo, dumni nad wszelki wyraz, dozwoliwszy mnie mieszkać pod dachem swego pałacu, i przypuszczając mię do swego stołu, traktowali wzgardliwém milczeniem, ledwie racząc czasami, pod dobry humor, powitać mię zimnym ukłonem. Towarzystwa nie miałem żadnego, książek nie wiele, P. Prezes swoich mi odmówił; a więc, nie mając co robić w chwilach wolnych od obowiązku, wszystkie je poświęcałem na przechadzki po

tamtejszych malowniczych wzgórzach i jarach, herboryzując, zbierając jagody, słuchając szczebiotania ptasząt, licząc liście na drzewach, chmurki na niebie, lub też gawędząc z poczciwymi kmiotkami.

U P. Prezesa był śliczny ogród; ale ogrodnik grzecznie dał mi do zrozumienia, że Prezes nie kontent z moich tam przechadzek,—musiałem więc ich zaprzestać, i obrócić się gdzie indziéj.

Z tego ogrodu, jak i z pałacowego balkonu, otwiera się uroczy widok na przyległą okolicę, szczególnie zaś na wschodnią stronę. O kilka staj za ogrodem rozlewa się obszerny staw, czysty, błękitny, jak gdyby nalany w lazurową czarę niebios, w głębi jego świécących, otoczony w koło zieloną ramą leszczyny i tarni, jak wieńcem godowy puhar. Wschodni brzeg stawu na znacznéj przestrzeni powolnie się wznosi nakształt tarasu, a wreszcie, dosięgłszy kilkunastu sążni wysokości, rozlega się obszerną równiną, aż do krańców horyzontu. Na téj równinie leży wspaniały gotycki pałac, a całą pochyłość zajmuje cudnéj piękności ogród, którego opisywać nawet nie myślę; bo chcąc mieć o nim wyobrażenie, trzeba go widzieć w naturze, w pogodny letni wieczor, kiedy oblany purpurą zachodu, razem

z owym pałacem odbije się w olbrzymiem źwierciedle stawu.

W moich codziennych próżniaczych wędrówkach, do pamiętnego zdarzenia, o którém powieść zaczynam, najczęściéj się zwracałem ku stronie owego stawu, i przebywszy go czółném, obiegałem wszystkie urocze zakątki prześlicznego ogrodu, jak dziki kozieł czepiając się po skałaah, przeskakując parowy i strumyki, rozkoszując się aż do upójenia zachwycającym widokiem.

Nikt mi tam wstępu nie bronił, bo ogród ów należał do Hrabi Jerzego N... najzacniejszego obywatela, który pojmował na czém prawdziwa szlachetność zależy, i wiedział że impozycyą i wzgardą nikogo o znakomitości swojéj nie przekona i szacunku sobie nie zjedna.

Wracałem potém do łodzi, i nie szczędząc trudu, kierując się wzdłuż brzegów ogrodu, wypływałem wreszcie na rzekę wązką, lecz głęboką i bystrą, ujętą między dwa łańcuchy pagórków, które jak zalotne wieśniaczki przyszły do źwierciadła wody, stroić się w zielone suknie i barwne wianeczki.

O dwie lub trzy wiorsty od pałacu Hrabi Jerzego, łańcuch pagórków, ciągnących się po lewym brzegu, nagle się w dziką zamienia skałę,

któréj strome, jakby ociosane boki, gdzieniegzie tylko strojne gałązką tarniny, wznosząc się na kilka sążni z samych nurtów rzeki, zdają się malowniczą ruiną jakiegoś zamczyska; tém bardziéj że nie stanowią linii prostéj, lecz łamiąc się w głębokie szczerby, tworzą długi szereg jakby baszt potężnych. Tak na przestrzeni staj kilku; daléj znów brzegi łagodnie zbiegają ku rzece, a po nich potokiem spływa zieloność i kwiecie; i znów sterczą skały, ale już mniejsze, i w znacznych odstępach, jakby nieruchome pograniczne straże.

Za to na prawym brzegu zielone wzgórza daleko od rzeki odeszły, nad którą się rozsiało naprzód kilka morgów łąki, daléj aż na boki pagórków idą żyźne łany, wyżéj zarośle tarniny, jeszcze wyżéj z pomiędzy tarniny wynurzają się nadobne wiśnie, czereśnie i dzikie jabłonie pomieszane z leszczyną; a wreszcie, już na spłaszczonym szczycie pagórka, brzozy, lipy, klony, i wspaniałe dęby idą gęstym lasem aż w siną dal horyzontu.

Jak raz naprzeciw owych baszt skalistych, na brzegu spłaszczonego szczytu pagórka, las się otwiera w półkole, jakby umyślnie, aby dać miejsce ślicznemu dworkowi, jakim podobne zwą tam

futorami. Schludny, bialutki, słomą kryty domek z zielonóm podwórkiem, otaczają porządne gospodarskie budynki. Za domkiem na starych dębach gnieżdżą się bociany, co szczęście przynoszą; dalćj spory ogród. Od brzegu rzeki przez łąkę i niwę idzie kręta dróżka, a gdzie od zarośli wbiega, po obu jćj stronach, jakby dwa słupy zrujnowanćj bramy, stérczą dwie szare skały, opasane chmielem, ocienione kilką płaczącemi brzozami, z pomiędzy których krzyż biały wznosi się ku Niebu, jakby błogosławiąc cichemu ustroniu; u ich żaś podnoża wytryska czyste zródełko, i srébrnym sznureczkiem przerzynając niwę i łąkę, ucieka do rzeki.

U tego dworku, a raczéj przeciwległćj mu skały, kres mojéj żeglugi. Przywiązawszy czółno do nadbrzeżnéj wierzby, okrążałem skałę, i po przeciwnym mniéj stromym boku, wdzierałem się aż na najwyższy jéj wierzchołek, gdzie jakby ręką ludzką rzucony, leżał głaz niewielki nakształt ławeczki, z trzech stron otoczony gęstemi krzakami, a z czwartéj dający widok na ów piękny dworek. Tam zasiadałem czasem z książką w ręku, częściéj z ołówkiem, łapiąc nań myśli przylatające z pięknéj okolicy; a najczęściéj z niczém,—tylko z otwartém okiem i sercem; bo

wszystko, co mię otaczało, było wyższe nad najcudniejszy utwór pióra i pędzla. Ta jedna karta wielkiéj przyrodzenia księgi tak była pełna cudnéj rozmaitości, że co dzień w niéj czytając, codziennie nowe wyczytywałem w niéj rzeczy, nowym się dziwem unosząc. Ale najmiléj mi było śledzić kroki mieszkańców owego dworku, do krórych uczułem jakiś dziwny pociąg, może dla tego, że byli dla mnie zagadką.

Nieraz na niwie lub łące, u pługa lub kosy, widywałem pracujących kmieci, a przy nich (jak sądziłem z szlacheckiéj kapoty) właściciela, dzierżawcę, czy też dozorcę wspomnianéj sadyby, który mię zdumiewał postępowaniem swojém; bo zamiast coby miał z nahajką w ręku wisieć nad karkiem biédnych robotników, sam raźno pługiem kierował lub kosą wywijał, zachęcając ich dobrym przykładem.

I serce mi rosło, widząc go pracującego! Nie była to praca chłopa na pańszczyźnie, nie była to praca najemnika, ani też człeka pracującego dla siebie z musu; w każdym jego ruchu, w wyrazie oblicza, znać było, że pracuje z zamiłowaniem prawdziwém, z rozkoszą, z extazyą nawet, pracuje z miłości pracy, jako artysta z miłości sztuki. To też żwawo robota szła przy nim,

jakby robotnicy biegli na wyścigi, a piosnka wesoła brzmiała bez ustanku.

Czasami do owego krzyża przy skale przychodziła sędziwa staruszka z dwojgiem pacholąt, dzieweczką i chłopczykiem. Wszyscy troje odziani z szlachecka, skromnie ale porządnie, a nawet z niejakim wdziękiem, uderzali mię szlachetnością swego ułożenia i pięknym wyrazem oblicza. Staruszka usiadłszy na złomku skały, przędła kądziałkę, dziatwa igrała, to zbierając kwiatki lub jagody, to goniąc motyle, to wreszcie z wędką czatując na ryby: a wtedy z blizka mogłem się napatrzéć na ich rumiane buziaczki, kwitnące zdrowiem, swobodą i szczęściem. Chłopczyk mógł mieć lat dziewięć, dziewczynka około ośmiu; oboje czarnookie, z kruczemi kędziorkami na powabnych główkach, z uśmiechem na różanych usteczkach.

Widując mię często na mojéj skale, dziateczki przywykły do mnie, sądziłem nawet, że mnie polubiły. Witały mię zawsze przyjaźném *dobry-dzień*; czasami kazały zrywać sobie kwiatki rosnące na skałach; czasami się chwaliły szczęśliwym połowem, znalezioném gniazdem, przybyłym na świat gołąbkiem, rojem pszczół nowo-osiadłym i t. p. opowiadały mi o swych zabawkach, o swych

ogródkach, o swych ulubionych domowych zwierzętach, o zmyślności i figlach swojego pieska, o sprycie swojéj koteczki: słowem, posiadałem zupełne ich zaufanie, stałem się powiernikiem ich serc niewinnych.

Nie potrafię wyrazić, jaką to mi radość sprawiło!... I ja niegdyś byłem szczęśliwy, jak one! i dla mnie pod rodzinną strzechą był cały świat rozkoszy i raj na matczyném łonie!... Dziatwa szczebiotała, jak ptaszęta boże; a jak zwiędłe kwiatki podnoszą zwieszone główki, gdy niebo im ześle rzeźwiącą rosę, tak pod czarodziejskim wpływem ich słów i igraszek, czystych jak niebieska rosa, rzeźwiały i nabierały życia, przedwcześnie zwarzone moje uczucia i myśli!... zapomniałem i o P. i o całym świecie!... zdawało mi się, że oto z objęcia matki ku ojcu drobne wyciągam rączęta, że oto mię pieszczą i tulą ukochani moi!... i sam nie czułem, jak rzewne łzy potokiem z oczu mi biegły!... Nie postrzegałem, jak Pan Bóg słońce zdejmował z Nieba, i zawieszał lampy niezliczone; jak pospólstwo ptasze zmówiwszy paciórek, szło do spoczynku, a wieszcz jego słowik, sam jeden Bożą wyśpiewywał chwałę!... Wreszcie chłód nocy budził mię z rozkosznych marzeń; głębokie westchnienie

pomimowolnie wybiegało z łona, jak gdyby dusza chciała w ślad gonić za niebieskiém widmem... daremnie! Zejdźmy ze skały, pójdźmy na skalistą drogę, dźwigać ciężką skałę żywota!... płyńmy przeciw wody...

Noc cicha, słowik uroczą pieśń śpiéwa, koniki swarzą się na łące, i żaby wrzaskliwie sejmują na bagnie. Jeszcze czasami swobodna myśl mignie anielskiém skrzydłem nad tłumem innych, obarczonych rzeczywistością; lecz oto koniec żeglugi i koniec czarownych marzeń.

Lecz wracam do swych znajomych. Otoż pod owe brzozki u krzyża czasem przychodziła staruszka z dwojgiem dziateczek i przędła kądziałkę, pilnując igrających i troskliwym głosem wołając na rozigrane, jak gdyby kwoczka na pisklęta swoje.

Nieraz ów dziwny człowiek, co mię tak zajął swém piękném obliczem i zamiłowaniem pracy, opuszczał pług lub kosę i szedł do źródła po wodę; a pokrzepiony rzeźwiącym napojem, z nowym zapałem brał się do roboty, Lecz pono więcéj niż źródlana woda, krzepiły go tkliwe uściski dziateczek, co mu całowały spracowane ręce, i jeszcze tkliwsze spójrzenie staruszki, która z uniesieniem spoglądając na jego uznojone

czoło, nie czuła jak ciche łzy płynęły po jéj obliczu i za odchądzącym długo jeszcze patrząc, błogosławiła mu drżącą ręką znakiem krzyża świętego.

U żniwa obok tego człowieka stawała młoda kobiéta, także w skromnym lecz pełnym wdzięku szlacheckim stroju, która mię jeszcze bardziéj od niego zajęła i urokiem swego oblicza i niezwykłém postępowaniem swojém. I próżniak z rozkoszném upojeniem spoglądałem długie godziny na tę szczęsną gromadkę, na któréj czele z wesołą piosnką i śmiechem biegła młoda para, żartując i wzajem wyścigając się w pracy. A cóż gdy jeszcze pod tę samą chwilę przypadło, że dziatki pędziły trzódkę do wody, że staruszka ze dzbankiem do źródła dążyła!... Zdawało mi się, że ten czarodziejski obraz jest tylko senném zjawiskiem, grą wyobraźni; że rozmarzone myśli ożywiły w méj duszy jakiś najwdzięczniejszy utwor pęzla Watteau, lub Karpińskiego sielankę!... I przecierałem oczy, sam sobie nie wierząc; ale urocze widmo nie nikło!

Cóż więc dziwnego, że do tych ludzi uczułem jakąś szczególniejszą sympatyą, że mię tak żywo zajęli, iż z serca nie mogłem oddalić chęci bliższego poznania się z nimi?... Pytałem się

wieśniaków, jak się nazywają mieszkańcy dworku, i co to za jedni? Odpowiedziano mi, że dworek ten należy do Marcina futornika, który w nim przed kilką laty osiadł, przybywszy z daleka z żoną, dwojgiem dzieci i starą matką; że jest to najpoczciwszy człowiek pod słońcem, przyjaciel i dobroczyńca okolicznych chłopków, którzy doń idą, jakby do najlepszego ojca, po radę, po sąd, a wawet po chleb i pieniądze, a nikt bez pomocy nie wraca;—że nawet sam Paroch częste z nim miewa narady i wielce go poważa. Nie koniec na tém, Possesor z Czereśni, a nawet dziedzic z Pasiecznéj z całą rodziną bywają w gościach u niego; ba, i sam Graf nawet, co mu ten futor przedał, nieraz doń konno zajeżdża, a choć taki Pan wielki, nie wstyda się jednak witać go brat za brat, ściskać za ręce i w twarz całować! A ludzie wydziwić się nie mogą, że on w takich dostatkach i poważeniu, sam za pługiem chodzi, nosząc płócienną kapotę, żona do sierzpa i motyki staje, a dzieci nieraz trzody pilnują!

Naturalnie, że wszystko to jeszcze mocniéj ciekawość moję zaostrzyło, i że gotów byłem Bóg wie co uczynić, by tylko poznać tych ludzi.

Spełniło się wreszcie gorące pragnienie;

a chociaż to drogo okupiłem, po kres żywota Bogu dziękować będę, że mi to szczęście zdarzył.

Raz według zwyczaju, marzyłem na swojéj skale. Mój nieznajomy z dwóma parobkami kosił na łące; staruszka z kądziałką siedziała pod brzozami; dziatki biegały nad rzeką, wesoło ze mną szczebiocąc; przy dworku w warzywnym ogrodzie pełły trzy wieśniaczki, a przy nich spostrzegłem i nieznajomą swoję, którą nazywałem w myśli matką moich młodych przyjaciół, bo mi tak sądzić kazało nadzwyczajne ich do niéj podobieństwo.

Zosia, spostrzegłszy na stroméj ścienie skały jakiś świéżo rozkwitły kwiatek, z żywą radością klasnęła w rączęta, i z zaiskrzonemi oczkami, z płonącą twarzyczką, wskazując go braciszkowi, wołała:

—Olesiu! ach co za kwiatek! co za śliczny kwiatek! jeszcześmy takiego nigdy nie widzieli!... ach gdyby go do naszego ogródka!

I Olesiowi zabłysły oczki, któremi chciwie pożerał kwiatek. Przygryzając usteczka, przez chwilę w milczeniu spoglądał na skałę, a potém rzekł z powagą:

—Cóż ztąd, że piękny, kiedy go dostać nie można? A wreszcie dodał: gdybym był taki słu-

szny jak ten pan, tobym go już dawno miał w ręku!

Zosia, spuściwszy główkę, z pod łebka spoglądała na mnie, nie śmiejąc prośby wymówić; z westchnieniem tylko, z zakłopotaną minką, rzekła raz jeszcze:

— Ach co za kwiatek!... czemu bo ty, Olesiu, taki mały?...

Oleś dumnie wziął się w boki, i rzekł podnosząc główkę:

— Wyrosnę kiedyś, to ci nie takich kwiatków dostanę! Zerwę ci choćby i rododendron z Kordylierów!

Miarkujcie, co się ze mną działo po tych słowach Olesia?... — Zkądże, zawołałem, wiesz o Kordylierach i rododendronach?

— Z książek, odpowiedział Oleś niedbale, nie odrywając oczu od kwiatka. — A pan, czy nie wiesz, jak się ten kwiatek nazywa?

— Nie wiem, odrzekłem.

— Gdybym go miał w ręku, ciągnął daléj figlarny chłopak, tobym go zaraz *zdeterminował.*

Zdumiały, rozciekawiony nad wszelki wyraz, zszedłem ze skały przeciwnym, stoczystym jéj bokiem, okrążyłem podnoże i przeskakując po złomach sterczących w rzece, stanąłem przy

stroméj ścienie, naprzeciw podziwianego kwiatka. Skała pionowo sterczała w wodzie, gładka jak deska, gdzieniegdzie tylko nieco wyszczerbiona, jak mury twierdzy poświdrowane kulami, gdzieniegdzie nastrzępiona zeschłą gałązką brzozy lub tarniny.

A dziatwa skakała po brzegu, coś szepcąc, chichocząc radośnie i klaszcząc w dłonie.

— Dostanie! dostanie! kochany pan!... — dochodziło mych uszu.

Szczerze mi się chciało przysłużyć dziatwie; a przytém powstała we mnie jakaś dziecinna chęć popisu przed dziećmi. Czepiając się tedy suchych krzewów i wciskając noski butów w szczeliny skały, krzyżując się i wyciągając jak na torturze, dostałem się do kwiatka, wyrwałem go z korzeniem i zatknąłem sobie w zanadrze. Dziatki z wesołym okrzykiem, z tryumfem klasnęły w dłonie; a we mnie serce zadrżało, ale nie z radości... Łatwiéj było piąć się do góry, niżeli złazić; niepodobna było obrócić się plecami do skały, by patrzeć przed siebie, bo nie byłoby na czém stanąć obcasem; a zchodząc tak jak wszedłem, nie mogłem na oślep trafić do szczerbów, by o nie nogą zaczepić. Na dobitkę jeszcze, krzewy których się

chwytałem, pryskały w mych ręku!... Przyszło wreszcie do tego, że na wąziutkim szczerbie stanąwszy obiema nogami, a rękoma ująwszy się jakiegoś guza na skale, daléj już postępować nie mogłem. Nogi strudzone drżały podemną, ręce zakrwawione drętwiały od wysilenia, i lada chwila mogłem polecieć na złamanie karku.

Dzieci instynktowo pojmując moje położenie, same nie wiedziały co począć. Zosia płakała rzewnemi łzami, wołając: upadnie! upadnie! Oleś, nie tracąc odwagi, zrazu mię wspierał radami, krzycząc: — na prawo, na lewo, wyżéj lub niżéj! a wreszcie jak strzała puścił się do kosarzy, snać by ich do mnie na pomoc sprowadzić. Lecz nim nadeszli, już leżałem w wodzie, szczęściem nie głębokiéj, na ostrych odłamach skały, ze skrwawioną głową i zwichniętą nogą; obecność ich na to się tylko przydała, że mnie obumierającego z bolu, na ręku zanieśli do dworku.

Poczciwi mieszkańcy cichego dworku, otoczyli mię najtkliwszą troskliwością, jak gdyby kogoś z własnéj rodziny albo najlepszego przyjaciela. Złożono mię na wygodnéj pościeli, przebrano w suchą bieliznę, staruszka opatrzyła rany mo-

jéj głowy, Marcin krew mi puścił i czém prędzéj wyprawił parobka najżywawszemi mucykami, po słynnego *Kostoprawę*, który téż wkrótce nadjechał i nogę mi nastawił. Tak opatrzony starannie i napojony łagodzącemi ziółkami, po kilku godzinach straszliwéj męczarni, uspokoiłem się nieco, a wreszcie zasnąłem.

Ocknąwszy się, spostrzegłem u swego węzgłowia poczciwego Marcina, którego tak pokochałem przy pługu; lecz wydał mi się gorączkowém widmem, bo siedział zanurzony w czytaniu, i piękne jego czoło promieniało głęboką rozwagą. Zdziwiony, przetarłem oczy, lecz widmo nie znikło. — Miałżeby to być jaki nowy Ostap—Bondarczuk, pomyślałem sobie, i z wysileniem podniosłszy się i osiadłszy na łożu zdumione spojrzenie utkwiłem w obliczu nieznajomego.

Poruszenie moje przerwało jego czytanie; odrzucił księgę i z troskliwością w twarzy zwrócił się ku mnie, pytając, czy mi nie potrzeba czego.

Z głębokiém wzruszeniem dłoń mu podałem, dziękując za dobrotliwą opiekę, i przepraszając za przyczyniony kłopot. Oznajmiłem się, kim byłem, i poprosiwszy o posłańca do p. P., na

podanéj ćwiartce papieru napisałem słów kilka do marszałka dworu, donosząc mu o swym wypadku i prosząc by przysłał po mnie jaką bryczynkę.

Nadeszła wkrótce matka Marcina z jakiemiś ziółkami, i usiadłszy na jego miejscu przy mnie, kazała mi wypić przyniesiony napój, a zaleciwszy spokojność, zajęła się dzianiem pończoszki.

Przekonałem się, że już gorączka zupełnie mię opuściła, ale ból srodze dojmował i nie dozwalał mi zamknąć znużonych powiek. A więc zacząłem oglądać bacznie miejsce mojego pobytu, i rozważając w myśli wszystkich i wszystko, co mię otaczało, dociekać tajemniczéj nadzwyczajności, którą tu spostrzegałem dokoła; ale napróżno tylko łamałem głowę, nie mogąc się żadnym zaspokoić wnioskiem.

W pokoju, gdzie mię złożono, był stół i kilka stołków lipowych, białych i aż lśniących od czystości; na ścianach, za szkłem w czarnych rameczkach, wizerunki znakomitych ludzi, między którymi najwięcéj naszych spółziomków; nad łóżkiem Najświętsza Panna Ostrobramska; na oknach wazony z kwiatami; podłoga jakby stół biała, i w każdym kąciku czysto, i porządnie aż miło; a w jednym rogu pokoju kilka-

naście półek zastawionych książkami. Nie byłoż tu nad czém rozmyślać?...

Wkrótce wrócił posłaniec i przywiózł karteczkę od marszałka dworu, który mi donosił, że JW. prezes kazał mi oświadczyć, iż jego pałac nie szpital.

Krew zakipiała we mnie na taką nieludzkość, uderzyła do głowy, otworzyły się rany, straciłem zmysły, i bez przytomności, w straszliwéj gorączce przeleżałem znowu calutką dobę.

Nazajutrz się ocknąwszy, czułem niezmierne wycięczenie, ale zupełnie przytomny byłem i doskonale pamiętałem odpowiedź p. P.; lecz ona już nie burzyła krwi we mnie i gniewu nie budziła w sercu, na którém tylko zimna zawziętość, jak obnażony sztylet, leżała.

Spostrzegłszy znowu przy sobie poczciwego Marcina, podałem mu dłoń osłabioną, i ponawiając najczulsze dzięki i przeprosiny, błagałem by mi najął podwodę, któraby mię odwiozła do szpitalu w przyległém miasteczku, objaśniając mu dla czego tak postąpić muszę. Nie powiedziałem tylko, że na tém jeszcze zakładam pewny rodzaj zemsty; bo myślałem sobie, że niktby tak nie postąpił, jak p. P., a więc gdy się postępek jego rozgłosi, opinia publiczna wymierzy mu zasłużoną karę.

Lecz Marcin z głębokim żalem zawołał:— Panie! nie rób mi krzywdy! bo krzywdę, śmiertelną krzywdę mi wyrządzisz, jeśli w tym stanie chatę moję opuścisz!... Cóżem ci złego zrobił, że chcesz gniew Boży sprowadzać na mnie? Bo gdybym śród pola napotkał bydle zranione, i nie wziął go na ręce, niezaniósł pod swoję strzechę, nie opatrzył ran jego; jużby mię Pan Bóg zgryzotą sumienia skarał. A cóż więc gdybym, jak ów Lewita, bliźniego w ciężkim razie opuścił!? Nie mów mi, drogi panie o kłopotach! Bogiem się świadczę, że z najszczerszém sercem, z najwyższą uciechą służyć ci chcemy!...

Milczałem, a on przenikliwe spojrzenie utkwiwszy w mych oczach, długo się we mnie wpatrywał, jak gdyby chciał z mojéj duszy skrytą myśl wydobyć; i zwolna tkliwy jego oblicza wyraz powlekał się posępną barwą, i przykry smutek miejsce rzewności zajął.—Daruj, mi panie,—rzekł wreszcie, jeśli ci się moja szczerość zbyt zuchwałą wyda; ale ona jest niewzruszoną regułą mojego życia. Oto mi się zdaje, że desperacką tą myślą natchnęło cię jakieś nieszlachetne uczucie, i że gdybym uczynił zadość twéj chęci, pewnobyś potém, wstydząc się i żałując za swój postępek, serdeczne zażalenie czuł

do mnie, żem cię od tego nie odwiódł. Nie bronię p. P., ale czyż jego nieludzkość może cię upoważnić do pogańskiéj mściwości? Czyż nie wiesz tego, że złych na to Bóg stworzył, by w sercu dobrych kwitły najszlachetniejsze uczucia pobłażliwości i przebaczenia?...

Rumieniec wstydu oblał mi oblicze, i nie mogąc wytrzymać jego czystego spojrzenia, zmieszany spuściłem oczy.

On tkliwie rękę mi uścisnął i rzekł z dobrotliwym uśmiechem: — Przebacz, kochany grzeszniku, i mnie i p. P., a nie uciekaj odemnie!... A wreszcie, — dodał wesoło, — wola czy nie — wola, zostaniesz, bo cię po prostu nie puszczę; a jak wyzdrowiejesz, to wtedy ci nie odmówię w niczém,—choćby i na ostre.

Zdumiony, wzruszony do głębi duszy, serdecznym uściskiem ręki podziękowałem mu za jego dobroć, i już nie było mowy o szpitalu. Bo gdy ochłonąłem nieco z uniesienia, nietylko przebaczyłem p. P., lecz nawet wdzięczny mu byłem, że po mnie przysłać nie raczył. Bo kto wié, czybym się inaczéj dowiedział, co zacz byli ci ludzie, co mię w coraz większe podziwienie wprawiali? Tak więc, nie zaprzeczona to prawda, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło.

Minęło dni kilka; dzięki troskliwéj opiece poczciwych moich opiekunów, zagoiły się rany méj głowy, i zdrów byłem zupełnie; ale wyjść z łóżka nie mogłem, bo najmniejsze poruszenie wywichniętéj nogi takim mię przejmowało bolem, że prawie zmysły traciłem. A więc dni całe leżałem, zajęty czytaniem wybornych książek i gazet, któremi p. Marcin mnie opatrywał. Czasami staruszka przychodziła do mnie z pończoszką na pogadankę, a jéj wesoły humor przy prostym a zdrowym rozsądku i staropolskiéj serdeczności, prawdziwie w zachwycenie mię wprawiał. Ale najwięcéj uciechy sprawiało mi towarzystwo miłych dziateczek. Dawna zażyłość nasza stała się najtkliwszém przywiązaniem; bo jakoś tak mi łatwo było zastosować się do ich myśli i uczuć, iż mogłoby się zdawać, żem tylko nie wiele od nich starszy braciszek. Nie zdołam wyrazić ile rozkoszy czułem w ich gronie! Cały skarb pamiątek z rodzicielskiego wyniesiony domu, skarb święty jak sprzęty ołtarza, skarb nieoceniony, który brudne wyziewy świata przedwcześnie rdzą już pokryły, w rozmowie z niemi wracał do dawnego blasku, do dawnéj czystości; dziecinniałem myślą i sercem, i dziecięce szczęście czułem w młodzieńczéj du-

szy... Widać, że pan Marcin to spostrzegł; bo dziatki zaczęły coraz częściéj do mnie przychodzić i coraz dłużéj ze mną się zabawiać. Ja im wystrzygałem z papieru różne figurki, robiłem z drzewa stoliki, stołeczki, wózki i t. p.; one mi opowiadały bajeczki, śpiewały piosenki, których nieprzebrany zapas siedział w ich główkach, lub wreszcie czytały mi na przemian, albo się popisywały z swoją nauką, która mię prawdziwie zdumiewała.

Wieczorem cała rodzina do mnie się zchodziła na parę godzin miłéj pogadanki; a z każdego zdania, z każdego słowa, z każdego ruchu moich gospodarstwa, znać było niezwykłe w tym stanie ukształcenie, któreby i na wyższym szczeblu społeczeństwa chlubném być mogło; a co większa, oparte na zasadach tak prawych, na moralności tak wzniosłéj, tak świętéj, że jeśliby w tak zwaném wyższém towarzystwie, choć jedna z dziesięciu rodzin była do téj podobną, wkrótce na ziemi rajskieby życie zakwitło!... To téż w owym domku było tyle szczęścia, tyle świętości, że po kres mego żywota pamiętać będę owych dni kilka, które w tym przybytku cnoty spędziłem.

Pani Marcinowa mogła mieć około lat trzy-

dziestu. Była to wysmukła, hoża brunetka, kształtnych rysów twarzy, z pełném ognistém okiem; a śniade jéj oblicze tchnęło taką szlachetnością, było tak pełne myśli i słodyczy, że raz na nią spojrzawszy chciałbyś już patrzeć i patrzeć! — Szlafroczek z domowego płócienka, pewnie własną ręką uszyty, pięknie rysujący jéj zgrabną kibić, biały jak śnieg kołnierzyk i rękawki, i polny kwiatek w lśniącym a gładko zaczesanym warkoczu: oto zwykły ubiór téj *zaściankowéj szlachcianki*, któréj i mowa pełna zdrowego sądu i nauki, i układ tchnący nadzwyczajną godnością, i anielska dobroć malująca się w każdym postępku, i miłość dla matki, męża i dzieci, i skrzętna gospodarność, i nieoceniona uprzejmość dla mnie, czcią i uwielbieniem przejmowały mą duszę.

I dzień cały tworzyłem najdziwaczniejsze domysły o téj rodzinie, układając dziwne o jéj losach powieści, i całą noc o niéj marzyłem, trawiony trudną do opisania ciekawością; lecz badać nie śmiałem! Nareszcie stało się zadość moim skrytym chęciom.

Jednego święta, kiedy staruszka, a z nią Marcinowa i dziatki poszły o parę mil na odpust, poczciwy Marcin dzień cały ze mną przepędził,

gawędząc o różnych różnościach, a najwięcéj o swojém wieśniaczém życiu. I w tak powabnych kolorach malował swe domowe szczęście, swój pracowity, skromny i cichy, a nieprzebrany w najczystszych uciechach, ziemiański żywot,— żem pomimowolnie, ze łzami w oczach zawołał:

— Boże mój, Boże! i czemuż nie mogę takiego szczęścia kosztować?!

On się dobrotliwie uśmiechnął i odrzekł:

— Zaiste nie pojmuję czemu? chyba z braku chęci.

— Bóg świadkiem, rzekłem, że pragnąłbym z całéj duszy, że osiągnąwszy je, nicbym nie pożądał więcéj! czemuż więc nie mogę?!...

— Pewno z braku woli, albo ze zgubnych uprzedzeń, z zamiłowania zbytków i zniewieściałości. Posłuchaj mnie, drogi mój panie, z uwagą a z cierpliwością; a jeśli w czémkolwiek cię moja mowa ubodzie, wybacz mi łaskawie, choćby przez wzgląd na to, że chcę ci drogę do szczęścia pokazać.

W milczeniu uścisnąłem dłoń jego, on tak zaczął mówić:

— Nie wątpię, że wszystko, co tutaj spostrzegasz, zadziwia cię swoją nadzwyczajnością; bo czyż inaczéj być może? W wieśniaczéj chacie

spotykasz rządność, czystość i miły porządek; w ubogich sukmanach—ludzi dość okrzesanych, dość oświeconych; bez zabobonności i przesądów, bo nawet od pługa i sierpa zabierających się do książki, do nauki swych dziatek i własnéj! I jakże nie masz się dziwić, zwłaszcza jeszcze widząc, że ludzie ci pod słomianą strzechą, noszący samodziałowe szaty, jedzący blaszaną łyżką z polewanych talerzy, przy wyższém nad stan swój ukształceniu moralném, — szczęśliwi, jak tylko być można w tém tu mizerném życiu! Jakże się nie masz dziwić, przybysz z wielkiego świata, gdzie szczęściem nie pokora, skromność i poprzestanie na swojém, lecz pycha, szalone zbytki, pieniądze bez pracy, ten straszliwy w ręku odwiecznego wroga ludzkości magnes, który w piekielną otchłań niebaczne serca pociąga!... Mówię to z głębokiém przeświadczeniem, bo sam na sobie tego doświadczyłem; bo nim stanąłem w tym przybytku szczęścia, w którym mnie dzisiaj oglądasz, nie mało trudu zaznałem na ciernistych drogach wielkiego świata, po których za zwodniczą marą goniłem!... Przekonasz się o tém z dziejów mojego żywota, które ci dla twéj nauki opowiem.

Jak ty, drogi panie, syn zubożałéj szlachty, oddany do szkół przez biednych rodziców, którzy ze swojéj uciążliwéj pracy ledwie się sami wyżywić mogli, czyszcząc buty i zamiatając izbę professorowi, zarabiałem na chléb powszedni; a zawczasu nauczony przez dobrego ojca, że od méj pilności cały mój los zależy, o głodzie i chłodzie karmiąc się i grzejąc zapałem do pracy, uczyłem się ochoczo, celując między wszystkiemi współtowarzyszami.

Niestety! celujący w naukach i obyczajach, najpiérwszy w całéj szkole, ileż to upokorzeń zniosłem, ile ucierpiałem, za to tylko, że rodzicom moim los nie dał szerokich włości, i że biedne ich dziécię ciężką a upokarzającą służbą wypłacać się musiało za stare łachmany i za okruszyny jadła i nauki.—Ile prześladowań, ile urągliwych przezwisk sypało się na mnie! Ekonomczuk, fagas, wodonos, wiecheć, gryzikostka, były najłagodniejsze!... a Bogiem się świadczę, żem nikomu nic złego nie zrobił, nikomu w drogę nie zaszedł; cichy i pokorny zawsze, rad każdemu pomódz, każdemu usłużyć, i za jeden przyjazny uścisk, za jedno życzliwe słówko, wszystko przebaczyć, o wszystkiém zapomnieć gotów!... Tak to wcześnie zacząłem kosztować

słodyczy, któremi nieszczęsna pycha cały świat zalewa!...

Ale po cztérech leciech usilnéj pracy, z nieopisaną radością, z prawdziwą rozkoszą serca, podziękowałem swojemu panu za jego chléb łaskawy, bom został wreszcie instruktorem! I jeszcze usilniéj, bo i nad sobą i nad drugiemi pracując, i jeszcze więcéj, bo srogie obelgi od własnych uczniów znosząc, nie tylko zarabiałem na życie, lecz nawet drogim rodzicom nieraz w potrzebie pomogłem. Ciężka to była praca dla piętnastoletniego chłopca; lecz ją opłacało hojnie uszczęśliwione serce pełne najwyższéj rozkoszy i szlacheckiéj chluby. O! byłem szczęśliwy, szczęśliwy nad wszelki wyraz! a cóż mam już mówić o szczęściu drogich rodziców!...

Minęły jeszcze trzy lata, i stanąłem u kresu mych szkolnych nauk, z najchlubniejszém świadectwem, ze złotym medalem, i kilkudziesięcią rublami oszczędzonego z instruktorstwa grosza. Rodzice, nieposiadający się z radości, sami nie wiedzieli co ze mną począć, co dla mnie obmyślić i jak pokierować daléj takiego wielkiego człowieka? Ja, wiedząc aż nadto dobrze, że dotychczasowa moja umiejętność nie może mi dać

tego świetnego losu, którego się dla mnie oni spodziewali z nauki, a polubiwszy tę naukę po Bogu i rodzicach nadewszystko w świecie, wybłagałem u nich, choć z wielką trudnością, pozwolenie udania się do Uniwersytetu.

Z podwójnym zapałem wziąłem się do pracy; bo wiesz, dobry panie, że nauka taki to napój, którego im więcéj człek pije, tém więcéj pragnie. Prawdziwy filozof, studując jedynie z miłości nauki, zapomniałem o materyalnych korzyściach, i wybrałem sobie wydział literacki, by się wykierować *na chudego literata*. Zapomniałem nawet i o tém, że w każdym innym zawodzie, nietylko sobie, lecz i społeczeństwu pożyteczniejszym być można. A wszystko oglądając w bengalskich ogniach młodzieńczego zapału, w literaturze uroiłem sobie najświetniejszą przyszłość; bo wówczas wielkie imię zdawało mi się najwyższą świetnością, a panowanie nad umysłem, najwyższą potęgą. I już mi się zdawało, że oto, doktorską purpurą okryty, potokiem złotéj wymowy porywam serca tłumu młodzieży, i z nowém pokoleniem, nową epokę w dzieje świata wprowadzam!... i świat mnie wielbi, i wawrzynem wieńczy, i wznosi dla mnie pomniki, i posągiem moim świątynię swojéj chwały

zdobi; a biédni rodzice moi na ziemi w raju się widzą!... Cóż za dziw, że zdumieli professorowie i koledzy geniuszem mię przezwali?... a jednak i tutaj u paniczów, przejętych zawiścią, pogardliwe przezwisko ekonomczuka nigdy mię nie opuszczało!... Rok tylko już miałem do ukończenia kursów, gdy przyszło mi na zawsze Uniwersytet opuścić. Jakiś magnat wołyński przybył do K. szukając dla swoich synów guwernera, któryby, prócz innych nauk, dobrze posiadał francuzki i niemiecki język, bo zamiarem jego było edukować dzieci podróżując po Europie. Professor do którego się udał, był moim najlepszym przyjacielem; a że ciągle marzył o wysłaniu mię za granicę, czém prędzéj przywołał mię do siebie, radząc bym się umówił z owym magnatem. — Kto wié powiadał, — czy ci się uda po ukończeniu nauk znaleźć sposobność zwiedzenia obcych krajów? ruszaj więc, szczerze ci radzę, a examen na stopień zdasz i za powrotem. Uszczęśliwiony nad wszelki wyraz, podziękowałem swemu dobroczyńcy za łaskawą opiekę, i niezwłocznie umówiwszy się z p. G. za 600 rubli rocznéj zapłaty, i oblatowawszy w sądzie zawartą na 7 lat umowę, któ-

réj, mówiąc prawdę, nawet nie czytałem, wkrótce opuściłem K.

Nie będę ci opisywał wszystkich słodyczy nauczycielskiego żywota, bo, i do jutra bym swojéj gawędy nie skończył; ale o niektórych muszę koniecznie wspomnieć, żeby ci dać jakiekolwiek wyobrażenie o tych ciężkich próbach, przez jakie w swém życiu przeszedłem.

Nie przypuszczam, by każdy nauczyciel tyle co ja miał znosić; nie wątpię, że inni za ciężkie swe trudy około nauki dziatwy, znajdują sowitą nagrodę w szacunku i przyjaźni rodziców, uważani prawie za członków rodziny, i jako tacy względnie traktowani. Lecz ja, niestety, trafiłem najnieszczęśliwiéj! Pan G. mniemał, że płacąc mi regularnie moję pensyjkę i karmiąc u swojego stołu, już wszystkich względem mnie obowiązków dopełniał. Nie przypuszczał sobie do głowy, by można było inaczéj mię traktować, jak *wolnego* sługę; żadnego współczucia, żadnéj nawet pozornéj grzeczności nigdy mi nie okazał; a bojąc się ubliżyć swojéj powadze, unikał nawet przydłuższéj rozmowy ze mną, ograniczając się tylko na zimném *dzień dobry,* i na imponujących informacyach względem nauki pana Erazma i pana Edgara, jak

przedemną swe dzieci nazywał. Zacna jego małżonka—to samo. Zawsze więc byłem w tym domu jak gość nie miły a nie proszony, którego tylko tyle, że za drzwi nie wypychają. Matka tylko p. G. przezacna staropolska matrona, litując się nad biédnym *paryasem*, starała się swoją dobrocią osłodzić mi tę gorycz, jaką mnie jéj dzieci poiły; ale poczciwa staruszka nie zawsze mogła iść za popędem swéj szlachetnéj duszy, bo państwo G. srodze ją trapili, dowodząc, że takie postępowanie zakałę czyni zacności ich domu!

Była guwernantka, takoż poczciwa i dobra istota, ale téj i patrzeć na mnie zabroniono. Tak tedy najczęściéj, nie miałem i słowa do kogo przemówić, bo, (o czém bez potrzeby ci nawet wspominam) nie prezentowano mię nikomu z gości i nikt się ze mną nie wdawał.

Gdybyż na tém koniec! ale i dzieci widząc jak mnie rodzice traktują, nie czuli się obowiązani szanować tego, kogo nie szanowali starsi; a jakie ztąd skutki, łatwo to pojmiesz: posłuszeństwa żadnego, przekora na każdym kroku, a nieraz i najdotkliwsza obelga. A gdy, nie mając prawa sam swawolę skarcić, wzywałem rodzicielskiéj powagi, tyle zyskiwałem tylko

żem się bez potrzeby kompromitował przed elewami swemi, których upor i złość radowały rodzicielskie serca, jako stałość charakteru, szlachetna duma i dowcip; a bezczelne kłamstwo nazywało się fałszywym wstydem!... Wszystkie więc ich występki, jako wypływające z tych chwalebnych źródeł, uchodziły bezkarnie. Gdy zaś uporczywie stanąłem na tém, by sprawiedliwość była wymierzona, gdy aż do tego doszło, że ukarano pana Erazma, lub pana Edgarda odmówieniem jakiegoś przysmaczku; mogłem być pewnym, że i sam takąż pokutę dostanę, że i mnie ominą cukry przy herbacie, wino przy obiedzie, lub cóś podobnego.

Nieraz téż zawziętość posuwano do tego stopnia, że umyślnie zaczynano przy mnie rozmowę, w któréj biédną szlachtę z błotem mieszano, dowodząc że co possesor to szachraj i pieniacz, co rządzca to złodziéj, ekonom to już po prostu łotr z pod szubienicy i t. d. i t. d. słowem, że klassa z któréj wyszedłem jest stekiem najohydniejszym deprawacyi!... A potém z innéj zaczynano beczki: wiedząc że mi droga ojczysta literatura, brano się do nicowania autorów naszych, dowodząc, że w ich utworach same niedorzeczności tylko, o których wstyd nawet wspomnieć!...

Miarkujże, jak to mię srodze bolało, zwłaszcza z początku, kiedy minęła już dziecinna łagodność i pokora, a nie przyszła jeszcze chrześcijańska cierpliwość i wyrozumiałość, kiedy krew młodzieńcza kipiała w sercu jak lawa w wulkanie! Z czasem opanowałem siebie i wyrobiłem w duszy niezmienne zasady życia, które przyniosły mi prawdziwe szczęście. Pojąłem, że najboleśniéj cierpiałem ztąd, że sam pyszny okazałem się na pychę drugich, i że sam sądząc się prawym, chciałem jak bocian świat czyścić; postanowiłem przeto w pokorze i cichości iść swoją drogą, nie apostołując i nie ciskając kamieni na grzesznych spółbraci, a strzegąc się tylko, by nie być dla nich zgorszeniem; i odtąd znalazłem prawdziwy spokój dla duszy.

Ale nim do tego przyszło, cierpiałem, srodze cierpiałem! i tak mi obrzydło życie w G., żem postanowił wreszcie pożegnać pana prezesa; tém bardziéj, że o podróży, dla któréj porzuciłem kursa uniwersyteckie, już ani mowy nie było. Po dwóch leciech tedy prosiłem pana prezesa, by mię uwolnić raczył od obowiązku, najgrzeczniéj mu tłumacząc, że do zawarcia z nim umowy skłoniła mię tylko nadzieja zwie-

dzenia obcych krajów, którą straciwszy, nie mogę marnować drogiego czasu, i muszę wrócić do przerwanych nauk, na których cały mój los polega.

— Najchętniéj,—odpowiedział pan prezes z jezuicką minką — nie myślę panu zagradzać świetnéj karyery.

— A więc pozwól mi pan wyjechać za parę miesięcy; bo nie chcąc robić przerwy w naukach dzieci, zaczekam na przybycie swojego następcy.

— O! nic to, panie — odrzekł mi prezes z słodziutkim uśmiechem,—możesz pan i dzisiaj dom mój opuścić!

— Bardzo panu dziękuję! — odrzekłem zdziwiony tą niezwykłą jego uprzejmością; proszę więc o kwartałową moję należność. Pan prezes dobył z kantorka 150 r. złożył je przed sobą na stole, i sięgnął do mego kontraktu, który z głęboką uwagą odczytywać zaczął. A potém, nagle uderzając się w czoło:

— Ach panie! zawołał jakby z rozpaczą,— przepraszam! stokrotnie przepraszam! ale, Bóg świadkiem, inaczéj postąpić nie mogę!... zresztą pewny jestem, że sam pan nie zechcesz popełnić niewdzięczności!... Obaśmy zapomnieli o je-

dnym punkcie kontraktu, błahym na pozór, ale dość ważnym w rzeczywistości. Oto wyraźnie stoi napisano: „jeśliby który z kontraktujących chciał zerwać umowę, winien będzie pieniężnéj kary dwa tysiące rubli srebrnych; która to summa zaliczy się do stałych funduszów Gymnazyum w Z."

I przeklęty kontrakt kładąc mi prawie na nosie, i wytrzeszczając oczy, rozczepierzywszy palce lewéj ręki, jak gdyby już do pochwycenia tych dwóch tysięcy, wołał:

— Niech pan czyta! wyraźnie jak wół!... Co? Ależ łaskawy panie, — jęknąłem struchlały,— wszakże ja sądzę, że mam dość ważne powody do zerwania umowy, i raczéj pan to ją zrywasz! Przez Boga żywego! krzyknął pan prezes, podskakując na krześle, — ja zrywam! ja zrywam! mój panie, miejże Boga w sercu! nietylko dla dzieci, ale i dla wnuków swoich radbym pana trzymać!... ja zrywam!...

— Ale pan mi dajesz tyle powodów!...

— Powody! powody!... tu nic o powodach nie ma; tylko wyraźnie stoi o 2,000 r. s. Stałem osłupiały w milczeniu; prezes znowu usiadł, zgarnął przygotowane pieniądze do biurka i znowu zanurzył się w kontrakcie. Po chwili zwracając się ku mnie, rzekł z nizkim ukłonem:

— Czekam decyzyi pańskiéj. Pozostaje abyś mi pan dopłacił 1,850 r. s., które natychmiast odeszlę do Z., z wiadomością o uwolnieniu się pańskiém. W przeciwnym razie... daruje mi pan... ale... zmuszonym będę... przykro mi to wymówić... przyaresztować pana!

Załamał ręce, zamrużył oczy i wykrzywił usta; a po chwili rzekł znowu:

— Bo to, łaskawy panie, rzecz nie moja, to rzecz publiczna; ja tu na stronie!

Cóż miałem począć? Zostałem! zrezygnowałem się jeszcze lat pięć przepędzić w tém piekle i zdać się na łaskę Boga i prezesa. Oprócz wspomnianych już powodów, które mię zmuszały do opuszczenia G., miałem jeszcze jeden, może w ówczesném usposobieniu mojego umysłu, ważniejszy dla mnie od wszystkich innych, o którym tylko Bóg wiedział w Niebie a ja na ziemi. Pan prezes, oprócz dwóch synów, miał jeszcze dwie córeczki, o których mentorce już wspomniałem. Była to młoda Polka, córka emigranta, który się ożenił w Paryżu, i po kilkunastu leciech pożycia z ukochaną małżonką, po kilkunastu leciech najwyższego poświęcenia, spędzonych w najuciążliwszéj pracy dla wyżywienia żony i jedynego dziecięcia, a późniéj i dla

wychowania tego ostatniego, nagle opuścił oboje dla przyczyn nieodgadnionych. Serce kochającéj żony, instynktem odgadło gdzie go szukać, i bez wahania się w ślad za nim poszła ze swoją córką; a po dwóch leciech wędrówki, spoczęła nareszcie snem wiecznym przy grobie ulubionego, zostawując biedną Paulinę w najokropniejszém sieroctwie! Na szczęście, pod ten czas, jedna szanowna niewiasta wracała do kraju, i zabrała ją z sobą na Wołyń, spostrzegłszy z jéj opowiadania, że jeden z tamtejszych panów, był bardzo blizkim krewnym jéj ojca, bodaj, że nawet rodzonym bratem. Wróżyła ztąd szczęście dla biednéj sieroty; ale niestety, jakże się srodze zawiodła! Pan X. z oburzeniem odepchnął cisnącą się do stóp swoich synowicę, zwąc ją włóczęgą i jeszcze gorzéj!... więc zacna jéj opiekunka została jéj matką, starając się wszelkiemi środkami srogi jéj los osłodzić, i poświęcając się dla niéj, jak dla rodzonego dziecka.

Lecz widok poświęcenia się tego najsroższą był męczarnią dla biédnéj Pauliny, która aż nadto dobrze wiedziała, choć jéj tego zacni opiekunowie nie okazywali, choć im to nawet może nigdy przez myśl nie przeszło, choć najtkliwszém sercem ją tulili, widziała powiadam,

że była nie małym ciężarem dla tych zacnych ludzi, którzy w tym czasie, przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności straciwszy prawie całą fortunę, szczupły kawałek gorzko zapracowanego chleba z nią jeszcze dzielić musieli!

Modliła się więc i płakała, błagając Boga o wsparcie; a wziąwszy mocne postanowienie, z siłą charakteru niezwykłą w dziewicy jéj wieku, zdołała wreszcie pozyskać, czego pragnęła. Pani G. zaprosiła ją bardzo grzecznym listem na guwernantkę do swych córeczek, ofiarując 400 r. s. rocznego wynagrodzenia. Uszczęśliwiona Paulina, ze łzami radości i żalu pożegnała swoich dobroczyńców, i właśnie rokiem przede mną przybyła do G.

Ach! cóż to za anielska była istota!... co to za rozsądek! co za serce! jaka szlachetność myśli i uczuć! jakie ukształcenie! a przytém co za słodycz, skromność i prostota! Nic już ci nie mówię o wdziękach; była cudownie, niebiańsko piękna, bo tak piękna dusza najniekształtniejsze ciało w niebiańską piękność ustroi... a przytém, wyznam ci szczerze, nie przez śmieszną chełpliwość, ja jestem ślepy na cielesne wdzięki, znam tylko piękność rozumu i piękność dobroci. Paulina była anielsko dobra, więc anielsko pię-

kna; i w dzikim tym stepie, jaki w G. spotkałem, ona była dla mnie zieloną palmą w pustyni! Wzrok mój z serdeczną uciechą spoczywał na jéj obliczu; a jéj błoga postać tonąc w méj duszy, w snach i marzeniach moich łączyła się z gronem rajskich widziadeł, tłumnie ją wówczas zaludniających, nim wreszcie sama całéj nie zajęła.

Rok cały przeszedł, a między mną i Pauliną niebyło żadnéj zażyłości, bo jakem rzekł wyżéj, nietylko rozmawiać, lecz nawet i spojrzeć na mnie surowo jéj wzbroniono. Lecz i bez zakazu, skromna i cicha, nie strzelała oczyma; a więc i nie zważała pewno na współczucie moje. Ja zaś, znając całą jéj przeszłość, widząc z jaką anielską dobrocią postępuje z rozpieszczonemi i kapryśnemi elewkami swemi, jak czule wspomina i zmarłych rodziców i żyjących dobroczyńców swoich, z jak świętą rezygnacyą znosi niezliczone przykrości w domu prezesowstwa, płacąc im miłością za wszystkie zniewagi, jak współboleje z każdym cierpiącym, jak się unosi nad każdą cnotą, pokochałem niebiańską miłością tę niebiańską istotę. Ale tę czystą miłość zamknąłem w głębi swojéj istności, jak muszla swą perłę, którą jéj tylko z życiem ode-

brać można. Bo zrozumiawszy dokładnie stan swojéj duszy, upadłem na twarz przed Bogiem, wzywając pomocy; gdyż nie pojmowałem innéj miłości nad tę, dla któréj się wzywa Jego świętéj opieki, zaprzysięgając ją u Jego ołtarzy, a wiedziałem dobrze, iż moja taką być nie może! Nie mając gdzie spokojnie złożyć nawet i swojéj samotnéj głowy, jakże się mogłem odważyć przykuć do tego pręgierza, u którego los mię postawił, istotę droższą mi nad życie. A przytém, wówczas się nie rozstałem jeszcze z bujnemi marzeniami swemi o wielkiéj sławie, o uwielbieniu narodów; a więc i przez egoizm nie chciałem się wiązać wielkiemi obowiązkami męża i ojca, i postanowiłem zwalczyć namiętność swoję.

Minął rok drugi; położenie moje względem Pauliny nie zmieniło się wcale; lecz miłość doszła najwyższéj potęgi, bo jeszcze ją wzmogło srogie uczucie zazdrości.

W połowie tego drugiego roku prezes umówił do swéj dziatwy na nauczyciela tańców jakiegoś wędrownego Francuza.

Był to dwudziestopięcioletni wartogłów, piękny, układny, zalotny, pełen próżności i zarozumiałości, z wyparzoną gębą, z giętką szyją,

z wytartém czołem. Prezesowstwu niezmiernie się podobał; boć to zwykle u nas lada cudzoziemiec wyżéj jest ceniony od najpoczciwszego rodaka, tém bardziéj więc taki, co umiał każdemu pochlebić, każdego słabą stronę znaleźć i w nią uderzyć.

Niestety! on się i Paulinie podobał! z czego? napróżno starałem się dociec... może z przypomnienia ukochanéj matki, o któréj wiele jéj prawił, mówiąc, że znał ją bardzo blizko, często u jéj rodziców z swoim ojcem bywał i czule od niéj był kochanym; może z przypomnienia rodzinnéj ziemi, do któréj czuła zawsze mimowolny pociąg, a o któréj on z takim prawdziwie poetycznym zapałem deklamował; — wiem tylko, że biédne dziécię utaić nie mogło przywiązania swego! Wiem tylko, że zapromieniała przed memi oczyma, jak owa *lampa z kryształu, ubrana pęzlem w misterne obrazy*, ale nie przyćmiona pyłem i skazami, *z świecznikiem postawionym w sercu;* zapromieniała większym powabem, bo rozjaśnionym najżywszém uszczęśliwieniem, większą dobrocią, większą łagodnością i rezygnacyą; bo wszystkie te uczucia poświęciła miłość.

Przez dwa miesiące, codzień parę godzin spę-

dzając z panem Renardem na lekcyi tańców, nie posiadała się ze szczęścia; a gdy, należąc do jakiéj figury, wsparta na jego ramieniu, lice przy licach, łono u łona unosiła się w szalonych pląsach; jéj piękne oblicze jaśniało taką rozkoszą, jak gdyby w anielskich objęciach w niebiosa ulatywała!

A ja z rozpaczą w duszy, z czarną myślą w głowie, musiałem na to spoglądać, i żelazną kratą niezłomnéj woli otaczać swe serce, by z niego nie wypadła wściekła hyena zawiści!... Musiałem przez dwie godziny co dzień, nie odstępować swoich tańcujących uczniów, i jak przykuty, siedząc na krześle w ciemnym kącie salonu, obumierać z srogiego żalu!... fala łez wezbrana, zaparta w łonie, zdawało się że je rozsadzi!... piorun po piorunie uderzał w serce, błyskawice myśli paliły!... i tak przez dwa miesiące! okropność!... Nie tyle mię bolało to, żem tracił Paulinę, któréj ani serca nie posiadałem, ani ręki posiąść nie mogłem; lecz to mię w rozpacz wprawiało, że tak nieszczęśliwy uczyniła wybór biédna sierota, godna najwyższego szczęścia!

A jeszcze nieznośny Francuzisko, przyczepiwszy się do mnie z swoją natrętną przyjaźnią,

wybrał mię za powiernika swego! Chwalił się swoją zdobyczą, wypytywał się o zapasie pieniężnym i trochę o charakterze Pauliny. O jednym i drugiém powiedziałem prawdę. Uśmiechnął się na pochwałę charakteru, skrzywił się na brak pieniędzy, a po chwili dodał: to nic! dobre i 400 rubli na rok z tą laleczką!... a może coś się okroi po starych Zacnowskich...

Wyznaję szczerze, iż poznawszy dokładnie charakter tego człowieka, zrazu gotów byłem użyć wszelkich środków, by mu wydrzeć z paszczy niewinną ofiarę, i tysiąc projektów snułem we zburzonych myślach, żadnego jąć się nie mogąc. Chciałem Paulinie odkryć całą szkaradę jéj ukochanego; ale mi przyszło na myśl, że jéj tém nie uleczę, tylko bez potrzeby zranię. Chciałem Zacnowskim o wszystkiém donieść i błagać ich, by ratowali swą przybraną córkę, bo pan Renard, prócz innych zalet, był jeszcze ostatnim utraciuszem, szulerem i pijakiem; lecz po głębokim namyśle i tego zaniechałem, bo widziałem dobrze, iż miłość biedną Paulinę przez najczarniejszą przepaść powiedzie! A więc opuściłem ręce, i tylko słowa modlitwy Pańskiéj: *bądź wola twoja i zbaw nas ode złego*, ognistemi głoskami wyryły się na mojéj duszy.

Pod koniec drugiego miesiąca, Francuz otrzymał przyrzeczenie, i wtedy to postanowiłem opuścić G. Przypomnij sobie moję rozmowę z prezesem i pomyśl co miałem czynić?

Zostałem! i byłem na weselu Renarda z Pauliną, i przez dwa lata patrzałem na jéj męczeńskie z nim pożycie!

Nie doświadczyłeś, nie pojmiesz, i nie daj ci Boże doświadczyć i pojąć, ile wycierpiałem przez te dwa lata!... Paulina była żoną innego, miłość więc moja, występkiem! I Boga w pomoc wołając, wszelkiemi środkami nad jéj przytłumieniem pracowałem; ale wszystko napróżno!... Paulina, nieszczęśliwa a najlepsza żona, Paulina najczcigodniejsza matka, opromieniona dwiema nowemi najwznioślejszemi cnotami, czyż mogła nie być uwielbioną przeze mnie, com ją za cnoty pokochał!!!

Dni biegły za dniami, jam walczył, cierpiał i kochał.

Pan Renard nibyto mieszkał w G., lecz mówiąc właściwie, mieszkał na całym bożym świecie; bo spędziwszy kilka miodowych miesięcy z żoną, zabrawszy jéj półroczną pensyjkę, zostawił ją cierpiącą i strapioną, i ruszył w świat, jak mówił, na zarobki. Po trzech miesiącach

powrócił znowu, nie przywiozłszy ani zarobków, ani szeląga z pieniędzy żoninych; a znalazłszy w domu nowonarodzonego synka, zaprosił dwóch jakichś Szwajcarów na chrzciny, pobankietował, i znowu, zabrawszy resztki kwartałowéj pensyjki, ruszył na zarobki!... i tak przez całe dwa lata!

A biedna Paulina, kryjąc przed ludźmi łzy swoje, przy wzrosłych w trójnasób przykrościach ze strony prezesowstwa, tęskniąc za mężem, trapiąc się nędzną terazniejszością i smutną przyszłością, znosiła wszystko z nadludzką siłą, i za powrotem małżonka o wszystkich zapominała troskach, a z kilku dni z nim spędzonych, nabierała siły na kilka miesięcy nowych udręczeń! Nad elewkami swemi pracowała z podwójną usilnością, nie odpoczywając nawet i w święta, i tym sposobem starając się okupić chwile poświęcone swemu dziecięciu; dziécię to pielęgnowała z najtkliwszą troskliwością, i całe noce spędzała bezsennie, to u kolebki jego, to szyjąc dlań stroiki albo bieliznę dla męża, to sztukując dla siebie znoszone sukienki, to się krzątając w swoim pokoiku, czyściutkim zawsze, schludnym i ozdobnym, jak gdyby był przybytkiem rajskiéj szczęśliwości, to wreszcie we łzach Bogu się modląc.

A jednak pomimo tylu cierpień, pomimo takiéj niedoli, nikt z ludzi, nawet państwo Zacnowscy, najmniejszego śladu męczarni nie dostrzegli na jéj obliczu! Mówili tylko, że zmizerniała, że spoważniała!... ja jeden wszystko wiedziałem, wszystko przeczułem!...

Czasami gdy prezesowstwo z całą rodziną gdzie wyjechali, zachodziłem do niéj na godzinkę rozmowy. Witała mię z żywą radością, bo miała z kim rozmawiać o swoim małżonku, o swojém drogiém dziecięciu; bo zawsze słowo pociechy słyszała ode mnie. Ile mię to wszystko kosztowało, wiadomo Bogu; lecz cierpiałem chętnie, bo jedno uprzejme jéj spojrzenie najsroższe katusze hojnie opłacało, bom miał nadzieję wreszcie, że przyjaźń jéj pozyskam...

Pod koniec drugiego roku pożycia z Renardem, okropny cios ugodził w biedną męczennicę.

Z drugiém dziecięciem u łona, z utęsknieniem wyglądała swojego męża, który wyjechał w sąsiedztwo na polowanie, na dni parę, lecz cały tydzień nie wracał. Było to przed Nowym Rokiem; straszliwe mrozy i zamiecie panowały ciągle, i słuszną budziły w niéj obawę i smutne przeczucia. Jakoż dnia ósmego przywieziono Renarda w straszliwéj gorączce, w którą go wprawiły myśliwskie toasty i silne przeziębienie.

Wyobraź sobie rozpacz biednéj Pauliny, kiedy nazajutrz przywołany doktór nielitościwie jéj oświadczył, że stan jéj męża bardzo niebezpieczny, że jego choroba-tyfus!

Nie koniec na tém: poczciwy koleżka, szwajcar który go odwiózł do domu, bez ceremonii oznajmiwszy biednéj Paulinie, że mąż jéj przegrał mu w karty na słowo honoru 200 rubli srebrnych, domagał się, by mu je niezwłocznie wyliczono; a Renard, miotając się w malignie, wołał bezustanku:—zapłać mu! zapłać!... A tu ani grosza w zapasie! jak więc uniknąć bolesnego upokorzenia przed obcą osobą? jak uspokoić chorego?!...

Dobra i litościwa, a więc ufająca dobroci i boleści innych, nieszczęśliwa Paulina całą swoję boleść wypłakała przed prezesową, jakby przed rodzoną matką, jakby przed Bogiem, współczucia i pomocy żebrząc. Prosiła o 200 rubli na konto pensyi swojéj, i ledwie po najusilniejszych zaklęciach, wsparta pośrednictwem matki p. prezesa, otrzymała wreszcie te opłakane pieniądze, nasłuchawszy się tyle gorzkich wymówek i tyle upakarzających wniosków, że dla siebie saméj, gdyby nawet na okupienie życia téj summy potrzebowała, nigdyby jéj nie wzięła!... ale to było dla męża!...

Choroba gwałtownie się wzmagała; a dowiedziawszy się o jéj rodzaju prezesowstwo, którym przed kilką laty najstarszy syn umarł z tyfusu, łatwą do zrozumienia przejęci trwogą, zabronili Paulinie wstępu do swych pokojów, a mnie radzili żebym nie odwiedzał Renarda. Odpowiedziałem na to grzecznie i pokornie, że uczynić tego nie mogę, i prosiłem, by raczéj uwolnili mię na jakiś czas od obowiązku; na co, znów za instancyą matki prezesa, jakoś przystali. Tak więc, dzięki Bogu, prawie nieodstępnie mogłem nad biedną rodziną czuwać. Szkoda tylko, że Paulina, pełna szlachetnéj dumy, najtroskliwiéj taiła przede mną swoje nieszczęsne ubóstwo; a nawet o nikczemnym szwajcarze dopiéro w kilka miesięcy potém od prezesowéj się dowiedziałem.

Co zniosłem, przez jakie przeszedłem tortury, patrząc na cierpienia téj biednéj męczennicy, wypowiedzieć tobie nie zdołam!... Mąż najstraszliwszą chorobą złożony, jedno dziécię przy niańce chore na ospę, drugie na ręku matki w kokluszu; a na domiar nieszczęścia, ani grosza w zapasie na opędzenie tych niezliczonych potrzeb, które za sobą choroba prowadzi!... czyż to nie otchłań katuszy!.. A jednak ona

wszystko to znosiła z chrześciańską pokorą, bez rozpaczy, bez szemrania, płacząc i modląc się tylko. A nie upadając na duchu i rąk nieopuszczając, miała tyle mocy, tyle władzy nad sobą, że w dwóch szczupłych izdebkach, składających całe ich mieszkanie, pomimo męża i dwojga niemowląt chorych, pomimo piérwszego pokoiku z kominkiem obróconego w kuchenkę, zwykły porządek i czystość panowały ciągle: tylko dawniejszą świeżość powietrza zastąpiła mocna woń octu, dawniejszą elegancyą — jak najskromniejsza prostota; bo znikły piękne kobierce ze ścian i podłogi, znikły piękne serwety i cacka z jéj toalety, bo (dowiedziałem się o tém niestety, za późno!) wszystko to zabrała czarna godzina!...

Dzieci wróciły wreszcie do zdrowia; choroba męża straszliwie postępowała; i ani najtroskliwsze starania nasze, ani łzy i modlitwy, śmierci go wydrzeć nie mogły!... Umarł!... straszliwéj téj chwili już ci nie opowiem; bo niema słów w ludzkiéj mowie na wyrażenie tego nadludzkiego żalu! Pomijam więc wszystkie cierpienia duszy, wskażę ci tylko materyalną stronę, jedném ci słowem całe rozpaczliwe położenie oddam: oto nie było za co nawet trumny dla

umarłego zrobić!... Tu już dusza biednéj kobiéty, dotknięta tylą troskami, zdrętwiała, obumarła z żalu!.. łzy zakrzepły w sercu, modlitwa w uściech skonała... z bladem, marmurowem obliczem, z załamanemi rękoma, stała u śmiertelnego łoża jak posąg boleści, bez mowy, bez myśli, bez wiedzy!...

Sam więc zająłem się pogrzebem, i nazajutrz wieczorem odprowadziliśmy zwłoki do grobu. Z rodziny G. nikt na pogrzebie nie był. Prezesowstwo bali się zarazy i smutnych wrażeń; staruszka chciała poprowadzić dzieci, lecz jéj nie pozwolili; poczciwi tylko wieśniacy i służba dworska, u których nieszczęśliwa Paulina zawsze się zwała *dobrą panienką*, ze szczerem współczuciem, tłumnie się cisnąc do niéj i ręce jéj ze łkaniem całując, towarzyszyli nam na cmentarz i grób usypali wysoki.

Minęło jeszcze dni kilka i pozwolono mi wreszcie znowu się zająć chłopcami, a biednéj Paulinie wrócić do panienek... Pocieszali ją łaskawi państwo po swojemu, łagodnie napominając za nierozsądny związek i wspominając błędy nieboszczyka, lub wreszcie strasząc smutną przyszłością sierot!... a wszystko to w najlepszych intencyach!

Wszystkie te straszliwe wypadki, wszystkie te cierpienia dziwnym sposobem na stan méj duszy wpłynęły. Zacząłem się głębiéj zastanawiać nad położeniem biednéj Pauliny, nad jéj i swoją własną przyszłością. Widziałem aż nadto dobrze, iż ona nie znajdzie szczęścia na świecie, jeśli nie wyjdzie z terazniejszego stanu, a wyjść z niego nigdy nie zdoła; że biedna jéj dziatwa, drogi ale najsroższy ciężar, nic prócz niedoli w życiu nie spotka; że i ja wreszcie, idąc daléj tą drogą, na któréj niebacznie stanąłem, steram wiek swój cały bez pożytku ludziom i sobie. Piérwsze moje stosunki z wyższém towarzystwem, tak mię zraziły, tak wyczerpały siły mego ducha, żem nie czuł już mocy do dalszéj walki z tylą zawadami. Wszystkie świetne nadzieje na przyszłość osypały się z méj duszy, jak liście z drzewa zwarzone piérwszym przymrozkiem; wielkość i sława, co jak orzeł nad Tarkwiniuszem krążyły nad moją głową, jak orzeł spłoszony strzałem, uskoczyły w obłoki, przepadły w chmurach; a oczy znużone wpatrywaniem się w niebieskie szczyty, poszły po ziemi!... zprozaiczniałem zupełnie; i jak rycerz raniony w piérwszéj potyczce, innym zostawiłem świetne wawrzyny zwycięztwa, a sam zapragnąłem pokoju...

Pokoju! lecz jakże go znaleźć?!... Z rozpaczą uderzyłem się w czoło!... Zeszły cztéry lata, pełne upokorzeń i najuciążliwszéj pracy; a po nich nic nie pozostało, prócz goryczy w sercu, któréj podówczas jeszcze nie osładzało przekonanie, że one mię nauczyły chrześciańskiéj pokory i cierpliwości. Pieniądze, jeden z najgłówniejszych zewnętrznych warunków doczesnego szczęścia, z wiatrem uleciały!... I włosy mi na głowie powstały, gdym wspomniał sobie, że w przeciągu lat cztérech, straciłem 2,400 r. s., straciłem bez żadnego śladu!... Powiodłem wzrokiem dokoła, i jak groźni świadkowie na strasznym sądzie, stanęły przed sumieniem mojém wszystkie zbytkowne otaczające mię sprzęty, wszystkie nieużyteczne cacka zawalające stoły, kobierce na ścianach i na podłodze, kosztowne cybuchy, a przy nich pudełka z tytóniem i cygarami; i wnet powstał w méj duszy obraz rodzicielskiéj chaty, gdzie wszystkie meble z lipowego drzewa, gdzie najcelniejszą ozdobą, najkosztowniejszym sprzętem — Najświętsza Panna w złoconych ramach, nad łożem matki, i srebrny krucyfix na stole, białym obrusem zasłanym!... Spojrzałem na siebie, zliczyłem pieniądze wydane na swój codzienny ubiór, i wypadło sto

rubli, nie licząc zegarka i różnych błyskotek, nie licząc płaszcza i futra! Przypomniałem sobie swego lokaja, któremu 60 rubli płaciłem i cienkie dawałem suknie; i powstał w méj duszy sędziwy starzec w bajowéj staréj kapocie, z posiwiałą głową, z troską w obliczu pokrytém zmarszczkami... to ojciec mój!... to ojciec mój najdroższy, co za rok uciążliwéj pracy tyleż co mój lokaj bierze, i imię złodzieja nosi!... Zabolało mię w sercu, zaszumiało w uszach, pociemniało w oczach, i padłem jak martwy na twarz przed obrazem Zbawiciela świata.

Powstawszy po krótkiéj, ale gorącéj modlitwie, uczułem się zupełnie innym człowiekiem, i mocno przedsięwziąłem poprawę życia.

Niezwłocznie sprzedałem wszystko, co tylko mogło mi przypomnieć nieszczęsne zbytki, w których naśladowałem pana G.; zapomniawszy o tém, że moja pensyjka ledwie tysiączną częścią jego dochodów była,—i z przedaży téj zebrałem 600 r. s.; a 1,800 przepadło bez wieści! wyjąwszy jakąś cząstkę, posłaną biednym rodzicom i włożoną w księgi, wszystko się zdarło z gałgankami, ulotniło się z perfumami, rozwiało się z dymem, przejadło się w przysmaczkach!... zgrozo!

Wypędziwszy tedy fałszywych przyjaciół, zostałem tylko z prawdziwymi: dębowy tapczan z czystą, ale ubogą pościelą, pod oknem czarny lipowy stolik, na nim szklanny kałamarz i mosiężny lichtarz, tuż prosty stołek, w kącie dębowe półki na książki, zamiast dawniejszéj mahoniowéj szafy, — oto wszystkie sprzęty; a na gołych ścianach, obraz Chrystusa i drewniany zegar — całą ozdobą.

Podziękowawszy Bogu za święte natchnienie, uczułem się zupełnie spokojnym na duszy; a zgroza, budząca się w sercu na każde wspomnienie mojego przeszłego życia, była mi dostateczną rękojmią, że w dawne błędy nie wpadnę.

Mój Boże! jak się to w każdym ludzkim kroku sprawdzają święte Zbawiciela słowa: *w cudzém oku dźbło widzisz, a w swojém nie widzisz tramu!* Ja, co z taką zawziętością powstawałem zwykle na zbytki wielkich panów, co, licząc zmarnowane przez nich pieniądze, piorunowałem, wskazując ile to rodzin mogłoby cały wiek swój przeżyć za summy strwonione w jednym tylko roku przez jednę elegantkę, przez jednego hulakę; ja sam, w przeciągu lat cztérech zmarnowałem summę, na którą mój rodzony

ojciec musiałby 30 lat krwawo pracować, którą mając w ręku, 30 lat z żoną spędziłby bez trosk i trudów!!! Jedna myśl tylko zmniejszała moję zgryzotę; strwonione pieniądze sam zapracowałem, i na żadnym groszu krzywda ludzka nie ciężyła, żaden grosz do krzywdy się ludzkiéj nie przyczynił!...

Lecz wracam do rzeczy. Urządziwszy się jakem rzekł wyżéj, postanowiłem odtąd, przez te trzy lata które jeszcze musiałem służyć prezesowi, ani jednego grosza nie zmarnować, zaspakajając tylko nieodbite potrzeby. Zamiast kosztownego lokaja, przyiąłem małego chłopca za pięć rubli, zbytkowne futro zastąpiłem burką ukraińską; a w świątki i piątki chodziłem w jednym ubiorze, dbając tylko o jego czystość, a nie zważając na łaty. Wyrzekłem się nawet fajki i cygar, woląc obrócić na książki te kilkadziesiąt rubli, które dawniéj z dymem puszczałem. Gdy zaś napadała mię czasem jaka pokusa do luxu, natychmiast przywodziłem sobie na myśl skromne życie drogich rodziców swoich, i tém ją odpędzałem, jak szatana krzyżem.

Zresztą podwoiłem pracę i pilność w prowadzeniu dzieci; wszystkie prześladowania znosiłem z pokorą i uległością, troskliwie się stara-

jąc, by czém nie obrazić lub nie rozgniewać swoich pryncypałów, by nawet ich kaprysom dogodzić. Przestałem apostołować i karcić innych; a każdą razą, gdy w bliźnim jaki występek spostrzegłem, zaraz na siebie obracałem oczy, azali i sam nie jestem krzywy? Gdy zaś pomimo téj pokory i cichości, jeszcze mię spotkała czasem dotkliwa obraza, gdy w sercu warem zakipiała krew młoda; wnet budziłem w duszy wspomnienie o swych rodzicach, narażonych na stokroć boleśniejsze upokorzenia, na stokroć krwawsze obelgi! o rodzicach, których już dawno powinienem był wyrwać z takiego stanu, a dotąd nie wyrwałem przez niedarowaną lekkomyślność! I gniew uwięziony w sercu, rzucając się wściekle, szarpał je i ranił, lecz w końcu ucichnąć musiał. Gdyż postanowiłem po trzech leciech wyzwolić z więzów niedoli siebie i rodziców, i jeszcze kogoś, gdyby Bóg dopomógł; postanowiłem, — i nie było rzeczy, nie było uczucia, z któregobym nie zrobił ofiary dla dokonania postanowienia tego.

Tymczasem Paulina, w cichym pogrążona smutku, zawsze dobra, łagodna, tkliwa, zawsze anielsko piękna anielskiemi przymiotami duszy, pracowała wszystkiemi siłami nad ukształceniem

swoich elewek; i—cóż pan powiesz? cuda czyniła! Rozpieszczona, zepsuta dziatwa, nienawistna wszystkim sługom i domownikom, okrzyczana w całéj włości i w całém sąsiedztwie za wcielonych djabłów, wkrótce tak się zmieniła, że dawna nienawiść przeszła w najwyższe, powszechne uwielbienie!

Ja mniéj szczęśliwym byłem, czy to dla tego, że mi się twardsza dostała rola, czy raczéj dla tego, że nie byłem świętym jak ona; jednakże wiele wad w chłopcach wykorzeniłem, i jeślim nie dał z nich społeczeństwu ludzi użytecznych, tom przynajmniéj ochronił je od szkodliwych. A najsłodszą nagrodą za nasze trudy było nareszcie tkliwe przywiązanie naszych wychowańców i powszechny szacunek, którego nawet państwo prezesowstwo odmówić nam nie mogli, jakkolwiek z góry na nas patrzyli.

Lecz wracam do Pauliny. Czy to dzięki rozmowom ze mną, czy macierzyńskiemu sercu, zatrwożonemu smutną przyszłością dwojga sierotek, i ona się zaczęła ograniczać w swoich wydatkach, odmawiając sobie wszelkich przyjemności życia, a najtroskliwiéj zbierając grosz do grosza.

Tak zeszły nam dwa lata. Miłość moja ku niéj najmniejszéj nie uległa zmianie; a choć wzajemności nie miałem, szczęśliwy byłem samą jéj przyjaźnią, nie mogąc więcéj wymagać od serca zranionego tak srodze.

Nastał rok trzeci, który miał być rokiem mego wyzwolenia. Z tęsknotą i niespokojnością wyglądałem ostatniéj chwili; z tęsknotą i niespokojnością, bo nie wiedziałem czy moje najgorętsze życzenia pomyślny skutek uwieńczy...

Musisz już się domyślać, że większa połowa mojego szczęścia od Pauliny zawisłą była? Tak, drogi panie! na grobie jéj męża, u kolebki jéj dziatek, przysiągłem czuwać nad jéj losem, całe swe życie poświęcić dla niéj; i odtąd posiadanie jéj kiedyś i uszczęśliwienie stało się jedyném mojém marzeniem, jedynym celem mojego życia! Szanując świętość jéj żalu, przytém nie zdolny do wymownych zalecanek profanujących święte uczucie, nie narzucałem jéj swojéj miłości, nie prześladowałem jéj ani wzrokiem, ani westchnieniem; poświęceniem się tylko bez granic, odgadywaniem jéj najmniejszych chęci i troskliwością o nią i jéj dzieci, starałem się dowieść mego przywiązania i przyjaźń jéj zaskarbić. Ale ani ja o jéj planach na przyszłość, an

ona o moich nic nie wiedziała; bośmy nigdy bez świadków nie rozmawiali, a przy obcych nie sposób nam było zwierzać się sobie w tajemnicach swoich. Ja tylko, na wspólnych spacerach z dziećmi, sprowadzałem zwykle rozmowę na swój ulubiony przedmiot, na szczęśliwe życie zagrodowego szlachcica, a nawet gospodarnego chłopa, i unosząc się nad ich błogim bytem, ciągle powtarzałem: że jeśliby człowiek z ukształconym umysłem i sercem, mógł zrobić ofiarę z próżności i zbytków, mógł ograniczyć swoje potrzeby, mógł wreszcie zerwać stosunki ze światem do którego lgniemy z nałogu, jak pijak do zgubnego trunku, a w którém każdą przyjemność musimy opłacać tysiącem nieraz boleści, zdala od niego i w cichéj ustroni, chodząc za pługiem na kilkunastu własnych zagonach, szczepiąc owocowe drzewa, hodując pasiekę i trzódkę, i nie myśląc o składaniu skarbów, dwa razy dłużéj wiele w szczęśliwościby przeżył, niż tu w ciągłych troskach;—i stokroć użyteczniejszym byłby społeczeństwu, stokroć milszym Bogu, w ciemnym zakątku rozszerzając przez styczność z wieśniakami moralność i prawdziwą oświatę, niż na wielkim świecie, przez styczność z oświeconymi, wypalając w sobie

wiarę, a z nią wszystkie szlachetne uczucia. Zwracałem wreszcie jéj uwagę na kilku możniejszych gospodarzy we włości prezesa, którzy pomimo ciężkiéj pracy żyli w błogim bycie i drugich jeszcze wspierali, a nawet zapas pieniężny mieli.

Uniesienie moje czasami uśmiech na jéj miłe usta wywoływało, czasami rumieńcem bladą twarz krasiło, płomyk zapalało w oczach. Z początku czyniła mi wiele zarzutów; utrzymywała, że niepodobna byłoby się obejść bez towarzystwa, do którego się przywykło. Ja jéj wyliczyłem wszystkie gorycze, któremi tak hojnie ono nas napawa, dodając wreszcie, że i pod słomianą strzechą mógłbym gości przyjmować, z tą tylko różnicą, że ktoby tam do mnie zawitał, tenby mnie szukał dla mnie samego, nie zaś dla mojego stroju, dla méj pieczeni lub kufla; a co większa, tam niktby do mnie nie przyszedł po to, by mnie upokorzyć i skrzywdzić swoją pogardliwą dumą, czego uniknąć nie mogę, żyjąc nie w swojéj sferze. Wspomniała o umysłowém życiu, które konając zwolna bez pokarmu, mogłoby całą moralną stronę człowieka o śmierć przyprawić. — Alboż to — rzekłem dla życia umysłowego nie ma innego pokarmu

nad te martwe książki, nad te jałowe gawędy naszego świata? O! wierz mi pani, że bez porównania wyżéj człowiek wznieść się może, starając się dać poznać prostaczkom najświętszą a najprostszą prawdę, niż się zaciekając w filozoficzne badania. A gdy już koniecznie potrzeba książek i gazet, sądzę, że taki gospodarz jak np. tutejszy Omelko, który ma, jak mówią, kilkaset rubli gotówki, mógłby się na nie zdobyć, gdyby czuł ich potrzebę. — Lecz jakiż los dzieci? — zawołała wreszcie. — Taki jak i rodziców, — odrzekłem; z tą tylko różnicą, że w razie gdyby im świat dokuczył, mieliby gdzie uciec od niego; bo nie ma, jak własna chata!

Takiemi rozmowami ciągle powtarzanemi, wtajemniczałem ją niejako w projekta moje. Co raz mniéj mym zdaniom przeczyła, a z tęsknym uśmiechem słuchając moich uniesień, nieraz westchnieniem odpowiadała na nie. Wreszcie jednego razu wyrzekła: „O czemuż mój Stefan nie zapragnął takiego szczęścia!”

Dusza ma w siódme uleciała niebo!... gotów byłem rzucić się do nóg temu aniołowi, i płacząc i modląc się jemu, wołać: podziel takie szczęście ze mną!

Wróciłem do domu upojony radością nad

wszelki wyraz, i tegoż wieczora posłałem list do Pauliny, donosząc jéj o kupionéj zagrodzie, i najdokładniéj opisując wszystkie swe zamiary i złote plany na przyszłość; zaklinając wreszcie, by, jeśli czuje w sobie dość mocy do wyrzeczenia się społeczeństwa, w którém dotąd żyła, do zniesienia życia ogołoconego ze wszystkich marnych błyskotek, zechciała mię przyjąć za dozgonnego opiekuna dla siebie i dla swoich dzieci.

Odpowiedź, któréj oczekiwałem jak obżałowany ostatniego słowa wyroku, przyszła tegoż wieczora, i raj przyniosła dla mnie, w którym dotąd żyję. W prostych wyrazach, bez fałszywéj skromności i drożenia się, dobra Paulina odpowiedziała, że się czuje zdolną do uczynienia ofiary z tego towarzystwa, w którém ucierpiała tyle, i że z najzupełniejszém zaufaniem oddaje się ze swoją dziatwą pod mą opiekę, za zdarzenie któréj, z głębi swéj duszy Bogu dzięki składa. Boi się tylko, bym nie żałował potém, spostrzegłszy jak złą i niedoświadczoną gosposię dostałem; a zresztą nie poszczędzi trudu na okupienie spokoju znękanéj duszy.

Skończył się wreszcie siódmy rok mojéj niewoli; wprowadziłem swoich elewów do Uniwer-

sytetu z niezmierném ukontentowaniem prezesa, który na znak swéj łaski darował mi trzy łokcie sukna na surdut. Przyjąłem podarunek z prawdziwą wdzięcznością, jako drogi dla mnie dowód jego zadowolenia.

Opuściwszy G. natychmiast udałem się do konsystorza po indult; potém ruszyłem na Podole urządzić swój domek na przyjęcie mego najdroższego skarbu, a raczéj skarbów; a ztamtąd na Białoruś do swoich rodziców, od których przez dwa już lata żadnéj nie miałem wieści, wysyłając list po liście napróżno.

Przybywszy do majątku, w którym mój ojciec zostawał na służbie, zapukałem do drzwi rodzinnego choć nie rodzicielskiego domu; lecz z wielkiém mojém zdziwieniem, nie zastałem tam swych rodziców, ani śladu po nich.

Na progu siedziała zachmurzona staruszka, w któréj poznałem dawną piastunkę swoję sam nie poznany od niéj. Nie powiadając jéj kim jestem, spytałem ją o swego ojca.

— Och! mój miły panie!—zawołała ona, trzęsąc siwą głową i łzy ocierając końcem namiotki,—co mię o to pytasz nieszczęśliwą?! idź lepiéj do pałacu, a spytaj tego bezbożnika, któremu on biedny, wiarą a prawdą a wszystkie-

mi siłami, cały wiek swój służył, jego ty spytaj, jaką mu zapłatę dał na stare lata? jaką mu nagrodę zgotował?!... oj biednieńkie moje gołąbki! takiéjże to wam doli dożyć było trzeba!...

I łamała ręce, i płakała rzewnie nieboga. Obumierając z trwogi, zawołałem:

— Na miłość Boga! cóż się z nimi stało?!

— *Pan już pomarł.—„A pani?"*

— Oj, miły panie! Kiedyżbo serce pęka, jak wspominać o tém!...

Póki mu do pracy siły nie brakło, to był on u pana i poczciwy i dobry; a jak mu Pan Bóg ciężką niemoc zesłał, tak stał się niepotrzebnym hultajem, do niczego: i nietylko, że mu pożałował kawałka chleba, ale nawet i z chaty wyrzucić go kazał! Biedaczka Jmość, przedawszy co tylko miała, zawiozła go do miasta do doktorów. Tam rok calusieńki przeleżał cherlając, a wreszcie, wszystko na leki straciwszy, Bogu ducha oddał!...

— A żona? krzyknąłem w rozpaczy,—a żona?

— Ona nieboga, zostawszy bez grosza przy duszy i bez siły do pracy, do szpitala poszła na stare lata sieroce!

I twarz ukrywszy w fartuchu, rzewnie szlochała poczciwa staruszka.

Piorunem wypadłem z izby, jak szalony, pełen wściekłości, bez myśli pędząc przed siebie, sam nie wiedząc gdzie i po co? Chłodny wiatr marcowy wrócił mi przytomność. Byłem śród lasu, na znajoméj mi drodze do powiatowego miasta, w którém mój ojciec umarł, gdzie moja matka w domu Dobroczynności nędzny żywot wlekła!... Z srogiego żalu, z rozpaczy, ani łzy jednéj uronić nie mogłem, bo płomień straszliwy serce mi pożerał!... Z głuchym, dzikim jękiem powlekłem się przed siebie.

Dopytałem się domu Dobroczynności, znalazłem matkę przy życiu, i dopiéro u nóg jéj drogich łzy mi hojnym potokiem rzuciły się z oczu i ulgę sercu przyniosły... Lecz po cóż ci mam opisywać uczucia, do opisania nie podobne, stygnące i blednące w słowach?...

Nazajutrz, pomodliwszy się z matką na grobie ojca, zabrałem ją z sobą i udaliśmy się do téj chaty, w któréj znalazła spokój i szczęście, nieznane jéj do owego czasu.

Spędziwszy przy niéj parę tygodni, sprawiwszy jéj *święcone* we własnym domu, którego całe życie nie miała, oddałem pod jéj opiekę całe gospodarstwo, i ruszyłem znowu na Wołyń z jéj błogosławieństwem. A drugiéj niedzieli

po Wielkiejnocy, już ten cichy domek wszystkie moje skarby, całe moje szczęście mieścił pod swą strzechą.

Założyłem swe szczęście na obnażonéj z wdzięków rzeczywistości, z nadzieją na Boga, jak ptak, co na obnażonéj z liścia gałązce, z nadzieją na błogą wiosnę gniazdeczko swoje uwija. Patrzże, drogi panie, jak się dziś drzewo mojego życia rozkosznie ubrało i w liście i w kwiecie!

A wszystko to przyszło tak łatwo! Zebrawszy dwa tysiące cztérysta rubli, tysiąc zapłaciłem za ten kawałek ziemi, drugie tyle włożyłem w remanenta i zostało mi jeszcze cztérysta, a z uzbieranym groszem Pauliny, tysiąc zapasu na złą godzinę, który i dotąd leży, dzięki Bogu, nie tknięty. Bo wszystkie potrzeby nasze zaspakaja poczciwa rola, trzoda i pasieka, sól tylko i mydło kupujemy w miasteczku; a po opłaceniu czeladzi, jeszcze mam czém się z potrzebującym podzielić, jeszcze mam za co kupić gazetę i kilka książek, które coraz powiększają drużynę moich przyjaciół, jedynie mi pozostałych wiernemi z przeszłéj licznéj zgrai.

Wierz mi, drogi panie, że niema w świecie wdzięczniejszéj istoty nad rolę! Za kilka kropel potu ona ci potokiem złota odpłaca!... Ale

wierz mi takoż, że w mierności jest szczęście człowieka, które zbytek zabija. Bogiem się świadczę, że szczęście moje jest najzupełniejszém! a cóż mi je dało? oto wyrzeczenie się luxu, ograniczenie potrzeb do życia nieodbitych,—nic więcéj; i tą małą ofiarą okupiony raj ziemski dla pięciu istot!

Widząc nas w prostych sukmanach fabryki domowéj, nie sądź, że nie możemy odziać się po *pańsku*, i znaleźlibyśmy za co, ale nie czujemy potrzeby, nie mamy najmniejszéj chęci, brzydzimy się wykwintnym strojem, jak przypomnieniem grzechu, — boimy się go brać na siebie, by razem nieszczęścia nie wziążć. Widząc nas cięźkiéj oddanych pracy, nie myśl, że to czynimy z konieczności: czeladź nasza liczna, byłoby bez nas komu gospodarzyć; lecz czyliżbyśmy byli szczęśliwi, pożywając chléb powszedni bez pracy? O uchroń nas Boże od takiego szczęścia!... Przytém praca jest dzisiaj dla nas najmilszą rozrywką i, że tak powiem, zabawką, uciechą tylko. Bo tu uciechy hojnym potokiem zewsząd na nas płyną: z niwy, z łąki, z rzeki, z ogrodu, z sadu, z pasieki, z trzody, z gołębnika, z bocianiego i z jaskółczego gniazda! A cóż już mówić o miłéj dziatwie, o dobréj

czeladzi, o poczciwych kmiotkach sąsiadach, których nieocenione serca tak mało znane na wielkim świecie, a tak zdolne do przyjęcia najpiękniejszéj uprawy, a nawet w stanie dzikości nieraz najwznioślejszych cnót pełne... Mój Boże, mój Boże! gdyby to wreszcie *ludzie oświeceni* pozbyli się swoich uprzedzeń, gdyby się dali przekonać, że wszystko to jedno, czy się kto upija szampanem, czy prostą gorzałką; czy w zemście rzuca się na bliźniego ze szpadą, czy tylko z siekierą lub kijem! czy na konto spodziewanych zbiorów zaciągnie pożyczkę u jakiego bankiera, czy po prostu u pana arendarza; czy żonę wypędzi z domu słodyczą swego charakteru, czy po prostu pięścią; czy złamie wiarę małżeńską dla pięknych oczu milionowego hrabiątka, czy dla gorzelnianego pisarza, czy przegra w karty cug sześciokonny, czy w *rzemyczek* nędzną szkapinę; czy ukradnie z publicznego skarbu, czy z pańskiego toku; czy zaniedba się w swojém urzędowaniu, czy na pańszczyznę nie wyjdzie; — gdyby się dali przekonać! gdyby i to jeszcze zechcieli pojąć, że łatwiéj przebaczyć temu, kto błądzi śród ciemnéj nocy, niż temu co w dzień jasny z prawą się drogą rozmija, i z tą jeszcze uwagą, że

w większéj liczbie ludzi, więcéj i grzeszników być musi! gdyby to, gdyby!!!... Ciągłe moje stosunki z wieśniakami, przekonały mię dostatecznie, że większa część ich występków pochodzi z niewiadomości złego, z błędnego wyobrażenia o rzeczy, lub z zastarzałych uprzedzeń, lecz bardzo rzadko z zepsutego serca; i że nie wiele potrzeba pracy nad tą żyzną rolą, by najpiękniejsze plony wydawać zaczęła. Nieraz gawędzimy o tém z tutejszym parochem, z którymeśmy się szczerze pokochali, i który, od czasu znajomości ze mną, w bardzo wielu względach odmienił swe zdanie, i wcale inaczéj dziś na gromadkę swoję spogląda;—Boże mu w dobrych chęciach dopomóż!

Tak od lat sześciu zchodzi mi życie, coraz się w szczęście wzmagając, bo coraz nowe korzyści z méj pracy płyną; bo nietylko w ogrodzie mam takie szczepy, które mię co rok z pierwszym owocem witają. Tylko los dziatwy nieco mię niepokoi, a zwłaszcza córki. O syna jestem spokojniejszy. Ten, przyjąwszy w domu niewzruszone zasady moralności, pójdzie do szkoły; ztamtąd, jeśli okaże wyższe umysłowe zdolności, wybierze sobie zawód naukowy; jeśli nie, będzie żołnierzem; a zapłaciwszy dług oj-

czyznie gorliwą służbą, pewno do pługa wróci. Ale biedna Zosia nie wiem czy znajdzie takiego męża, coby tak szczęście pojmował jak ona! Są tu w okolicy ubodzy właściciele i dzierżawcy, których synowie mogliby dla niéj być partyą stosowną, gdyby inaczéj wychowani byli, gdyby od dzieciństwa ciągłe przykłady nie wpajały w nich wyobrażenia, że najwyższe szczęście jest w zbytkach i próżnowaniu!... Lecz Bóg miłosierny! dziś jestem tu jedynym białym krukiem; ale nim Zosia dorośnie, może i dla niéj taki się ptaszek znajdzie.

Jednę tylko przykrość w ciągu tych lat sześciu Pan Bóg mi zesłał; lecz tak mi ją osłodził w dobroci swojéj, żem wcale nie uczuł zbyt wielkiéj goryczy, owszem, w saméj przykrości źródło niebiańskiéj pociechy znalazłem.

Było to jakoś w piérwszéj połowie czwartego roku mojego tu pożycia, na wiosnę. Nad wieczór, o rzeźwiącym chłodku, z czterma pługami doorywałem ostatniéj skiby pod hreczkę. Żwawo się chłopaki zwijali, żwawo ciągnęły woły, bujne wyginają grzbiety, jak gdyby podzielając ochotę naszę; a ziemia wilgotna, czarna i tłusta, w głębokie krając się brózdy, mile woniała świeżością wiosny, i, rzekłbyś, z rado-

ścią swoje odkrywała łono ku życiodawczym promieniom majowego słońca, które się rozsypywały po niéj, jak złocisty warkocz młodéj jasnowłoséj matki po świeżych licach dziecięcia, ku którym ona zniża swe czoło, by na dobranoc tkliwy pocałunek złożyć. Nie czując znużenia, przodkując chłopakom, z pieśnią za pługiem biegłem, a ilekroć spojrzałem na umajoną dąbrowę, i na mój miły domek, który Boża ręka, szczeréj błogosławiąc pracy, ubrała rozkosznym wieńcem ukwieconych drzewek, ponad któremi rój skrzętnych pszczółek wesoło się krzątał; ilekroć spojrzałem na znaną ci Figurę u skały, przy któréj płaczące brzozki, przed czterma laty moją posadzone ręką, już stóp Chrystusa sięgały, a lekko się chwiejąc i liściem szeleszcząc z powiewem wietrzyka, zdawały się pokłon oddawać i cichą modlitwą wielbić Zbawiciela, który swe błogosławiące ramiona wznosił nad tym tak drogim mi zakątkiem; ilekroć spojrzałem na ogród warzywny, gdzie moja Paulina z swemi dziewczętami żwawo się krzątała około grządek, i na miłą dziatwę co strzegąc od jastrzębia kwoczki z kurczętami, wiła wianeczki z fiołków: taka rzewna radość, tak głęboka błogość wstawała w méj duszy, że i

opisać trudno! Jakiś dreszcz rozkoszny całego mię wstrząsał; łzy biegły do oczu a uśmiech na usta; a głos mojéj pieśni, skąpany we łzach tych słodkich, opromieniony tą błogością czarodziejsko dźwięczał świętém i wielkiem uczuciem, i z wonią kwiatów, i z pieśnią słowiczą na skrzydłach wietrzyków do Boga wzlatywał!... i było w méj duszy coś jakby dzionek wiosenny, gdy i deszczyk kropi, i słoneczko świeci, tęczę malując, i ptaszki szczebiocą, i grom się odzywa. A od brzegu rzeki matka goniła młode gąsięta, postępując za niemi ze dzbanuszkiem wody; na gołębniku radośnie gruchały gołąbki przy pisklętach swoich; na wysokim dębie klekotały bociany, machając skrzydłami, i zarzucając głowę na plecy, jak gdyby się zachodząc od serdecznego śmiechu na widok dziateczek swoich: a w dąbrowie brzmiał chór cudowny tysiącem głosów, w który się z całéj duszy wsłuchawszy, wyraźniem słyszał wtór mojéj pieśni:

Wszystkie nasze dzienne sprawy,
Przyjm litośnie Boże prawy!...

W tém nagle silny kilkakrotny łoskot zatrząsł dąbrową i skałą!... gołębie z przestrachem ude-

rzyły w skrzydła, rozpraszając się w rozliczne strony w popłochu; bociany zerwały się z gniazda z przerażeniem, uciekając w chmury; ptactwo gwarnym rojem pierzchło w las z ogrodu; gąsięta z piskiem, gęsie z trwożliwém gęganiem rzuciły się do rzeki, a gęsior zostawszy na brzegu, i jak wąż wyciągając szyję, groźném syczeniem straszył niewidomego wroga; kwoczka przysiadłszy rozstawiła skrzydła i garnęła pod nie z troskliwém gdakaniem rozproszone pisklęta swoje; matka osłupiała upuściła dzbanek, dzieci jak sparzone drapnęły do chaty, wyrzekłszy się wianeczków swoich! Paulina z rozpaczą uderzyła w dłonie; osłupiałe chłopcy i dziewczęta wielkie otworzyły oczy; a wierny Żuczek, zawywszy dziko, ze wściekłością puścił się po brzegu rzeki ku wielkiéj drodze, na którą się i nasze oczy zwróciły; bo ztamtąd się rozległ straszliwy ów łoskot, który wszystkie echa zbudziwszy, całą okolicą zatrząsł.

Szóstka dzielnych rumaków w błyszczących szorach, parskając i krzesząc podkowami iskry z kamieni, żwawo ciągnęła wspaniałą, złocistemi bronzami i świetnym kryształem lśniącą karetę. Foryś świstał biczykiem, wąsaty woznica grzmiał potężnym batem, *wioho* wołając;

a przez spuszczone okno bogatego powozu, wyglądały ciekawe głowy jakichś jaśnie wielmożnych.

Istotnie *jasno* było, że to *wiele możni* panowie; bo gdy spostrzegli, że wielka droga nie zawiedzie ich do mego dworku, a ze strony téj nie ma powrótki, kazali wziąźć się przez pole, przez moję drogą pszenicę, którą tak troskliwie swoim polewałem potem i westchnieniami do Boga ogrzewałem!... Zabolało mię serce, łzy zaćmiły oczy!... ale wyobraź sobie moje przerażenie, kiedym je otarłszy dostrzegł na ludziach liberyą, a na karecie wspaniałe herby państwa G!... Wszystko, com wycierpiał na wielkim świecie od lat dziecinnych, wszystkie zniewagi i upokorzenia, i zabójcza zimna pogarda, którą przez lat siedm znosiłem w G., jak na skinienie czarodziejskiéj laski, w jedno najdotkliwsze uczucie, w jedną myśl najczarniejszą skupione, piorunem uderzyły w mą duszę... Chłopaki moje, ochłonąwszy z podziwu, szli daléj z pługami; ja tylko jeden stałem jak wryty, a moje piękne, czarne jak kruki woły, ponuro ryczały, grzebiąc racicami ziemię...

Powóz się zbliżał... poczciwy Żuczek, z najeżoną sierścią, z zaiskrzonemi oczyma, wściekle

się rzucał przed końmi, chcąc im drogę zagrodzić, ale niestety, napróżno! i wyrazić nie zdołam, co się ze mną działo, kiedy spostrzegłem, że cug wspaniały wprost pod mą chatkę zawraca!... Przejęty jakimś dziwnym, dziecinnym strachem, zrazu chciałem uciec do lasu, skryć się w głębokim gdzieś jarze, by uniknąć wzroku tych ludzi, co tu, jak sądziłem, po to tylko zjechali, by sprofanować szyderstwem i urągowiskiem to moje rajskie ustronie!... Ależ mój domek, święty przybytek szczęścia mojego!... i nieprzytomny, obłąkany prawie, już się rzuciłem by razem z wiernym psem swoim do chrap się końskich uczepić, by własném ciałem drogę im zawalić! Lecz w téjże chwili oczy me padły na *Mękę Pańską*, a na widok Zbawcy ukrzyżowanego, pierzchnął zły duch zawziętości i nienawiści, wróciły zmysły, rozwaga i cierpliwość. Padłem na kolana, oddając w Boską opiekę i siebie i swoich, i chatkę, prosząc, by nas bronił od upokorzenia i zniewagi, lub jakim cudem od profanacyi świętości moje ratował.

I dziwy! zaledwie konie zrównały się z kwitnącym sadem, gdy pewno powitane żądłami pszczółek rozjątrzonych wonią ich potu, nagle jak wściekłe, wiżdżąc i wierzgając, puściły się

piorunem z góry, przez łąkę, przez niwę, wprost do przepaścistego jaru! Struchlałem!... chwila— a straszliwe kalectwo, a może i śmierć nawet byłaby zapłatą niewczesnéj ciekawości państwa prezesowstwa! Lecz jeden z moich parobków, poczciwy Janek, zapominając o własném niebezpieczeństwie, rzucił się przed konie i rozkrzyżowawszy ręce z potężnym krzykiem, wstrzymał je nad samym brzegiem przepaści. Stanęły słupa, szarpnęły się gwałtownie, i daléj już nie poszły, miotając się tylko z dzikiém parskaniem na jedném miejscu; a dzielny mój chłopak wnet opanował ich cugle. W téjże prawie chwili i ja u powozu stanąłem; pomogłem wysiąść nieprzytomnym z przestrachu podróżnym, i odprowadziłem ich do swojéj chaty.

Byli to oboje państwo G., z dwiema córkami, niegdyś uczennicami méj żony; przyjeżdżali na wesele córki p. P., który jest im jakimś krewniakiem, dowiedziawszy się o mojém tu mieszkaniu, umyślnie zboczyli do mnie. Nie uwierzysz, jak się na ich widok ucieszyła dobra Paulina! jak ich serdecznie witała! Ale też i dziewczęta jakoś poczciwie się znalazły: zdawało się, że najlepszą siostrę po długiéj rozłące ujrzały, z takiém uniesieniem w jéj się objęcia

rzuciły, tak ją osypały najtkliwszą pieszczotą! I starzy nawet, choć z pańską powagą, z prawdziwém jednak ukontentowaniem, nam się przyglądali, dopytując się troskliwie o naszém życiu i bycie, i życzliwie jakoś gawędząc. Nie mogli wprawdzie utaić swego zadziwienia na widok téj spartańskiéj prostoty, którą tu wkoło ujrzeli; z razu nawet trochę żartowali sobie z mojéj filozofii, i kiedy niekiedy szyderczy uśmiech błysnął na ustach pani prezesowéj: lecz parę godzin spędziwszy w méj chatce i głębiéj w grunt rzeczy zajrzawszy, szczerze mi winszowali wreszcie mego położenia, zwąc mię szczęśliwym człowiekiem. Co się zaś tyczy panienek, te prawdziwie wyjść z uniesienia nie mogły, i wesoło szczebiocąc z Pauliną, pieszcząc się i swawoląc z dziećmi, które jakoś łatwo z sobą oswoiły, biegały po wszystkich zakątkach chatki i ogrodu extazjując się nad wszystkiém, i wciąż powtarzając, że zazdroszczą nam szczęścia naszego. Gwarzyły téż i z matką moją, z głębokiem uszanowaniem ją traktując. Wyznaję szczerze, wstyd mi się zrobiło moich pierwszych uczuć, na ich widok doznanych; a kiedyśmy się żegnali, najszczerszym żalem

serce mi się ścisnęło, i ani jedna przykrość z przeszłości już mi na myśl nie przyszła.

Gdy odjechali, poszedłem z całą rodziną oglądać szkody zrządzone w naszéj sadybie przez rozhukane rumaki. Biedne dziateczki! co się napłakały dnia tego!... co za dziw? gdy nawet nam starym łzy się do oczu cisnęły, na widok stratowanéj pszenicy naszéj, połamanych drzewek i krzewów, poduszonych kurcząt i gęsiąt!... Ale najboleśniéj nam było patrzeć na wiernego Żuczka, któremu koło nogę złamało, i na ulubioną naszę pieszczotkę, tyrolską krówkę, która nad brzegiem rzeki przykląkłszy na przednie nogi przy swem zabitem cielątku, ryczała żałośnie, liżąc mu główkę, a zwracając ku nam, rzekłbyś łzami zalane oczy, zdawała się błagać o ratunek!... Nie koniec na tém: nawet Figurę u źródła zwalili w swoim przelocie!... A tu młode gołąbki w gołębniku, jaskółeczki pod oknem, bociany na gniezdzie, wzywając rozproszonych rodziców, kwilą żałośnie!... nie byłoż nad czém zapłakać?

Ale nim noc nastała, wróciły jaskółki, wróciły gołębie, i krążące pod niebem bociany spuściły się na swoje gniazdo, i śpiewaki wróciły z gaju do sadu, i radośne głosy znowu zabrz-

miały; ochłonęły i nasze serca ze srogiego żalu, choć najboleśniéj dotknięte... najboleśniéj, bo cały ten luby zakątek na nich się wspiera; a więc i ta szóstka rozhukanych rumaków, i ciężki ten powóz wyzłacany, po nich tratowały! Natychmiast własnemi rękami postawiliśmy na miejscu Figurę zwaloną, i wszystkie swe troski i żale w pokornéj modlitwie złożywszy u jéj podnóża, zapomnieliśmy o nich; a dziękowaliśmy Bogu, że tak usposobił serca naszych gości i nasze, żeśmy się powitali i pożegnali w chrześciańskiéj miłości, i że dał poznać bogaczom świata, że i pod słomianą strzechą prawdziwe szczęście mieścić się może.

Tak to, drogi panie, jedyną troskę, jakiéj tu doznałem, Bóg mi zesłał z wielkiego świata, w złoconéj karecie, jakby dla ostatecznego zrażenia mię od zbytków i przepychu, dla ostatecznego utwierdzenia miłości mojéj do tego życia, które mię uszczęśliwia.

Otóż i całe dzieje mojego żywota. Opowiedziałem ci je nie dla tego, by dowieść, że cały świat powinien mię naśladować, to niepodobna! jedni nie zdołają, drudzy nie zechcą, ci znów nie powinni. Opowiedziałem to tylko dla ciebie, co pragniesz podobnego mojemu szczęścia, by

ci drogę do niego pokazać. Droga ta jest ta sama, któréj i Chrystus nas uczył, a która i do wiekuistego szczęścia prowadzi. Legła ona przez błogosławione kraje cnót ewangelicznych. Bądźmyż więc pokorni, cisi, cierpliwi i miłujmy Boga, miłując bliźniego; a znajdziemy to upragnione najwyższe dobro, którego żadna moc materyalna nie wzniesie, ani téż zburzyć nie zdoła. Bo pomnijmy to dobrze, że człowiek zapragnął być równym Bogu, i raj utracił; Syn Boży porównał się z człowiekiem i ludziom go odzyskał! Gdy więc ci niewygodnie na tym szczeblu społeczeństwa, na którym los cię postawił, to nie bluźń Bogu wyrzekaniem, i nie pnij się wyżéj z szatańską pychą; zstąp raczéj niżéj, a dobrze ci będzie. A starając się wszędy i zawsze być użytecznym bliźniemu, dbaj tylko o swe wzniesienie się moralne, do niego się wzbijaj wszystkiemi siłami, choćby się w anielskie ustroiwszy skrzydła.

1852 roku
w Dżurynie na Podolu.

Bezruki.

BEZRUKI.

(Z podania gminnego).

— Ej, dobrzy ludzie, żwawiéj-no wiosłami!
Słychać, sygnują w kościołku za rzeką;
Radbym się Bogu polecił modłami,
By mię w podróży wspierał swą opieką.

A siła ludu w parafii waszéj!
Gdzie okiem rzucić, jak mrówie się wlecze!
— „Ej, miły panie! czyż to tylko z naszéj?"
Z uśmiechem siwy rybak mi odrzecze.

„Tać to nasz obraz Niebieskiéj Królowy
Cudami słynie po całéj krainie!
To cóż i za dziw, że mnogi lud płynie,
Kiedy to jeszcze dziś dzień odpustowy?

„Wszak kraj Litewski z pobożności znany;
Tu się więc garną z blizka i z daleka,
Tu pielgrzymują biedaki i panny,
Po radość smutny, po zdrowie kaleka.

„I Wam cóś', panie, troska patrzy z lica!
Spieszcież spowiedzieć to, co Wam dolega,
A żal ukoi Przeczysta Dziewica,
Byleby z wiarą! — otośmy u brzega."

— Bóg zapłać dobry człeczku! — „Szczęśliwa Wam droga!"

Spieszę więc kędy ponad sosny stare
Wznosi się Pańska świątynia uboga,
Złożyć swe troski Bogu na ofiarę.

Ogarnąć tłumu kościołek nie może,
A więc i cmentarz zalega lud mnogi,
I, jako równi, bogacz i ubogi
Na twarz przed Bogiem padają w pokorze.

A przez świątyni rozwarte podwoje,
Bogarodzica jaśnieje z ołtarza,
I niepojętych cudów zlewa zdroje
W serce wielmoży i w serce nędzarza.

U wrót cmentarnych żebractwo się tłoczy,
Modlitwą, pieśnią, żałośnemi jęki
Żebrząc litości; a jeden bezręki
Dziad siwobrody, klęcząc na oboczy,

Natrętnym krzykiem nie woła z innymi;
W smutném milczeniu w Niebo wznosi oczy,

Usta mu tylko drżą modły cichemi,
Po bladém licu łza bujna się toczy.

A kiedy czasem dusza litościwa
Rzuci starcowi jaki grosz na wsparcie;
Wnet z groźnym krzykiem żebractwo się zrywa,
„Precz! precz *Bezruki!*” wołając zażarcie,

I wnet pieniążek w inne ręce wpada;
Starzec w milczeniu w Niebo wznosi oczy,
I jeszcze bledszą zdaje się twarz blada,
Jeszcze bujniejsza łza po niéj się toczy.

Ostatnie Amen zabrzmiało w kościele,
Pobożni w różne rozchodzą się strony;
A choć wzrok każdy łzą rzewną zroszony,
W każdém obliczu spokój i wesele.

Coraz mniéj gwaru, bo coraz mniéj tłumu,
Pusto w świątyni, pusto śród cmentarza,
I nic nie słychać oprócz sosny szumu,
Co, zda się, ludzkie pacierze powtarza.

Cóż za głos słyszę? nie, to nie szum sosny,
Nie trawy szelest, ani wiatru tchnienie;
To ze zbolałéj piersi jęk żałośny,
Ludzkie to ciężkie, rzewliwe westchnienie.

Spójrzę — *Bezruki!...* na staréj mogile
We łzach i łkaniu z modlitwą przyklęka.
Snać sroga boleść biedne serce nęka,
Bo sama nędza nie przygnębia tyle!

Wszak w owym tłumie nieszczęsnych nędzarzy,
Ledwie nie każdy sroższém kalectwem dotknięty;
Lecz i ci, których oczom cały świat odjęty,
Jakoś weselsi od niego na twarzy.

Jemu zaś spokój, nie mówię wesele,
Lecz nawet spokój nie wstąpi na lica!
Bez ręki tylko... wprawdzie, to prawica,
Lecz zresztą krzepki i zdrowy na ciele.

A może jeszcze postradał ją w bitwie?
Toby się chlubić z tém kalectwem takiém,
I stary wojak w naszéj świętéj Litwie
U wrót kościelnych nie byłby żebrakiem.

Bo choć to u nas bory a bagniska,
Choć skąpo grosza, lecz serca dowoli;
I dla biedaka poczciwe ludziska
Znajdą kęs chleba i garsteczkę soli...

Grosz więc dobywszy z kalety podróżnéj,
Z współczuciem w duszy do starca podchodzę.
Sam biedny, hojnéj nie podam jałmużny,
Sam smutny, pewno smutek mu osłodzę.

Powstał, po datek nie wyciągnął dłoni,
Tylko mi łzawe oczy utkwił w licach,
I długo patrzał, jak gdyby w źrenicach
Chciał czytać myśli wypisane w łonie.

Łez mu obfitsze rzuciły się zdroje,
I z czarnéj troski oblicze obmyły,
I w drżącą rękę pochwycił dłoń moję,
I do ust zimnych tulił z całéj siły.

— „Bóg z tobą, starcze! cóż ci serce rani?
Ukoj swą boleść u źródła pociechy!
I moje słonko chodzi za chmurami,
To żal twój pojmę... cóż cię trapi?" — Grzechy!

O! ciężkie grzechy! ciężkie, dobry panie!
— „Bóg tym litościw, co swych grzechów płaczą."
— Bóg litościwy zwleka zlitowanie,
Snać czeka póki ludzie nie przebaczą!

A z ludźmi, panie, ciężka, ciężka sprawa!
Zdawna mi lata we łzach żalu idą;
A gniew ich srogi dotąd nie ustawa,
Dotąd im biedny *Bezruki* ohydą!

— „Biedny! i jakaż przed ludźmi twa wina?"
— At! miły panie, jeszcze Was tu znudzę!
Boć to zazwyczaj nudne skargi cudze,
A o méj biedzie długa gadanina.

Lecz z oczu widać Wam litośne serce,
To skłońcież ucha méj smutnéj gawędzie;
Jak żal wypowiem, lżéj mi potém będzie,
Wlec daléj żywot w srogiéj poniewierce.

Już Wam nie nazwę swéj rodzinnéj strzechy,
Bo nawet nie wiem w któréj stronie świata,
Lecz dotąd pomnę swe dziecinne lata;
Tyleż to tylko dzisiaj i pociechy!...

Chyżo mi zbiegły niewinne dni młode,
Dni pełne krasy, jak kwiecie kaliny,
Co bujno kwitnie na gorzkie jagody,
Ej, chyżo czarne nastały godziny!...

Rodzice moi, szlachta na zagrodzie,
Mnie jedynaka pieszczonego mieli;
Ojciec przy pługu: a matka przy kądzieli,
Żyli spokojnie w miłości i zgodzie.

Lecz przyszły wici, rodzic wziął szablicę
I pobiegł służyć ochoczo ojczyźnie.
I cóż wysłużył? — sobie — szubienicę,
A hańbę dziecku i żonie w puściźnie!

Ciężkie to było dopuszczenie Boże!
Wrogowie duszę skusili mu złotem,
I gardła braci dawszy pod ich noże,
Sam niecną zdradę opłacił żywotem!

Grzech spadł na głowę wdowy i sieroty!...
Wzgardą nas gnębić zaczęli sąsiedzi;
Nastały troski i ciężkie kłopoty,
A nikt nie wspomniał, nie poradził w biedzie!

Chatę wisielca, jak zapowietrzoną,
Każdy ze wstrętem omijał z daleka;
Chwast rósł w ogrodzie, wymarła pasieka,
Sczezła chudoba!... „Tak już im sądzono!”

Prawili ludzie; a nam sprzęt i szatę,
Święte obrazy nawet, wszystko wzięła biéda!
Burza nareszcie starą obaliła chatę,
I myśmy poszli prosić przytułku u żyda!

Tak nam sądzono!... straszne sądy Boże!...
Matka nieboga, cierpliwa w złéj doli,
Choć krzyż swój ciężki dźwigała w pokorze,
Ale marniała i gasła powoli.

Trudno bo wytrwać było w takim trudzie
Dola dziecięcia biedne serce kraje,
Żyd poniewiera i wytchnąć nie daje,
A bez litości pastwią się źli ludzie!...

Jam był szczęśliwy — wiadomo pachole —
Sromu nie znając, byłem nie czuł głodu,
Wesoło z psami biegałem po siole.
Nieraz ukradkiem wpadłem do ogrodu

Na cudze grzędy lub drzewa po nocy;
A choć porządnie zbili wisielczuka,
Nic nie pomogło, w las poszła nauka,
Bo smakowały kradzione owoce!

Czyż tylko tyle!... nieraz podły Szaja,
Za grosz, za piwo, lub jakie łakocie,
Starać się kazał o kury lub jaja,
Ściągać bieliznę na sąsiedzkim płocie.

Bili sąsiedzi, bił Szaja zuchwały,
Jam sobie śmiał się, bom przywykł do kija;
A matce we łzach oczy wypływały,
W serce się wpiła czarna rozpacz-żmija!

Niemoc ją wreszcie zwaliła na łoże,
A żyd wyrzucił, jak bydlę, pod płoty!
Nikt w dom nie przyjął, i zmarła na dworze,
Nie uleczona gorzką łzą sieroty!

Wicher grudniowy miótł śniegu tumany,
Mróz na mych oczach łezki ścinał lodem;
Przy zwłokach matki, tuląc się w łachmany,
Drżałem, przejęty boleścią i chłodem.

Psy do mnie przyszły, wierni przyjaciele,
I wyły smutnie, liżąc skrzepłe nogi;
A do około tłoczył się lud mnogi,
Z pogodną twarzą, niby na wesele!

Zbiegł się popatrzeć, jak na dziwowisko,
Na śmierć nędzarki i na łzy sieroty,
I radząc rzucić trupa gdzieś w bagnisko,
Jeszcze się gniewał za ciężkie kłopoty!

Ach bo to, panie, była *wisielczycha!*
Ojcowskiéj zbrodni karą moja nędza!...
Niewiasty jeno, szepcąc pacierz, z cicha
Wspomniały trumnę, i dzwony i księdza.

Wtém — pewno dusza biédnéj męczennicy
Zdała już Bogu z swych cierpień rachunek
I wyprosiła sierotce ratunek, —
Ubogie sanki stają śród ulicy.

Sędziwy kapłan z pośpiechem wysiada,
I przez tłum śpiesznym pomyka się krokiem,
A uderzony boleśnym widokiem,
Załamie dłonie: — „O, biada wam, biada!

„Biedna niewiasta w chrześcijańskiém siole
Umiera w nędzy gdzieś na kupie śmieci!
Biedna sierotka krzepnie śród zamieci,
Gdy nawet bydlę ma schronę w stodole!

„Nieszczęśni! tak-że zły duch was obłąkał!
Tak-że swym jadem zaraził wam łono!”...
— Wielebny ojcze! — nieśmiało tłum jąkał, —
To wisielczycha!... tak już jéj sądzono!

— „Tajnie swych sądów Bóg jeno posiada,
A nam zalecił miłość, przebaczenie!"
Rzekł — i przy zwłokach na kolana pada,
A lud z nim woła: wieczne odpocznienie!

Tuż przy nim klęcząc z zniżonemi głowy,
A szczerym żalem gładząc dawną winę,
Składa ofiary na pogrzeb dla wdowy,
I tkliwie tuli sierotkę dziecinę.

Już piękną trumnę gotują stolarze,
Już wzięto zwłoki do sąsiedniéj chaty,
Już je w świąteczne obleczono szaty,
I już na stypę zwołano nędzarze;

By zrównoważyć na niebieskiéj szali,
Że kąska chleba konającéj z głodu,
Że snopka słomy na budę od chłodu,
Ni staréj płachty na odzież nie dali!

I ja, co żyjąc o kradzionym chlebie,
Nigdy sytości nie zaznałem wprzódy,
Od śmierci ojca, piérwsze w życiu gody
Miałem dopiero na matki pogrzebie!...

Na tém i koniec litości gromady:
Bo gdy się pogrzeb odprawił matczyny,
I kapłan starców wezwał do narady,
By opiekuna wybrać dla dzieciny;

Nikt się nie znalazł, nikt z całego sioła!
Bo temu dziatwa jakoś marnie ginie,
Ten własnéj *siemji* wyżywić nie zdoła,
Ten sam słabuje, temu gospodyni...

I biedny kapłan, boleścią złamany,
Gorzkiemi łzami żegnając zaścianek,
Płaszcz swój narzucił na moje łachmany,
I na swych ręku zaniósł mnie do sanek.

I tkliwie tuląc, rzekł mi rzewnym głosem:
„Nie płacz, dziecino, Bóg ojcem sierocie!
On się twym będzie opiekować losem,
Nie da ci zginąć w nędzy i sromocie.”

Wziął mnie do siebie. O dusza poczciwa!
Święty to Pański jakiś żył na świecie!...
Dawno to było, o! dawno; a przecie
Serce mi taje, we łzach się rozpływa,

Jak sobie wspomnę dzisiaj tego człeka,
Któremu Boża zdała mnie opieka!
Ach! bo to dobry, jako matka tkliwa,
Mądry jak starzec, niewinny jak dziecie!...

Jakże łagodnie, ach! jakże cierpliwie
Siał ziarna cnoty na zdziczałéj niwie
Mojego serca! jakiemiż pieszczoty
Umiał osłodzić gorzki los sieroty!...

Rajskież to, rajskie było owo życie
Pod jego skrzydłem!... Bywało o świcie,
Ledwie w klateczce zadzwoni kanarek,
Zrywam się ze snu, — był to nasz zegarek,

Excytarz, — a więc z pościałki się zrywam
I żwawo z dzbankiem biegę do krynicy,
W drodze na pacierz zadzwonię w kaplicy,
Wróciwszy, zaraz kwiatki popodlewam,

Opatrzę klatkę, zamiotę pokoje,
Rozpalę jasny ogień na kominku,
Wyczyszczę suknie i sam się przystroję;
A nim staruszek powstanie z spoczynku,

Pod jego drzwiami usiadłszy na stołku,
Ministraturkę powtarzam z pośpiechem.
Wtém on wychodzi, i z słodkim uśmiechem
Prosto do serca; — dobry dzień, Aniołku!

Rzecze — i da mi ucałować dłonie,
I po ojcowsku utuli na łonie.
Ja go ubiorę, i wnet do kościoła,
I dzwonkiem wzywam na mszę lud z okoła.

Co to za roskosz, gdy w śnieżnéj sukience,
Z dźwięcznym dzwoneczkiem i z turybularzem,
Klęknę bywało z księdzem przed ołtarzem
I głos swój wzniosę w pobożnéj piosence!

Serce, jak dzwonek, drży z radości w łonie,
A duch ku Niebu z wonnym dymem wionie,
Świat znika z oczu, i — niewinne dziécie —
W raju się widzę w niebieskim zachwycie!

Ale nie długo trwała taka dola!
Jak jedno mgnienie cztéry latka zbiegły,
I znów mi pustką stanął świat rozległy,
I ciężkie próby dała Boża wola.

Raz, po zwyczaju, o brzasku się zrywam
Żwawo po wodę biegę do krynicy,
Dzwonie na pacierz po drodze w kaplicy,
Wróciwszy, kwiatki w wazonach polewam,

Karmię kanarka, zamiatam pokoje,
Rozpalam jasny ogień na kominku,
A wyczyściwszy suknie, i księże i swoje,
Zanim staruszek powstanie z spoczynku,

Siadam na stołku tuż pod jego drzwiami,
I nową piosnkę sam sobie zadaję.
Lecz długie chwile płyną za chwilami,
Słonko wysoko, a starzec nie wstaje!

Tknęło mię w serce przeczucie złowieszcze...
Już chciałem zajrzeć do jego izdebki;
Lecz żal go budzić, niech spoczywa jeszcze
I, jako matka u dziecka kolebki,

Usiadłem znowu spokojnie u progu.
I znowu długie przeminęły chwile,
Starzec spał jeszcze!... zlekka drzwi u chylę —
Klęczy u łoża i modli się Bogu.

Stoję i czekam... ej próżne czekanie!
Jak posłał duszę do Nieba z modłami,
To-j nie wróciła, miłościwy panie!
Próżnom jéj wzywał i jękiem i łzami!...

Parafijanie w grób starca złożyli,
I moje szczęście spoczęło z nim w grobie!
Znowu sierota, i świat od téj chwili
Cały mi stanął we łzach i żałobie!

Nastał ksiądz inny, oj nie ten co wprzódy!
Mniejsza, że lichą wydzielał mi strawę,
Że odjął wszystkie dawniejsze wygody;
Gdybyż dał czasem choć słówko łaskawe!

Lecz zawsze gniewny, nierad z méj usługi,
Zawsze zwał trutniem albo darmojadem;
A wreszcie kazał iść w pole za stadem,
A moje miejsce zajął przy nim drugi.

Ej, ciężko było zwykać się nanowo
Z głodem i chłodem, lecz ciężej sto razy
Z dotkliwém słowem i twarzą surową,
Gdy w sercu były tak żywe obrazy

Owéj dobroci, z jaką mnie *mój święty*,
Aniołkiem zowiąc, tulił pieszczotliwie!...
Ach! jakże gorzko, ach! jakże rzewliwie
Płakałem biedny, boleścią przejęty,

Kiedy bywało u trzody, na słocie,
Śród pola dzwony zasłyszę kościelne,
I głos organów, i hymny niedzielne,
Co otwierały niebiosa sierocie!

Ileż to razy na *świętego* grobie
W łzawéj modlitwie przepędzałem noce,
Błagając, aby zabrał mnie ku sobie,
Lub dał osłodę na me dni sieroce!

Daremne były moje łzy i modły,
Coraz to sroższa dola mię nękała;
Aż w odrzuceniu znów dusza zdziczała,
Wszystka porosła w chwast i kąkol podły!

Ej prawda! byłem niezmierne ladaco,
W dwunastym roku wisielec prawdziwy!
Ale téż srodze karał pan gniewliwy,
Nawet i wtedy gdy nie było za co!

Brałem, mój panie! co mi wpadło w oczy,
Zrazu to zgłodu, a potém — z pragnienia!
Bo jak cię bieda chłoszcze bez wytchnienia,
To ją w gorzałce utopisz ochoczy!

W końcu dojadły batogi i kije;
Innego, myślę, poprobuję chleba.
W żebranym stanie człek po pańsku żyje:
Jest grosz i jadło, a robić nie trzeba.

Będę żebrakiem! — Żyjąc przy kościele,
Dziadowskim sprawom przyjrzałem się zblizka;
Wiem, jak w czém radzą sobie te ludziska;
A więc do dzieła, nie czekając wiele!

Na kuli jednę postawiwszy nogę,
Płachtą obwijam sobie rękę prawą,
Wprzód poraniwszy jadowitą trawą,
Ewangeliczkę w zanadarze, i w drogę!

Z wioski do wioski, od dworka do dworka
Ruszam wesoło, w Imię Boże witam,
Staję pod oknem, Ewangelie czytam,
A chleb i grosze sypią się do worka.

At, dobry panie, nie tak to źli ludzie,
I w naszych siołach nie nowina litość:
Nieraz w najlichszéj, w najuboższéj budzie,
Dla mnie jałmużny bywała obfitość,

Dadzą chleba do syta i serdeczne słowo,
Bez czego duszy gorzéj, niż ciału bez strawy;
Tkliwie o mego życia pytają mię sprawy,
A ja im prawię, plotę to lub owo,

Co mi się w onczas żałośliwszém zdaje;
Lecz nieraz, kiedy rozczulę słuchacze,
Kiedy nie jeden rzewnie się rozpłacze,
Święty opiekun wnet mi w oczach staje.

I smutnie głową posiwiałą chwieje,
I łzawém okiem przenika do duszy!...
Aż serce we mnie łamie się i kruszy,
I żal i wściekłość!... zda się oszaleję

Z bolu i wstydu!... gdybyż było komu
Wziąć mnie za rękę, rzuciłbym bezdroże;
I gdyby rychło, tobym nie znał może
Dzisiejszéj biedy, kalectwa i stromu!...

Zeszły trzy lata w téj wesołéj nędzy.
Kradnąc i żebrząc za pogodnéj pory,
Zimą przepiję wszystkie swoje zbiory,
I z wiosną znowu ruszam po włóczędze.

Raz żwawiéj całą strwoniłem spiżarnię,
A żyd mię wygnał ze swojéj stodoły.
Żebrać śród zimy, chleb to nie wesoły!
Jak pies na śniegu gdzieśbym zginął marnie;

Lecz — już nie zgadnę świętéj Bożéj woli,
Czy to *mój święty*, czy matka swym płaczem,
Tam wyżebrali litość nad tułaczem,
Czy sam się Stwórca zlitował méj doli, —

Raz, w mroźną zamieć aż ptaki padały,
Wciąż pustą stroną wlekąc się z poranku,
W nocy przyszedłem do tego zaścianku,
Głodem przejęty i z zimna skostniały.

Przy pierwszéj chacie staję pod oknami;
Ewangeliczka wypadła mi z ręki,
Ruszyć nie mogąc skrzepłemi ustami,
Tylko rzewnemi modliłem się jęki!

I wnet przez szybę ktoś wyjrzy w podworze,
I, rzekłbyś gościa najmilszego wita,
Słodziuchnym głosem, co za serce chwyta,
Prosi do chaty, i na dary Boże.

Wchodzę, lecz panie, cudownéj téj sprawy
Wam nie objaśnię!... z razu mi się baczy
Wielka świetlica, w koło czyste ławy,
Przy jednéj w oknie stoi warstat tkaczy,

A przy dwóch drugich, w rogu stół z wieczerzą,
Licznéj rodziny otoczony kołem;
U nóg spokojnie dwa kundysy leżą,
A kot się gniewa i mruczy pod stołem.

Jaskrawy ogień na *łuczniku* strzela
I ożywia w obrazach Świętych pańskich lica,
I miłym blaskiem chatkę rozwesela...
Lecz nagle — w kościoł zmienia się świetlica!

Potok światłości zalewa mi oczy,
Brzmią rajskie hymny i — cud niepojęty!
Grono Aniołów w koło mię otoczy,
A na ich czele matka i *mój święty*!

I — już nie pomnę, co się daléj stało...
We śnie ptaszęce słyszę szczebiotania,
A więc co żywo zrywam się z posłania
Biedz do posługi... ach! bo mi się zdało

W sennéj ułudzie... ach słodka ułuda!...
Wiecie co myślę!... lecz nie to dokoła!
Nie to! i dusza zrozumieć nie zdoła,
Czy sen, czy jawa, czy *tuman*, czy cuda?

W alkierzu, w ciepłą pościel otulony,
Bez płacht na ręku, bez szczudła u nogi,
W czystéj bieliźnie ujrzę się zdziwiony,
Bojąc się ruszyć, by nie znikł sen błogi.

Lecz miłe ptasze wciąż słodko szczebiota,
W okienko jasne zagląda zaranie,
I słonko wstaje, bo oto na ścianie
Już się osnowa rozwiésiła złota.

W tém ktoś leciutko zaszeleści drzwiami,
I wskróś mię przejmie jakaś dziwna trwoga...
Weszła niewiasta cichemi krokami,
Spójrzała ku mnie, — i wnet matka droga

Z lat mych szczęśliwych przed oczy mi stanie,
Tak pełne tkliwéj dobroci jéj lice!...
Słodkich łez potok zalał me źrzenice,
Coś wyrzec chciałem — mową było łkanie!

Ona mnie jęła tulić jak dziecinę,
I pieścić czule, i troskliwie badać
O moich cierpień i nędzy przyczynę;
I Bóg mi pomógł wszystko wyspowiadać,

Wszystkie swe bole i całą sromotę!...
Wezwała męża, i długo oboje
Napominali łagodnie sierotę,
Długo badali z gruntu serce moje.

I rzekli wreszcie: „sami w krwawym pocie
Na chleb pracujem: a idzie niesporo,
Bo trzeba dziatek wyżywić kilkoro;
Ale nie będziem żałować sierocie.

„Zostań tu z nami jako nasze dziecie,
Nakarmim i okryjem, i nauczym z pracą
Żyć po bożemu, a nie jak ladaco
W nędzy i wstydzie tułać się po świecie."

Do nóg im padłem, zlewając je łzami,
I utulony, obmyty, odziany,
Wkrótcem się tkliwie zbratał z ich dziatkami,
Słodkim imieniem braciszka nazwany.

Cóż to za ludzie!... darmo trudzić usta,
Żeby policzyć wszystkie ich zasługi;
Ale miarkujcie, któżby taki drugi
Zechciał przygarnąć włóczęgę, oszusta?

Czyż nie anielskiéj trzeba tu dobroci,
Żeby pomyśleć, że to nie zła wola
Pchnęła mnie w przepaść, lecz może zła dola?
Że jeszcze serce zwróci się ku cnocie,

Byle mu drogę pokazać życzliwie?
Żeby pomyśleć, że w dzikiéj pokrywie
Biedny, zgłuszony fiołek się chroni,
Lecz brak mu słońca do krasy i woni.

Więc wziąć, posadzić w rodzinnym go sadzie,
Grządki nie skąpić, trudu nie żałować,
Ciepło w tkliwości, światło dać w przykładzie,
Jak własne dziecie żywić i miłować!

Żeby — lecz po co uprzedzać wypadki?
Już, miły panie, koniec nie daleko.
Tak więc pod tkliwą tych ludzi opieką
Rosłem szczęśliwie z własnemi ich dziatki.

Czworo ich mieli: trzy córki i syna;
Dwanaście latek starszemu dziewczęciu,
Młodszym od siedmiu było do dziewięciu,
A synek — drobna w kolebce dziecina.

Najstarsza, — gwiazdka mojego żywota,
Na cóż tak wcześnie zgasła oku memu?
W niéj było szczęście, i radość, i cnota,
I wszystko moje! czemu zgasła, czemu!

Jam ją miłował nad matkę rodzoną
I nad *świętego!* dla niéj zapomniałem
Wszystko zło, jakie w życiu mi zrządzono,
Za wszystko dobro jéj odwdzięczyć chciałem!

I dziś, choć odtąd zbiegło dni tak wiele,
Wspomnienie o niéj, to moja gromnica,
To święta lampa w méj duszy kościele,
Co mi najdroższe obrazy oświéca!

Ojciec mnie z swojém oswajał rzemiosłem,
A ja ochoczo biegłem do warstata,
Ochoczém sercem najcięższy trud niosłem,
Bo mię sowita czekała zapłata.

Ach, miły panie, nie dacie mi wiary!
Bo to zaiste trudno do wierzenia;
I pomyślicie, żem zdziecinniał stary,
Biorąc za prawdę senne urojenia.

Oni przyrzekli sierocie, przybłędzie
Oddać Marylkę! bo myśleli pono,
Że nam żyć razem i umrzeć sądzono,
Że ze mną tylko dla niéj dola będzie.

I prawda! złota byłaby jéj dola,
I jabym w szczęściu nażył się do syta,
Gdyby Bóg zechciał! ale Bóg nie pyta
Człeka w swych sądach: wola czy nie wola?

Inaczéj zrządził!... tak widać i trzeba!...
Lecz wtedy, czarnéj nie czując godziny,
Tak do swéj przyszłéj przylgnąłem rodziny,
Że gdyby nawet święty anioł z Nieba

Zstąpił jéj służyć, nie służyłby lepiéj
I nie miłował, choć sercem anioła!
Bo młodą duszą czegoż człek nie zdoła,
Jeszcze gdy święta miłość ją pokrzepi?!

Służąc więc wszystkiém, czém tylko człek może,
Pragnąłem więcéj; zazdrościłem wołom
Ciężkiego jarzma, psóm warty na dworze,
Płacząc, że służyć i za nich nie zdołam!

Trzy lata zeszły pod tą świętą strzechą,
A choć pół wieku, jak minął czas złoty;
Dotąd myśl o nim jedyną pociechą
W żebraczém życiu starego sieroty.

Pomnę, bywało jak z porannym brzaskiem,
Cała rodzina rzuca swoje łoże,
I po modlitwie wspólnéj przed obrazkiem,
Wnet się do pracy bierze w Imie Boże.

Wnet ojciec ze mną do krosien zasiada,
I tkąc obrusy w misterne obrazy,
Cierpliwie trudną naukę wykłada,
Choć trzeba jedno powtarzać sto razy.

Matka u pieca krząta się wesoło,
Marylka przędzie, nócąc miłe śpiewki,
Dwie młodsze ojcu nawijają cewki,
A mały Józio, snując się w około,

Wszystkim nam służy: to poda czółenko,
Kłębek, wrzeciono, to przyniesie wody;
A dwa szczygiełki w klateczce, w okienku
Szczebiocą słodko z Marylką w zawody.

Tak dni płynęły cicho, jednakowo,
Snując nam ciągle pasmo życia złote.
Czasami z ojcem, skończywszy robotę,
Szliśmy do dworów i wracali z nową;

A w każde święto, na mszę do kaplicy,
Czasem do miłych sąsiadów na gody,
Czasem do lasu po grzyby, jagody,
Czasem na odpust w dalszą okolicę.

Raz, jak dziś pomnę, dwie tylko niedzieli
Przeczekać było, i z drogą Marylką
Pod ślubnym wieńcem postawić nas mieli;
Ach! dwie niedzieli,.. dwie niedzieli tylko!...

Gdy przypadł odpust w sąsiedniéj mieścinie,
I matka radę podała pobożną,
By się tam udać calutkiéj rodzinie,
A ojciec na to: „wszystkim to nie można;

„Bo Józio mały, a zimno za katy!
Ja zanieść muszę do dworu robotę,
A chłopcu trzeba popilnować chaty;
Idź więc z dziewkami, jeśli masz ochotę."

I tak się stało: nazajutrz o świcie
Ojciec z robotą, matka na odpust z dziewczęty.
Serce mi ścisnął smutek niepojęty,
I sam zostawszy, płakałem jak dziécie!

Ranek był cichy, lecz gdy słonko wstało,
Zakrzepłe skrzydła wiatru rozegrzało,
I zaczął bujać po niwach bezbrzeżnych,
Sypiąc po drodze chmary iskier śnieżnych.

Zamierzchło niebo, a słonko zamglone
Zaledwie widne w tuman zawinięte,
Jak na ołtarzu monstrancyum święte,
Gdy przed niém po mszy postawią zasłonę.

Wiatr wciąż bujniejszy, wciąż mocniej się chmurzy,
Słonko pobladło jak topielca lice,
To w mgłach utonie, to znów się wynurzy,
Znikło, mrok zakrył całą okolicę.

Sądny dzień! świata ostatnia godzina!
Rzekłbyś, że Bóg się rozgniewał na Niebie,
I całą ziemię pod śniegiem zagrzebie!
Lecz mi nie przeto krew lodem się ścina...

Co tam z mojemi?!... co, gdy pośród pola
Ta straszna chwila zaścigła niebogi?
Strach i pomyśleć!... zginą gdzieś bez drogi!...
Bożeż mój, Boże! dolaż moja, dola!...

Jaki czas minął w téj srogiéj katuszy,
Już się odemnie tego nie dowiecie;
Dnia nie rozeznać od nocy w zamieci;
A żeby mierzyć udręczeniem duszy,

Bolem, co biedne serce wycierpiało;
Wiek wam powiedzieć i to jeszcze mało!
Bo odtąd w nędznem swojém życiu całem
I setnéj części tego nie zaznałem.

Co ze mną było, niema na to mowy!
To przed obrazem padałem ze łkaniem,
To, bluźniąc Bogu dzikiém wyrzekaniem,
Biedz, by ich szukać, już byłem gotowy;

Lecz jak samego Józia rzucić w chacie?
(Płaczem znużona zasnęła dziecina).
Lecz oto zamieć ucichać zaczyna,
I świat się iskrzy w pogodnym szkarłacie.

O, dzięki Niebu! Wychodzę w podworze,
Spójrzę, i dłonie załamię w rozpaczy!
Jak okiem rzucić nic człek nie obaczy
Cała kraina, jak zamarzłe morze,

Górami śniegu piętrzy się i wzdyma!
Znikły ulice i wysokie płoty,
Pod same strzechy sięgają sumioty,
I straszna, dzika pustosz przed oczyma!

Dzień cały minął w przeczuciu złowrogiem,
Nikt nie przybywał! Nareszcie z wieczora
Ojciec znużony przywlekł się ze dwora;
A ledwie ujrzał mnie przed chaty progiem,

Wszystko odgadnął. — „Niema! nie wrócili! —
Jęknął z boleścią, załamując dłonie,
Na Boga w Niebie! koni! prędzéj koni!
Skocz po zaścianku, nie tracąc ni chwili!...

„Stój!... sam pobiegę... wymodlę, wypłaczę,
Może nam mili pomogą sąsiedzi!
Może Janowa przy dziecku posiedzi,
A kum Bartłomiéj da nam swoje klacze.”

Pobiegł. Janowa, niech Bóg jéj płaci,
Przyszła przy dziecku przenocowała w chacie;
A koni... człek się wymówić wstyda...
Koni nie dali! ból cudzy nie biéda!

Szkoda bydlęcia po takiéj zamieci,
Niech lepiéj zginie matka z trojgiem dzieci!...
A więc piechotą, przez śniegu gromady,
Poszliśmy z ojcem do miasta na wzwiady.

Próżne pytanie, szukanie! żal trudu!
Nikt ani widział, ni słyszał o naszych;
Tylko nas każdy smutną wieścią straszy,
Że w zamieć ową zginęła moc ludu.

Więc przed cudowną, Maryą, na wotywie,
Wezwawszy Bożéj pomocy w niedoli,
Nazad do domu brnęliśmy powoli,
Z ciężkiego żalu obaj ledwie żywi.

Och! miły panie, tak więcéj tygodnia
Zeszło nam we łzach i marnéj otusze,
A szukać naszych chodziliśmy co dnia:
Ojciec powróci, to ja znów wyruszę;

Wrócę, on znowu idzie swoim szlakiem,
A czy o miejscu cudami wsławioném,
Czyśmy wiedzieli o znachorze jakim,
Wszędzieśmy byli z modlitwą, z pokłonem,

Wierząc i w świętą i w nieczystą siłę,
Radzi położyć ostatni grosz wdowi,
Własną krew z serca wytoczyć gotowi,
Byleby znaleźć nasze skarby miłe!

Ej próżno! wszystko na nic się nie zdało!
Rozum już dawno szeptał straszne słowo,
Lecz serce w prawdę uwierzyć nie chciało
Goniąc i goniąc za nadzieją nową.

Aż raz, — jak dzisiaj pamiętam dzień ony,
Co najjaśniejszym miał być w mym żywocie,
Dzień na wesele moje przeznaczony...
Wesele! cha, cha! wesele sierocie!

Nocą wracałem po zwykłéj wyprawie,
Miesiąc na śniegi sypał iskier krocie,
I jasno było, jakoby w dzień prawie,
Wtém patrzę, coś się krząta na sumiocie;

Podchodzę, — w śniegu to grzebią wilczyska;
Krzyknę — odskoczą i klamsną zębami,
I srogi płomień w dzikich ślepiach błyska;
A nieopodal coś biały śnieg plami.

Krzyk mój powtórny daléj ich odpędza;
Podbiegam — Boże! to zwłoki niewieście!...
Spójrzę — Marylka!... znalazłemże wreście!...
Godyż więc, gody! żwawiejże po księdza!

I... sam nie pomnę, co już było potém
Bóg, miłosierny nawet i w karaniu,
Na ból odrętwił duszę w obłąkaniu;
A kiedy rozum przyszedł mi z powrotem,

To już mi tylko sąsiedzi mówili,
Jakem nazajutrz ledwie o poranku
Z wesołą pieśnią wrócił do zaścianku,
Tuląc na łonie trup drogiéj Maryli.

Jak obu dziewcząt i matczyne zwłoki
Znaleźli tamże, gdzie Marylkę wziąłem,
Jak je pogrzebli razem pod kościołem,
Ot gdzie ten kurhan widzicie wysoki.

Ja nic nie pomnę, ni ojca żałości,
Ni łez sierotki; a kiedy przez sioło
Szedł lud z pogrzebem, jam śpiewał wesoło,
Na swoje gody zapraszając gości!

Czemuż Bóg dobry nie dał mi w tym stanie
Położyć głowy sierocéj w mogile?
Czemuż odebrał słodkie obłąkanie,
Bym czuł tę rozpacz, a z nią hańby tyle!...

Obrzydła praca, obrzydło mi życie,
I po raz trzeci świat stanął pustkowiem,
Tylko strraszniejszém! och, nie jedno bowiem
Sierota młodzian, a sierota dziécie!

Wstanie ruń młoda, choć gradem brzybita,
Jak tylko błysną pogodne niebiosy,
Ale nie wstaną połamane kłosy,
Choć najpiękniejszy dzionek im zaświta!...

Nieraz, gdy siadłszy z nałogu za krośna,
Tkałem z swych dumań czarne, grube płótno;
Tak dziko w sercu, tak mi było smutno,
Tak się ta strzecha zdawała nieznośna,

Że gotów byłem rzucić ją na wieki.
Znowu wziąć torbę i kostur żebraczy,
A iść z modlitwą gdzieś za kraj daleki
Żeby gdzie uciec od ciężkiéj rozpaczy.

Ale jak zacznie płakać ojciec stary,
Mówiąc, że ja mu pociechą jedyną,
Że jak go rzucę, to umrze z dzieciną;
To i odstąpią mię smutne zamiary.

Zostałem, żeby pomagać biednemu
W żalu i w płaczu! ot mu i pociecha!
A czémże cieszyć, czém koić ból temu,
Kto się już tylko do grobu uśmiecha?...

Nie długo płakał i wypłakał wreście,
Czego tak pragnął: legł w ciężkiéj boleści,
A śmierć proszoną czując już przed progiem,
Pragnął co rychléj pojednać się z Bogiem

I o sieroty coś pomyśleć losie.
Słał więc po księdza spowiedzieć swe winy,
Zwierzyć mu dolę swéj biednéj dzieciny,
I całe mienie, tysiąc złotych w trzosie,

Co krwawą pracą całego żywota
Zdołał uzbierać, wciąż nosił na sobie,
I pod głowami położył w chorobie,
By czasem krzywdy nie miała sierota.

Lecz szły godziny, a ksiądz nie przybywał,
Noc już nastała, przyszła północ głucha;
Chory co chwila na łożu się zrywał,
Za lada szmerem nadstawiając ucha,

Czy ksiądz nie idzie? i w cichym pacierzu
Po bladém licu rzewne łzy spływały,
Jam przy nim czuwał, z żalem odrętwiały,
A biedny Juzio spał sobie w alkierzu.

Nikt nie przychodził! Wtém głębsze westchnienie
Z ust mu wybiegło, a z niém snać i dusza;
Bo już mu oddech łona nie porusza,
W bladém obliczu dzikie osłupienie...

I wkoło cisza, grobowa, straszliwa!
Tylko puszczyki hukają na dachu,
A pod oknami pies smutnie *zawywa*...
Z razu, w żałości, rozpaczy i strachu

Siedziałem niemy, bez władzy, jak skała,
Bez myśli w głowie, z oczyma suchemi;
Lecz przyszły myśli, a z niemi... ach! z niemi
Przyszła i zbrodnia i ta hańba cała!...

Trzos mię spokusił!... pod trupa węzgłowie
Tą świętokradzką sięgnąłem prawicą!
Lecz nad nieszczęsnéj sieroty krwawicą
Czuwali święci Bozi aniołowie!

Czy dusza jeszcze sierotkę żegnała,
Czy z Nieba zbiegła bronić krzywdy dziecka,
Ledwie trzos wziąłem — dłoń moja zbójecka
W zastygłéj ręce zmarłego skostniała!

Padłem u łoża z zgrozy obumarły,
Z nieszczęsnym trzosem w zaklęsłéj prawicy,
W ujęciu trupa! w tém drzwi się rozwarły
I z *Panem Bogiem* ksiądz stanął w świetlicy.

A ksiądz — o biada mojéj głowie, biada! —
Ten samy, co był nastał po *mym świętym*,
Co mnie z plebanii wyprawił do stada,
Co mnie tak gnębił swym gniewem zawziętym!

Zkąd się wziął u nas, nagle, niespodzianie?
Już tego nie wiém! Snać wyroki Nieba
Tam go przywiodły na me ukaranie,
Takiego świadka snać było potrzeba!...

Ach! miły panie, dusza obumiera
Na samo spraw tych okropnych wspomnienie!...
Wieść się rozchodzi, cały lud się zbiera,
W każdém obliczu zgroza, przerażenie.

Pełna świetlica, i alkierz, i sieni,
I na podwórku narodu gromada;
Ksiądz wszystkim przeszłe sprawy me powiada,
A tłum burzliwy już się gniewem pieni.

— „Zbójca! wołają — dobroczyńcę, ojca,
Na łożu śmierci dobił! zgroza! zgroza!
Gardło dać winien niecny ojcobójca!
Tortur na niego! hej miecza! powroza!"

A ja nieszczęsny, z rozpaczą szaloną,
Dzikiemi wkoło rzucając oczyma,
Napróżno szarpię rękę zakrwawioną;
Zimna dłoń trupia jak żelazem trzyma!

A w martwéj, niegdyś tak mi drogiéj twarzy,
Taka surowość, taka boleść razem!
Rzekłbyś, nie z własnéj woli zbrodnię skaży,
Lecz z bolem serca, za Bożym rozkazem.

A tłum, jak fala wciąż nowy napływa,
I każdy bada, każdy zbójcą zowie,
I srogiéj pomsty na mordercę wzywa!...
Rankiem przybyli wezwani sędziowie.

Jęli mnie badać. Padłszy na kolana
I dłoń karzącą całując ze łkaniem,
Z przysięgą dałem najszczersze, zeznanie,
Jaką ma dusza zbrodnią pokalana.

Nikt nie chciał wierzyć nie pojmując cudu,
I miałem zginąć, jak zbójca na stosie;
Lecz Bóg inaczéj sądził o mym losie,
I zmiękczył serca zawziętego ludu.

Ten, ów przypomniał moje przeszłe życie,
Jakem miłował tę rodzinę całą,
Jakem jéj służył wiernie, pracowicie,
I jak mi z żalu serce się krajało

Gdym stracił matkę i siostrzyce drogie,
I jakem rozum postradał z rospaczy.
I sąd złagodził swe wyroki srogie...
Och! czy złagodził, Bóg to wiedzieć raczy!...

Wieczorem dzwony zabrzmiały w kaplicy,
Do chaty orszak przyciągnął żałobny,
I wzięli trupa, a za nim z świetlicy
I ja wyszedłem, do trupa podobny.

Ach! bo mię panie, wciąż trzymał za rękę!...
A że mi serce nie pękło w téj zgrozie,
To, że na dłuższą Bóg je chował mękę!
Złożyli zwłoki na żałobnym wozie.

Ja przy nich siadłem, nieprzytomny sobie.
Zabrzmiały hymny, i smutnym pochodem
Ruszył karawan w ponuréj żałobie,
A próżna trumna i kapłani przodem.

A lud dokoła roił się, jak mrowie!
I czerń, i szlachta, i wielcy panowie
Zewsząd się zbiegli na straszne wyroki,
Tuśmy stanęli; tu był dół głęboki.

A przy nim, widać przy blasku pochodni,
Kat w krwawych szatach toporem połyska...
A lud się z wrzawą ponurą naciska,
By widzieć karę niesłychanéj zbrodni...

Widział!... a jakiém na to patrzał okiem,
Ja tego nie wiem, nie wiem, Bogu dzięki!
Gdym duch odzyskał, już byłem bez ręki,
Samotny na tym grobowcu wysokim.

I od pół wieku tu życie żebracze,
Pędzę w ohydzie, nieszczęśliwy zbrodzień;
A codzień płacząc i modląc się codzień,
Ach kiedyż litość u ludzi wypłaczę?!

Pomarli ojce i syny, dziś wnuki
Srodze się pastwią nad biednym kaleką!...
A wy snać, panie, mieszkacie daleko,
Że wam nieznany choć z wieści *Bezruki?*"

Ból serce ściśnie, łza oko mi zrosi...
Przecz go tak srodze gniew Boży dotyka
Czyż jeden cało dłoń niecną unosi
Z sierocém dobrem, z pod głów nieboszczyka?!

O! niezbadane święte sądy Boże!
Nie każdy pono sam gładzi swe winy
W tym tu żywocie, i nieszczęsne syny,
Nieraz ojcowskie długi płacą może!...

— Czémże cię wspomódz nieszczęsny sieroto?
— „O! Bóg wam zapłać! jużeście zdarzyli,
Zdarzyli darem droższym mi nad złoto!...
Gdybyście jeszcze śmierć mi wymodlili!..."

1852 roku
26 lutego.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

[illegible] serce [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
Z [illegible] [illegible], a pod górę [illegible]!

O! [illegible] świata [illegible] [illegible]
Nie każdy [illegible] [illegible] [illegible]
W tym to żywocie i [illegible] [illegible]
Nieraz [illegible] długi głos [illegible]…

— Cóżeście się [illegible] [illegible] [illegible]?
— „O! Bóg [illegible] [illegible] [illegible] [illegible],
Zdarzył [illegible] [illegible] się nad [illegible],
Gdybyśmy [illegible] [illegible] na [illegible]!”

18[illegible] roku
[illegible]

[illegible]